WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 1/406 10 STYCZNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 58 tys. egzemplarzy

Gdzie jest prezydent Duda?

Polexit: za i przeciw – ciąg dalszy debaty „Do Rzeczy"

Jestem zwolenniczką prawa do życia – Dorota Gawryluk w mocnym wywiadzie

2021

POLSKA W KLESZCZACH REWOLUCJI

Tęczowy taran z Waszyngtonu • Pandemia kontra wolność
Pałka „praworządności" z Brukseli

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

interia

PORTAL, KTÓRY TOWARZYSZY MI **KAŻDEGO DNIA**

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

W RZECZY SAMEJ

Nadciąga transczłowiek

PAWEŁ LISICKI

Dla jednych zagrożenie związane z epidemią koronawirusa to przede wszystkim konkretny problem: jak zapewnić chorym wystarczającą liczbę łóżek w szpitalach. Dla innych to przejaw ludzkiego szaleństwa i ulegania panice, zręcznie podsycanej przez media. Są jednak i tacy, którzy w pojawieniu się pandemii (nieważne, czy realnej, czy wydumanej) widzą wielką szansę dla przyszłej ludzkości. I nie są to wyłącznie nieszkodliwi fantaści, ale ludzie co się zowie praktyczni.

Trudno bowiem nie nazwać tak Billa Gatesa, George'a Sorosa czy też, ostatniej, najnowszej gwiazdy ruchu na rzecz lepszego urządzenia świata, Klausa Schwaba. Pierwsi dwaj pokazali, jak zbić gigantyczny majątek, ten trzeci, założyciel i pomysłodawca spotkań w Davos, z pewnością potrafi zadbać nie tylko o dobry wizerunek Forum Ekonomicznego. Cała trójka jednak, niestety, nie tylko para się gromadzeniem pieniędzy, lecz także ma wyższe, w swoim mniemaniu, aspiracje: chcą zbudować nową, szczęśliwą ludzkość. Biorąc pod uwagę, że za tymi projektami stoją poważne, bardzo poważne pieniądze, a także rosnąca liczba polityków i tzw. liderów religijnych (koszmarne to określenie idealnie pasuje do nowego projektu), to cała koncepcja nie jest aż tak wydumana, jak mogłoby się wydawać. Wszyscy oni mówią o „czwartej rewolucji przemysłowej" (tytuł książki gospodarza z Davos) lub o nowym, globalnym, wielkim, światowym resecie. Nie są to puste słowa.

Każdy, kto wczyta się dokładniej w wystąpienia poszczególnych liderów, dostrzeże zdumiewającą bliskość ich wizji do idei głoszonych przez twórców transhumanizmu. Dokładniej ideologię tę opisali w 1998 r. szwedzki ekonomista Nick Bostrom i Brytyjczyk David Pearce – dzisiaj jej głównym popularyzatorem jest Yuval Noah Harari. Chcą oni wykorzystać technologię w taki sposób, by można było tworzyć nowy typ ludzi. Nowy nadczłowiek (lub transczłowiek) miałby dłużej żyć, mieć wyższą od naszej, obecnej, inteligencję i wreszcie cieszyć się szczęściem (czyli zadowoleniem). Ludzka natura ma zostać przemieniona i zmutowana. Mają w tym pomóc, a jakżeby inaczej, eksperymenty. Dzięki nauce, technologiom, biologii i chemii – na przykład dzięki powszechnemu wszczepianiu czipów, kontroli i dyscyplinie – można będzie wykreować wyższą formę społeczeństwa, w której to albo ograniczy się, albo całkiem wyeliminuje ból i odsunie śmierć. Ludzkie życie wydłuży się do 200–300 lat. Znikną też obecne niedogodności, braki i słabości systemu kapitalistycznego. W tych wizjach nie chodzi już tylko o zmianę otaczającego człowieka środowiska – to ma być jedynie pierwszym krokiem (na przykład nowy zielony ład) w drodze do celu. Tym zaś ma być transformacja tożsamości samego ludzkiego bytu.

Łatwo zauważyć, że to, co ideologowie transhumanizmu nazywają szczęściem, oznacza po prostu dłuższą formę doczesnej wegetacji zadowolonych z siebie ludzkich zwierząt. Ich wizja prowadzi do totalnej relatywizacji wartości ludzkiego życia: dla stworzenia przyszłego, lepszego człowieczeństwa należy raz na zawsze pożegnać się z absolutną godnością osoby i ze stojącym na jej straży Bogiem. Ludzkie życie musi zostać ulepszone. Wszyscy ci wizjonerzy są, to konsekwencja, gorącymi zwolennikami aborcji. Dzięki prawnej i moralnej dopuszczalności aborcji można dokonać redefinicji człowieczeństwa. Jeśli państwo może uznać, że człowiekiem nie jest kilkumiesięczna istota ludzka, to może w przyszłości dowolnie przesuwać tę granicę. Ale nie tylko życie poszczególnej osoby ma zostać zmutowane: to samo ma, ostatecznie, dotyczyć całej ludzkości, całej populacji. Ostatecznie tylko jeden rząd światowy, kiedy wreszcie powstanie, będzie mógł wprowadzać w życie tak wielkie projekty. Marzą oni zatem o wyposażeniu państwa – w ostateczności światowego – w takie prerogatywy i potęgę, jakiej do tej pory żadna ludzka władza nie miała.

Na razie to jeszcze projekt dotyczący odległej, trzeba mieć nadzieję, przyszłości. Jednak skutecznie wykorzystana epidemia/pandemia/panpsychoza może w jego realizacji pomóc. Przerażeni nadciągającą apokalipsą ludzie będą gotowi zrezygnować ze swoich dotychczasowych praw i oddać się całkiem w ręce specjalistów, ekspertów i globalistów, którzy urządzą im życie po nowemu: racjonalnie, bezpiecznie, właściwie.

Straszna to wizja. Groźba globalnego zamordyzmu wcale nie jest tak odległa, jakby się wielu wydawało. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

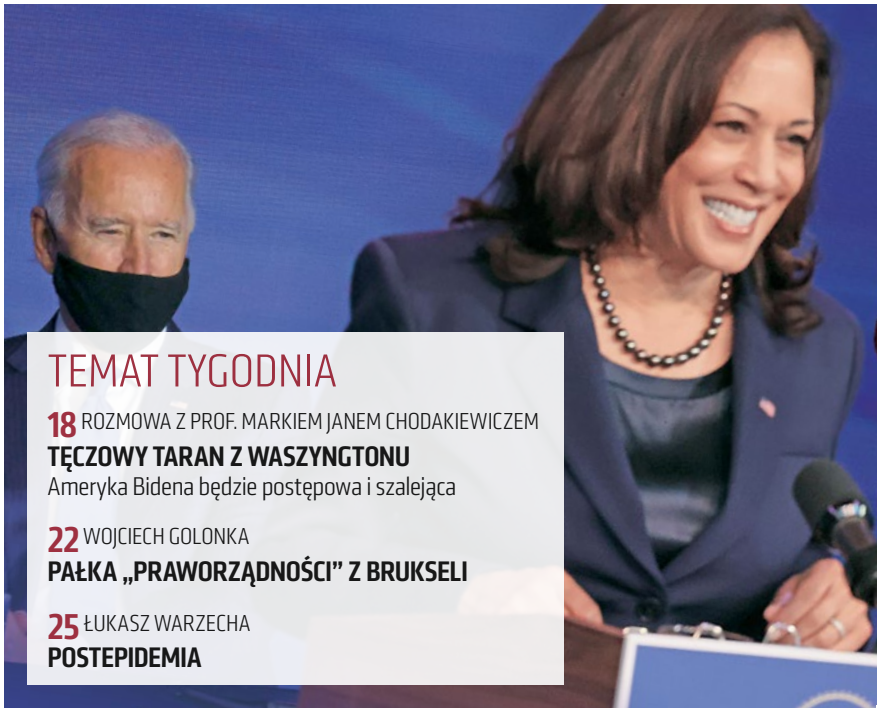

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM JANEM CHODAKIEWICZEM
TĘCZOWY TARAN Z WASZYNGTONU
Ameryka Bidena będzie postępowa i szalejąca

22 WOJCIECH GOLONKA
PAŁKA „PRAWORZĄDNOŚCI" Z BRUKSELI

25 ŁUKASZ WARZECHA
POSTEPIDEMIA

KRAJ

28 ROZMOWA Z KONRADEM SZYMAŃSKIM
POLEXIT BYŁBY BŁĘDEM
Polska suwerenność poza Unią byłaby osłabiona

32 KAMILA BARANOWSKA
GDZIE JEST PREZYDENT?

34 PIOTR SEMKA
SZEPTY I STRATEGIE NA NOWY ROK

36 ROZMOWA Z DOROTĄ GAWRYLUK
NIEKTÓRE MEDIA OTWARCIE PRZYJĘŁY ROLE GRACZY POLITYCZNYCH

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLSKIE SMART CITY

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DŹWIĘKI Z SERCA AFRYKI

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TAMARA ŁEMPICKA – DIWA ART DÉCO
Malarka światowego formatu

48 PIOTR GOCIEK
PUSTE NIEBO

55 GRZEGORZ KONDRASIUK
„DZIADY" 2020 – NOC PIERWSZA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 RYSZARD LEGUTKO
BRZYDKA TWARZ UNII
UE wymaga pilnej reformy

58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIĘĆ LAT WE WŁASNYM SOSIE

60 JANUSZ KORWIN-MIKKE
OFIARY STANU HISTERII

HISTORIA

62 MACIEJ ROSALAK
W DRODZE NA GOLGOTĘ
Historia kościoła św. Krzyża w Warszawie

66 PIOTR ZYCHOWICZ
UWAGA, KAMIKADZE!

ŚWIAT

70 TERESA STYLIŃSKA
ZŁEGO SŁOWA NA TURCJĘ
Dynastia Osmanów

74 OLIVIER BAULT
PUSTKA NAD SEKWANĄ

EKONOMIA

76 TOMASZ CUKIERNIK
ALTERNATYWA DLA UNII
Trzeba być silnym wobec UE

80 JACEK PRZYBYLSKI
GORĄCZKA ZŁOTA

O ZDROWIU

88 ROZMOWA Z PROF. ADAMEM ANTCZAKIEM
PNEUMOKOK JAK KORONAWIRUS
Warto się szczepić

90 KATARZYNA PINKOSZ
MĘSKA PLAGA

92 MATEUSZ WOŹNIAK
SENIOR MUSI SIĘ NACHODZIĆ

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 11 STYCZNIA 2021 R.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie życzenia bożonarodzeniowe i noworoczne. Przypominamy, by pocztę elektroniczną do rubryki kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Ad vocem listu...

[...] Mimo że jestem prawie o połowę młodsza od Pani Morawiec, doskonale rozumiem jej samotność i rozgoryczenie, ponieważ znam takie miejsca jak DPS – wszystkie podobne do siebie. Pracuję w jednym z nich. [...]

Żeby przybliżyć samotność i cierpienie, którego doświadczają ludzie tam przebywający, opowiem o kilku pacjentach z zakładu, w którym pracuję (imiona zmienione).

Pani Jasia. Prawie stuletnia, pogodna staruszka. Ma już tylko jedno marzenie: żeby przed śmiercią spędzić chociaż jeden dzień ze swoimi dziećmi. Czy się spełni? Patrząc na rozwój sytuacji – wątpliwe. [...] trafiła do ZOP-u, ponieważ jej syn, prawie 70-letni, nie miał już sił opiekować się mamą. Ale odwiedzał ją codziennie. Przyjeżdżał po śniadaniu i spędzał z mamą prawie cały dzień. Gdy wprowadzono zakaz odwiedzin, syn (korzystając „z obecnych środków komunikacji i łatwości nawiązania kontaktu") dzwonił codziennie. Po takiej rozmowie pani Jasia przez resztę dnia była roztrzęsiona i płakała, pytając: „Kiedy zobaczę mojego Stefusia?!". [...] według urzędników pan Stefan (który mieszka sam) stanowi dla niej śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale personel, pracujący w kilku miejscach (również w jednostkach leczących chorych z COVID-19), jest dla niej bezpieczny...

Jola. Czterdziestolatka, której choroba zabrała ciało. Nie rusza się, nie mówi, nie połyka. Z własnej woli jedynie mruga oczami. Przed „pandemią" prawie codziennie była u niej mama. Czytała jej książki, gazety, głaskała, przytulała. Gdy Jola usłyszała, że mama nie będzie do niej przychodzić, bo wprowadzono zakaz, zaczęła płakać. Z racji tego, że nie ma odruchu połykania, dusiła się swoimi łzami. Wymagała stałego nadzoru i odsysania (czyli wyciągania spływającej wydzieliny z nosa i gardła za pomocą plastikowej rurki podłączonej do urządzenia ssącego), bo inaczej by się udusiła. I tak przez kilkanaście dni dopóty, dopóki Jola nie straciła nadziei... Od dziewięciu miesięcy Jola nie widziała mamy. „Nowoczesne środki komunikacji" nie są w stanie jej przytulić, pogłaskać... [...].

Można by tak opisywać w nieskończoność historie ludzi zamkniętych od dziewięciu miesięcy w ZOL-ach, ZOP-ach, DPS-ach i innych podobnych instytucjach. Zamkniętych bez wyroku, pozbawionych kontaktu z bliskimi, niby dla ich dobra. Jedyną ich winą jest starość i/lub choroba.

Elżbieta Wierzbińska

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Tadeusza Zwierzyńskiego

wiceprezesa PERN S.A.

doświadczonego menedżera i fachowca, znającego od podszewki branżę naftową, a przede wszystkim życzliwego Kolegi, Współpracownika i Przełożonego.

Tadeusz Zwierzyński był związany z PERN S.A. od wielu lat, odpowiadając za najważniejsze inwestycje, w tym także strategiczny projekt Megainwestycji.

To niepowetowana strata dla nas wszystkich. Trudno wyrazić w słowach uczucia, które nam teraz towarzyszą.

Chcielibyśmy złożyć wyrazy głębokiego żalu i współczucia

Rodzinie i Bliskim Zmarłego.

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy PERN S.A.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock; oprac. graf. Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel. : 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Można? Można

Czy już nie ma żadnych powodów do optymizmu na nowy rok? Czy zalewać nas muszą koronawirusowy pesymizm i przygnębienie chamstwem spod znaku błyskawicy? Niekoniecznie.

Wśród wielu informacji do skomentowania wybrałem jedną, której nie poświęcono wiele uwagi w mediach. Ściśle rzecz biorąc, media najpierw się tą sprawą zainteresowały, ale potem przestała być dla nich ciekawa. Oto w połowie listopada 2020 r. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski na swoim blogu skomentował sprawę ks. Stanisława P., byłego proboszcza w Woli Radłowskiej, podejrzewanego o czyny pedofilskie. Wpis sugerował, że obecne władze diecezji mogły tuszować sprawę.

Kuria zareagowała ostro, wskazując, że nie ma podstaw do takich twierdzeń, i sugerując podanie ks. Tadeusza do sądu. Ten odpowiedział równie ostro, pisząc: „Dziś do sądu kanclerz pozywa nie sprawcę, ale tego, co to opisał". Media wzięły stronę ks. Isakowicza-Zaleskiego.

Okazało się, że konflikt można rozładować, potrzeba tylko taktownej mediacji. I właśnie tej roli podjęło się Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. Po wyjaśnieniu stanowisk obie strony sporu doszły do porozumienia. – Zawarliśmy dziś ugodę. Polega ona na tym, że cofamy pozew, natomiast ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski na swoim blogu opublikuje krótkie sprostowanie dotyczące wynikającej z omyłki treści wcześniejszego wpisu – podkreśliła mec. Brzozowska.

Strony zgodziły się, że działanie ks. Isakowicza-Zaleskiego nie było świadomym uderzeniem w kanclerza tarnowskiej diecezji ks. Kantora, ale była to niezręczność, która jednak mogła zostać odebrana jako podważenie prawidłowości działania tarnowskiej kurii w osobie księdza kanclerza. Było to nieporozumienie, wpis zaś nie dotyczył osób, które w diecezji tarnowskiej obecnie sprawują nadzór nad tego rodzaju postępowaniami.

– Jesteśmy otwarci na współpracę. Myślę, że wszystkim nam zależy na tym, by oczyszczenie Kościoła się dokonywało – podkreślił ks. Robert Kantor. Także ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski potwierdził chęć współpracy z księdzem kanclerzem w sprawie rozwiązywania trudnych spraw dotykających pedofilii.

– Jestem adresatem wielu listów od osób, które czują się pokrzywdzone. Nie jestem w stanie ocenić ich sytuacji i przy współpracy z diecezją będziemy wyjaśniać, czy i gdzie rzeczywiście doszło do zaniedbań i jakiego typu. Podkreślam jednak raz jeszcze, że moja wcześniejsza krytyczna ocena nie dotyczyła obecnych władz diecezji tarnowskiej, ale dotyczyła ona poprzedników. Doszło tu – wskutek niezręcznego sformułowania w moim wpisie – do nieporozumienia – podkreślił kapłan. I, jak dodał, cieszy się, że przed Bożym Narodzeniem stronom udało się porozumieć.

Pytany o charakter współpracy z diecezją tarnowską ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski podkreślił m.in., że już teraz jest powiernikiem trzech spraw – listów osób, które chcą opowiedzieć swoją trudną historię, i relacje te zostaną przekazane na ręce księdza kanclerza. Podobnie procedowane będą przyszłe zgłoszenia napływające na ręce krakowskiego kapłana.

O tej ugodzie przeczytałem dopiero na portalu PCh24. Innych mediów jakoś to nie zainteresowało. Ciekawe dlaczego? ©℗

FOT. OLIVIER CHASSIGNOLE/AFP/EAST NEWS

SERIA STRZELANIN WE FRANCJI

Trzech policjantów zostało zastrzelonych, a jeden został ranny w strzelaninie w wiosce w departamencie Puy-de-Dome, w pobliżu gminy Saint-Just, do której doszło 22 grudnia. 48-letni sprawca, zanim zginął, podpalił też swój dom. Prezydent Francji Emmanuel Macron wydał oświadczenie po tej tragedii, w którym napisał, że zabici funkcjonariusze to „francuscy bohaterowie". Była to już trzecia krwawa strzelanina w tym kraju w ciągu zaledwie siedmiu dni. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Światowa Organizacja Zdrowia – leczy czy kłamie?

Można odnieść wrażenie, że Światowa Organizacja Zdrowia (ŚOZ) bardziej dba o dobry nastrój ludzkości niż o jej zdrowie, co w czasach koronawirusa nie wróży nam najlepiej. Dyrektor Tedros Adhanom Ghebreyesus, wypowiadając się na temat międzynarodowej współpracy i wymiany informacji w walce z zarazą, podziękował rządowi chińskiemu za przejrzystość. Nie darmo mówią, że śmiech to zdrowie.

Jak właśnie wyszło na jaw, ŚOZ pochyliła się również nad samopoczuciem Włochów. Analitykowi Francesco Zambonowi zlecono opracowanie raportu, jak Italia sobie radzi z COVID-19. Dokument został opublikowany 13 maja. Mówiąc oględnie, nie był pochlebny. Zwracał uwagę, że włoski strategiczny plan działań na wypadek zarazy pochodzi z 2006 r. (epidemia SARS). Nie dość, że nie był nigdy aktualizowany, to jeszcze nie został skutecznie wdrożony. Co więcej, jak czytamy, „władze sanitarne podjęły kroki, które sprzyjały szerzeniu się koronawirusa". Zambon ocenił, że reakcja władz na pandemię była chaotyczna i polegała na improwizacji. Następnego dnia dokument został wycofany, a wicedyrektor ŚOZ, Włoch Ranieri Guerra, napisał e-mail do Zambona, by ten zmienił w raporcie rok opracowania włoskiego planu strategicznego z 2006 na 2017 r., a także wycofał krytykę działań rządu, bo inaczej ŚOZ nie otrzyma od Italii obiecanych 10 mln euro.

Mleko się rozlało. Prokuratura w Bergamo, prowadząca śledztwo w sprawie zaniedbań w walce z pandemią, wezwała Zambona na przesłuchanie. Dyrekcja ŚOZ zabroniła mu składania zeznań, wskazując na immunitet dyplomatyczny pracowników. W końcu Zambon zeznania złożył (treść utajniono), ale ma zakaz kontaktów z dziennikarzami. ŚOZ, obawiając się dociekliwości mediów, wydała poufną wewnętrzną instrukcję w formie kilkunastu niewygodnych pytań, które mogłyby paść, i sugerowanych odpowiedzi. Czyli instruktarz, jak łgać. Dzięki przeciekowi właśnie pojawił się prasie. Trochę jak w realnym socjalizmie, co? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Ucieczka z państwa niedoli

Grudzień to w polskiej tradycji politycznej miesiąc niestabilności, który skłania do spojrzenia w przeszłość. „Różnica między stanem wojennym a rządami PiS jest taka, że wtedy na sylwestra zawieszono godzinę policyjną, a teraz ją wprowadzają. Co do kasyn, brak danych. Pasterka bez zmian" – napisał na przykład Donald Tusk. „Pan przewodniczący chyba zapomniał, że w Belgii też jest godzina policyjna, już od jakiegoś czasu. W sylwestra również będzie. Straszna ta polska dyktatura, ma taką siłę rażenia" – odpowiedziała mu dziennikarka Dominika Ćosić.

Pozostając w temacie represji. „26 grudnia lecimy na Teneryfę. Cieszę się, że całe to szaleństwo z godziną policyjną, sylwestrem na zoomie i Narodową Kwarantanną nas ominie. Jakoś łatwiej mimo wszystko znosić mi cudze idiosynkrazje niż nasze, polskie. Brakuje emocjonalnego dystansu. Cała nadzieja w geografii" – ogłosił Leszek Jażdżewski.

W dwóch tweetach odpisała mu Polka mieszkająca w Hiszpanii. „Dzień dobry, ja z Teneryfy. Przyszłam Pana pozbawić złudzeń. Jeśli uda się Panu w ogóle przylecieć, będzie Pan w pełnym reżimie sanitarnym przetransportowany do hotelu. Dalej 1. Negatywny test, 2. Godzina policyjna 22–6, 3. Absolutny zakaz spotkań, spacerów czy sportu z kimkolwiek, z kim nie mieszka się pod jednym dachem, 4. Zakaz przemieszczania się pomiędzy lokalizacjami, 5. Sklepy na 33 proc. zapełnienia, 6. Bary i restauracje wyłącznie tarasy, też 33 proc., 7. Największe miasta zamknięte. Miłego sylwestra w pokoju hotelowym!" – rozwiała złudzenia Natalia Acosta.

Te ucieczki to chyba jednak jakiś szerszy trend. „Covid przechorowałem bardzo ciężko. Ale zaraziłem się w Polsce, a nie w podróży. Dlatego nie dam się zamknąć w kraju! Jestem ozdrowieńcem, badam się regularnie, nikomu nie zagrażam i dlatego uciekam z Polski, kraju wielu nieszczęść, kłamstwa i głupiej władzy!" – wykrzyczał Michał Cessanis, partner Pawła Rabieja – gościnnie – na Instagramie. Czy wybierze Grecję, a może Teneryfę – pozostajemy w niepewności. Państwu jednak bez zawahania życzę lepszego 2021 r. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Bo jesteśmy wspólnotą...

Pytana o to, co sprawia, że jako naród potrafimy stawiać czoło trudnym, ekstremalnym wyzwaniom, takim np. jak w mijającym roku, minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg odpowiada: „wspólnotowość". W tym jednym słowie zawiera się podsumowanie naszej solidarności, dbałości o siebie nawzajem, umiejętności mobilizacji, ale także misji dbania o Polaków, która jest celem resortu rodziny, a która w tym mijającym roku była realizowana ze szczególną pieczołowitością

Czy z wyzwaniami, które przyniósł nam kończący się właśnie rok, moglibyśmy równie dobrze się mierzyć, gdyby nie wspólne działanie? Najpierw w tych najmniejszych wspólnotach – rodzinach, które nagle okazały się centrum życia, kiedy wszelkie inne aktywności zostały zamknięte w domach. I znowu okazało się – jak już wielokrotnie w naszej historii – jak ogromny potencjał tkwi w naszych rodzinach. Potrafiliśmy nie tylko połączyć opiekę nad dziećmi, z ich edukacją, a niekiedy i pracą zawodową, lecz także wziąć na siebie ochronę najsłabszych. Chociaż niewątpliwie godzenie tych wszystkich aktywności wymagało ogromnego wysiłku i umiejętności organizacyjnych. Resort rodziny, dostrzegając wyzwania, z jakimi mierzyli się rodzice, wprowadził dodatkowy zasiłek opiekuńczy. Zabezpieczył tym samym finansową stabilność rodzin.

Na wysokości zadania stanęły nie tylko rodziny, nie tylko Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej, lecz także nasza wspólnota rozumiana szerzej – polskie społeczeństwo. Stanąwszy przed zagrożeniem, znowu połączyliśmy siły, pokazując, że potrafimy razem sprostać nawet najtrudniejszemu wyzwaniu, jednocześnie biorąc pod opiekę tych, którzy najbardziej jej potrzebują.

Warto jednak zdać sobie sprawę, że epidemia, którą był naznaczony rok 2020, była (i jest nadal) sytuacją bez precedensu. Dla wielu z nas graniczną. Nikt z nas nie był na nią gotowy i nikt z nas nie miał gotowych scenariuszy. W takich właśnie nadzwyczajnych warunkach pracowało Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej w mijającym roku. Służąc rodzinom i wszystkim potrzebującym pomocy w tym szczególnym czasie. Reagując szybko na zmieniającą się rzeczywistość, nieprzerwanie realizując swoją misję. I jak na szczególne warunki przystało, nadając priorytetom społecznym hierarchię wykonalności.

W TROSCE O NAJSŁABSZYCH

Od samego początku oczywiste było, że sytuacja, w której się wszyscy znaleźliśmy, jest szczególnie niebezpieczna dla osób starszych i schorowanych. To one są bowiem najbardziej narażone na ciężki przebieg choroby wywołanej przez wirusa SARS-CoV-2 i to ich ochrona musiała stać się jednym z priorytetów resortu – wspomina dziś minister Maląg.

To właśnie dlatego resort rodziny przekazał do domów pomocy społecznej rekordową kwotę ponad 600 mln zł.

Z kolei dla zwiększenia bezpieczeństwa tych, którzy samodzielne robią zakupy, rząd wprowadził tzw. godziny dla seniora. Dla tych, którzy chcą pozostać w domach, resort rodziny zainicjował Solidarnościowy Korpus Wsparcia Seniorów, przekazując samorządom 100 mln zł na realizację tego zadania. W ramach tego programu wolontariusze, którzy współpracują z ośrodkami pomocy społecznej, dostarczają do domów osób starszych niezbędne produkty. Do akcji włączyły się również Ochotnicza Straż Pożarna, a także Wojska Obrony Terytorialnej i harcerze.

– Nie zostawiamy seniorów bez opieki, chcemy, by mieli oni świadomość

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

tego, że nie pozostają sami – tłumaczyła minister Maląg.

Resort rodziny nie zapomniał także o osobach bezdomnych. Szczególnie że co trzecia ma powyżej 60 lat. W ramach programu Pokonać Bezdomność na pomoc osobom bezdomnym i zagrożonym bezdomnością przeznaczona została łączna kwota 17 mln zł. W związku z trwającą pandemią, desygnowano trzy razy więcej pieniędzy na ten cel niż w roku poprzednim.

W TROSCE O MIEJSCA PRACY

Ten szczególny epidemiczny czas okazał się trudny również dla przedsiębiorstw. I tutaj także resort kierowany przez minister Maląg ruszył z pomocą, wspierając tym samym także bezpieczeństwo finansowe wielu rodzin. Bardzo szybko została uruchomiona pierwsza i kolejne tarcze antykryzysowe, które objęły m.in.: dofinansowania do wynagrodzeń, bezzwrotne pożyczki dla mikroprzedsiębiorców, zwolnienia ze składek i świadczenie postojowe. Łączna wartość tej pomocy to ponad 166 mld zł.

– Dzięki zastosowanym rozwiązaniom uratowaliśmy ponad 6 mln miejsc pracy. To bardzo pozytywny wynik na tle innych krajów Unii Europejskiej, a zarazem potwierdzenie tego, że nasze dotychczasowe i zdecydowane działania skierowane na ochronę miejsc pracy to słusznie obrany kierunek. Istotnie wsparliśmy płynność finansową przedsiębiorstw, które szczególnie odczuły skutki pandemii – mówi minister Maląg.

W TROSCE O WSZYSTKICH CZŁONKÓW RODZIN

Mimo specjalnych zadań, które Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej realizuje, a które wynikają ze stanu epidemii, stabilnie i terminowo realizowane są również wszystkie programy społeczne skierowane do rodzin, seniorów oraz osób z niepełnosprawnościami. Dość powiedzieć, że dzięki programowi Rodzina 500+, którym objętych jest ok. 6,5 mln dzieci, do rodzin trafia ok. 3,3 mld zł miesięcznie. Pieniądze te stały się dla wielu gospodarstw domowych dodatkowym przychodem gwarantowanym, który przeznaczają na konsumpcję, dodatkowo napędzając tym samym gospodarkę w tym trudnym czasie. Podobnie zresztą jak Dobry Start z wartością wypłat na poziomie 1,42 mld zł w tym roku i 13. emerytura wraz z jej waloryzacją trafiające do ok. 9,8 mln emerytów i rencistów o łącznej wartości 22 mld zł.

Z myślą o aktywizacji najstarszych członków wspólnot uruchomiono kontynuację programów realizujących politykę senioralną na lata 2021–2025. Łączna wartość zamkniętych w tym roku edycji projektów to 520 mln zł.

– Bardzo zależy nam na tym, żeby osoby starsze były jak najdłużej aktywne, rozwijały swoje kompetencje i zainteresowania, ciesząc się jesienią życia – tłumaczy minister Maląg.

Na drugim biegunie są potrzeby związane z opieką nad najmłodszymi. Dzięki działaniom resortu w tegorocznej edycji programu Maluch+, pomimo trwającej pandemii, powstaje ok. 20 tys. miejsc opieki, co sprawia, że jest ich już ponad 200 tys., a to dwukrotnie więcej niż w 2015 roku. W nowym roku resort rodziny przeznaczy na ten cel ok. 450 mln zł.

Temu istotnemu – m.in. ze względu na pułapkę demograficzną – zagadnieniu służy także program Po Pierwsze Rodzina. W mijającym roku resort rodziny przekazał na ten program łącznie ponad 8,5 mln zł.

– W jego ramach finansujemy inicjatywy oddolne, dzięki czemu docieramy z pomocą do małych społeczności oraz grup o swoistych potrzebach. Cieszę się, że w ten sposób wspólnie pomagamy im radzić sobie z wyzwaniami życia codziennego, szczególnie teraz, w trudnym czasie pandemii – wyjaśnia minister Maląg.

Wsparcie w miarę normalnego funkcjonowania w nowych warunkach objęło także dzieci znajdujące się w pieczy zastępczej. Resort rodziny przekazał 130 mln zł na zakup komputerów i oprogramowania, dzięki którym mogą kontynuować naukę w formie zdalnej.

Zadbano także o osoby z niepełnosprawnościami. Na pomoc im w 2020 roku Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej przeznaczyło rekordową kwotę – ok. 27 mld zł, co oznacza 75-procentowy wzrost w ciągu ostatnich pięciu lat. W jego ramach m.in. wypłaconych zostało 650 tysięcy świadczeń uzupełniających dla osób niezdolnych do samodzielnej egzystencji o wartości 4,5 mld zł, a resort ogłosił także start nowych edycji programów: Asystent Osobisty Osoby Niepełnosprawne i Opieka Wytchnieniowa.

– Dzięki temu wsparciu osoby niepełnoprawne zyskują szansę na bardziej samodzielne i aktywne życie, a osoby zaangażowane na co dzień w sprawowanie opieki nad nimi będą mogły znaleźć czas dla siebie, aby odpocząć i się zregenerować – podkreśla minister Maląg.

W TROSCE O SOLIDARNOŚĆ

Pandemia koronowirusa sprawiła, że niemal każda dziedzina naszego życia musiała ulec diametralnej zmianie. Solidarność międzypokoleniowa, o której mówił dużo w tym roku rząd Zjednoczonej Prawicy, to de facto troska o drugiego człowieka, która winna być pielęgnowana, by zbierać jej owoce w momentach próby. Ten rok pokazał, że postawieni w sytuacji ekstremalnej wciąż potrafimy być solidarni!

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Jak Polacy wykorzystują pandemię?

Pandemia boleśnie uderza w jedne branże w Polsce, za to inne rozwijają się w niespotykanym dotąd tempie. W jednych sektorach pracy ubywa, w innych potrzeba dodatkowych pracowników. Z jakich narzędzi skorzystać, by udowodnić swoje kwalifikacje w nowych dziedzinach? Mamy na to odpowiedź

Wydawało się, że pierwszy lockdown – na wiosnę – będzie ogromnym uderzeniem w gospodarkę. Wszystko zastygło na tygodnie. Ludzie nie mogli nawet opuszczać własnych mieszkań. Ale latem gospodarka szybko się odbudowywała. Ludzie znów zaczęli

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

żyć, wyjeżdżać na wakacje oraz – co najważniejsze – kupować towary. Jednak druga, jesienna fala zachorowań na COVID-19 przyniosła nowe ograniczenia. Tym razem wiele firm może już nie przetrwać na rynku.

Bardzo odczuły to branże gastronomiczna i fitness, które pozostawały najdłużej zamknięte dla klientów. Wprawdzie w Polsce nie ma jeszcze tak dramatycznych sygnałów jak z krajów wyjątkowo nastawionych na turystykę, ale widać zapaść.

JEDNI SIĘ KURCZĄ

Jak wynikało z Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor oraz Bisnode Polska, firmy z branży fitness już po wiosennym lockdownie miały ponad 93 mln zł zaległości wobec partnerów biznesowych i banków. W dodatku – jak się okazało – 90 proc. klubów nie zatrudniało pracowników na umowę o pracę, więc nie dostało wsparcia z rządowej tarczy. Dlatego jesienią firmy, walcząc o możliwość świadczenia usług, często walczyły już o „być albo nie być". Przed wybuchem epidemii w Polsce działało prawie 3 tys. klubów fitness. Miały ok. 3 mln klientów.

Nie lepiej sytuacja wygląda w gastronomii – choć właściciele tych biznesów mogli jednak dostarczać jedzenie na wynos. Przed widmem bankructwa stanęło wiele podmiotów. O przetrwanie walczy ok. 60 tys. restauracji.

INNI ROSNĄ

Pandemia – która mocno uderzyła w niektóre sektory – w innych branżach stworzyła ogromne szanse. I prawdopodobnie na długo zmieniła też podejście do handlu. Przy zamkniętych sklepach i ostrzeżeniach dotyczących zachowania dystansu społecznego jak nigdy wcześniej rozwinęła się sprzedaż przez Internet. To złoty czas branży e-commerce. Zainteresowanie otwarciem internetowego sklepu jest aż o połowę większe niż w tym samym okresie poprzedniego roku. Ci, którzy już działali na rynku internetowym, notowali gigantyczne wzrosty zamówień. Cały sektor e-commerce w Polsce urósł dwukrotnie. Wraz ze wzrostem sprzedaży on-line naturalnie rozwinęła skrzydła branża kurierska.

Takie firmy będą za chwilę przekwalifikowywać pracowników i poszukiwać osób z innymi kompetencjami. – W nowych czasach firmy dążą do elastyczności,

stawiając na zdolność szybkiego dopasowania biznesu do zmiennych warunków. Niezbędne jest posiadanie nowych kompetencji i umiejętności wśród pracowników wszystkich branż – mówi Iwona Caputa, ekspertka Instytutu Badań Edukacyjnych. – Bez względu na branżę kluczowymi kompetencjami stały się umiejętności poruszania w świecie wirtualnym, korzystania z komunikatorów, platform komunikacyjnych dających możliwość kontaktu w zespołach rozproszonych podczas pracy zdalnej, kontaktów z klientami i sprzedaży. Niezbędne okazały się też kompetencje społeczne i umiejętności interpersonalne oraz marketingowe, ponieważ wiele firm przeniosło część swoich działań do świata wirtualnego.

Obecnie to od elastyczności pracownika i pracodawcy zależy jego „być albo nie być". Ale zależy to również od chęci rozwoju kompetencji cyfrowych oraz marketingowych każdego z nas, bez względu na zajmowane stanowisko.

CZAS NA ZMIANĘ?

To może być szansa dla tych pracowników, którzy mają kompetencje związane z nowoczesnymi technologiami. W Polsce są narzędzia, które mogą pomóc wiarygodnie przedstawić swoje umiejętności i wiedzę. I to nawet wówczas, gdy kompetencje związane z technologiami informatycznymi nabywaliśmy nie w pracy, ale np. rozwijając własne zainteresowania. Mowa o Zintegrowanym Systemie Edukacji, którego działanie rozwija Instytut Badań Edukacyjnych. Czym jest ZSK? To system stworzony w oparciu o popularną w krajach unijnych ideę lifelong learning. Mówi ona o tym, że warto i należy uczyć się przez całe życie, a każda umiejętność może zostać kreatywnie wykorzystana, zwiększając nasze szanse na rynku pracy.

Tyle teoria. A w praktyka? W praktyce umiejętności, które posiadamy, możemy potwierdzić certyfikatem Zintegrowanego Systemu Kwalifikacji – nieważne, czy nauczyliśmy się czegoś w domu, w pracy czy na kursach. Istotne, że potrafimy. Działa to podobnie jak certyfikaty językowe, ale dotyczy wielu dziedzin, w tym właśnie kompetencji cyfrowych. To dzięki ZSK można się szybko przekwalifikować i zdobyć wiarygodny certyfikat, uznawany w Polsce oraz UE. Bo firmy wciąż będą szukać właśnie takich pracowników. Nie wydaje się bowiem, żeby przyspieszona pandemią rewolucja internetowa miała w niedługiej przyszłości zwolnić.

Fundusze Europejskie Wiedza Edukacja Rozwój
Rzeczpospolita Polska
IBE kwalifikacje dla każdego
Unia Europejska Europejski Fundusz Społeczny

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowe klocki Tuska

To, że Donald Tusk postawił na PO krzyżyk, nie jest odkryciem. Stało się to jasne już wtedy, gdy „prezydent Europy" odmówił kandydowania przeciwko Andrzejowi Dudzie. Znaczyło to, że albo poczuł się już spełniony i nie chce niczego więcej niż fotel, ciepłe kapcie i mecz telewizji, albo że uznał, iż PO nigdy wyborów z PiS nie wygra, więc wrócić może tylko po jej trupie.

Gdyby w PO był dziś ktoś myślący podobnie jak Tusk, to od tego momentu robiłby wszystko, aby Tuska w Polsce zniszczyć i skompromitować. Bo wiadomo, że wariant „fotel i kapcie" odpada, że Tusk będzie w polskiej polityce mieszać, choćby z nudów, skoro w europejskiej nie ma nic do powiedzenia – a jakkolwiek będzie to robił, zawsze będzie szkodził swojej byłej partii. Wydaje się jednak, że w samej PO, jak i w całym szerokim anty-PiS nie ma nikogo, kto by ogarniał makiaweliczne myślenie Tuska – wszyscy tam są tak sparaliżowani nienawiścią do Kaczyńskiego, że jego rywalowi przypisują naiwnie wyłącznie cechy pozytywne.

Żeby mieszać, zaznaczać swą wagę, a najlepiej – niezastąpioność, trzeba mieć jakieś narzędzie. PO jest już tylko „wylinką", Lewica też nie rokuje żadnych szans, co najlepiej pokazał fakt, że na protestach feministek, które powinny ją wywindować w górę, sondażowo nic nie zyskała, a nawet straciła. Próba postawienia na PSL nie udała się, ponieważ „tygrys" okazał się kompletnie wyzuty z tygrysich cech charakteru. Jedynym możliwym wariantem stało się dla Tuska patronowanie Hołowni. Taka współpraca otwiera przed obydwoma możliwość budowania w miarę trwałego „nowego centrum". I pod takim kątem radziłbym analizować kolejne posunięcia zarówno Tuska, jak i Hołowni, coraz bardziej zresztą otoczonego ludźmi Tuskowi bliskimi. Nie ma pośpiechu, Tusk, rozsądnie zresztą, nie ulega „chciejstwu" opozycji i nie liczy na rychły rozpad PiS oraz przyśpieszone wybory. Dba tylko, by PO odeszła w lewo i zrobiła miejsce pod nową formację. I ta właśnie to robi. Na ile wskutek intryg swego byłego lidera, na ile sama z własnej głupoty – tu już inna sprawa. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Możliwe szczęście

Nieoceniony prof. de Mattei przypomniał w przedostatnim numerze „Correspondance européenne" – w kontekście debaty o ogólnoludzkim braterstwie po publikacji „Fratelli tutti" – cenny fragment „Notre charge apostolique". Z aktami papieży, dokumentami czy kazaniami jest tak, że często tak mocno zapamiętujemy najdobitniejsze fragmenty, że w ich świetle bledną sąsiednie, równie cenne. I tak jest ze wspomnianą encykliką św. Piusa X na temat błędów Marca Sangniera, prekursora chrześcijańskiej demokracji. Często cytujemy jej najbardziej znane zdanie, że cywilizacji „nie trzeba wymyślać ani budować z niczego", gdyż po prostu należy odbudować cywilizację chrześcijańską.

Włoski historyk przypomina ciąg dalszy tego fragmentu o tym, że Zbawiciel „nie zapowiadał przyszłego społeczeństwa idealnej szczęśliwości, z którego zostanie usunięte cierpienie; swymi naukami i swym przykładem wyznaczył drogę możliwego szczęścia na ziemi i doskonałego szczęścia w niebie: królewską drogę krzyża". A dalej najbardziej może dobitny, choć najsłabiej przyswajany wniosek: „Nie należy tych nauk odnosić jedynie do indywidualnego życia w perspektywie zbawienia wiecznego. Te nauki mają znaczenie najzupełniej społeczne, gdyż w Naszym Panu Jezusie Chrystusie wskazują coś innego niż humanitaryzm bez treści i mocy".

Zawsze będę wdzięczny Jurkowi Kropiwnickiemu za zorganizowanie ruchu społecznego, dzięki któremu przywrócono w Święto Trzech Króli dzień wolny od pracy. Teraz znów można jeszcze pełniej świętować przyjście Pana na świat i Jego objawienie narodom, a przez to lepiej i spokojniej zacząć kolejny rok. Nikt dziś nie może się spodziewać, że będzie to rok bez problemów, rok „idealnego szczęścia". Ale z Bogiem zawsze, w najgorszych nawet terminach, możemy być szczęśliwi, robiąc – a jak Bóg da – również osiągając to, co możliwe tu, w ziemskiej ojczyźnie. Szczęśliwego nowego roku więc dla Wszystkich! ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

dwaj panowie g

Chociaż już po świętach, to mamy dla was opowieść wigilijną. No dobrze, przedwigilijną. Otóż niedługo przed świętami w Zakopanem w pewnym hotelu na literę „H" pojawili się prezydent Andrzej Sebastian z małżonką, a także ekipa TVP, żeby nagrać koncert kolęd z udziałem pary prezydenckiej. Atmosferę zakłócił nalot policji: kontrola delegacji służbowych, maseczek i żelu dezynfekującego. Ale i tak skończyło się dobrze.

Już wyjaśniamy. Jak nam opowiedziały miejscowe wiewiórki, donos na policję złożyli konkurencyjni hotelarze zaniepokojeni widokiem dużej liczby samochodów na warszawskich rejestracjach parkujących pod hotelem. Rozwścieczyło ich to okrutnie, bo doszli do wniosku, że ktoś robi biznes na nielegalu i nocuje turystów za grube dutki mimo koronawirusowych zakazów. Góral żywemu nie przepuści! Zwłaszcza sąsiadowi.

Apropos prezydenta Andrzeja Sebastiana. Wiemy już, jaka jest różnica między prezydentem walczącym o kolejną kadencję, czyli takim, któremu zależy, a prezydentem, który już wygrał drugą kadencję i trzeciej miał nie będzie, więc mu już nie zależy. Od tego pierwszego przez lata przychodziły kartki świąteczne podpisane: „Prezydent Andrzej Duda". Od tego drugiego przyszły w tym roku kartki świąteczne podpisane: „Błażej Spychalski".

Wszyscy odbiorcy tegorocznych kartek od Andrzeja Sebastiana Błażeja i tak mają szczęście – miało ich początkowo w ogóle nie być z powodu COVID. Wiecie, koperty niosą śmierć i takie tam inne platformerskie argumenty. Ostatecznie jednak wysyłka w kancelarii się odbyła, ale na wszelki wypadek zdezynfekowaliśmy koperty.

Dobrze czy źle, byle nazwiska nie przekręcili – stara zasada jest wciąż prawdziwa. Ukazało się przed świętami wiele publikacji o byłym rzeczniku PiS Adamie Hofmanie i jego firmie R4S. Wydawać by się mogło, że sugestie, jakoby robi ona interesy na styku państwowego i prywatnego, pogrążą firmę. Otóż nie. A nawet wręcz przeciwnie – klienci zaczęli walić drzwiami i oknami. Złośliwe wiewiórki pytają, czy aby sam Hofman jakoś nie zainwestował w publikacje

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

OKO.press, by zwiększyć sobie rozpoznawalność marki.

Maluczko przed świętami blady strach padł na PiS, kiedy na profilu niejakiego Nizinkiewicza z „Rzepy" pojawiła się informacja, że ukaże się materiał, po którym rozpęta się w PiS pandemonium. Na wyprzódki zaczęto spekulować, jakąż to aferę odpali dziennik Grzegorza Hajdabombera. Odpowiedź brzmi – żadnej. Prezes po prostu udzielił wywiadu, w którym się przejechał trochę po własnej formacji. Tyle. Ale ta skłonność do paniki – zastanawiająca.

Odłamkowym tej pseudoafery dostał niejaki Obajtek z Orlenu. Ktoś w Sejmie podsłuchał, jak szeregowy wicepremier rozmawiał z niejakim „Psem", czyli Ryszardem Terleckim. A w dodatku prezes kazał łączyć pilnie z Obajtkiem. Pożeniono to z info od Nizinkiewicza i po Warszawie poszedł hyr, że „Rzepa" pisze o jakiejś aferze Orlenu. To już nawet nie widły z igły, tylko igły z mydła.

Pojawiła się też informacja, że „Rzepa" ma być sprzedana przez Grzegorza Hajdabombera Orlenowi. My mamy jednak znacznie bardziej sensacyjną wiadomość. Podobno Agora jest na sprzedaż. To wywołało w naszej rubryce bratobójczą wojnę. Panowie G. toczą w tej chwili śmiertelny bój o to, który z nich zajmie gabinet po Michniku przy Czerskiej. I dzięki temu wiadomość o tym, ile Agora wyciągnęła z rządowego funduszu antywirusowego, stała się dla nas bardziej strawna.

Jednocześnie po mieście krążą niestworzone plotki na temat tego, jakich to innych gazet teraz panowie G. będą naczelnymi – w związku z repolonizacją mediów. Najbardziej chcielibyśmy pokierować jakimś magazynem kulinarnym, gdyż jeden z nas nieźle gotuje, a drugi nieźle je.

Apropos Orlenu i Polska Press – najbardziej śmiać się nam chce, gdy słyszymy argumenty, że ten zakup się biznesowo nie trzyma kupy. Oj, trzyma się, trzyma – parę lat temu tę samą grupę prasową chciało kupić PZU. Mówiło się o kwocie 200 mln i wyglądała ona na biznesowo rozsądną. Krótko mówiąc, zakup za 120 baniek to życiowa okazja.

Słyszeliśmy też o ciekawym planie biznesowym na tytuły Polska Press. Na początek pod nóż pójdą setki prezesów i sekretarek, bo tego tam najwięcej. A największe zainteresowanie speców w Orlenie wzbudza gigantyczny tort internetowy, do wykorzystania przez firmę w celach handlowych i promocyjnych.

Nie wszystkie przejęcia idą dobrze. Po wyrzuceniu z roboty wojewody poznańskiego Łukasza Mikołajczyka poszukiwania kogoś, kto przejąłby fotel, okazały się bardzo trudne. Telefonów od zainteresowanych w Warszawie nie przyjmowano. Dla odmiany rozmaici kandydaci traktowani serio robili wszystko, by nie odbierać telefonów z Warszawy. Bartłomiej Wróblewski by od razu odebrał, ale wciąż marzy o stanowisku rzecznika praw obywatelskich.

Kandydatem PiS na rzecznika praw obywatelskich jest tymczasem niby Piotr Wawrzyk, ale wiewiórki opowiadają, że przeznaczono mu rolę zająca i że jeszcze się sporo zmieni. Współczujemy Wawrzykowi, gdyby był tylko zającem. Posada RPO rozwiązałaby jego główny problem z pracą w MSZ. Jest bowiem wiceministrem spraw zagranicznych, który nie lubi latać samolotami. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Rok 2020 i czas pandemii dały się mocno we znaki także naszym celebrytom. Zamknięci w domach, pozbawieni eventów, ścianek i bankietów robili, co mogli, byśmy o nich nie zapomnieli. Kto był najskuteczniejszy? Oto nasze tegoroczne typy.

DOKTOR EDZIA I STATYŚCI

O palmę pierwszeństwa w kategorii najgłupszych teorii na temat pandemii walczyły eksmodelka Viola Kołakowska i Edzia Górniak.
Zacznijmy od Edzi. Otóż nasza diwa stwierdziła, że pandemii tak naprawdę nie ma, wirus nie jest groźny, maseczki to forma zniewolenia, a w szpitalach COVID-owych leżą... statyści. No i oczywiście Edzia nigdy w życiu nie pozwoli się zaszczepić! – Dopóki żyję, nie dam się zaszczepić. Jeśli to będzie przymusowe, to przysięgam, jak tutaj stoję, że wolę odejść z tego świata, niż dać komukolwiek wstrzyknąć w mój organizm cokolwiek, czego ja nie znam – zadeklarowała w internetowej telewizji wRealu24.
– Ja zawsze byłam przeciwna chemii – dodała. O tak! Wystarczy spojrzeć na Edzi twarz, by zobaczyć, jak bardzo była zawsze przeciwna chemii! A botoksowi najbardziej!

ODKRYCIE VIOLI

Viola Kołakowska tak jak Edzia przez wiele miesięcy przekonywała, że pandemia to spisek. Twierdziła, że pandemia jest „przykrywką" czegoś poważniejszego, w czym maczał palce – tu uwaga – rząd światowy!

– Mówiłam, że chodzi o grubszą sprawę. Mówiłam, że nie chodzi o żadnego wirusa, że to jest przykrywka do czegoś, do grubej sprawy, która się odbywa. Do tak zwanego światowego resetu finansowego – ujawniała Viola, mająca dostęp do wiedzy tajnej przez poufną. Niestety, bywały i momenty zwątpienia, gdy do Violi docierało, że nie wszyscy ją rozumieją. Wtedy mówiła tak: „Nikogo nie będę przekonywać i nie mam zamiaru tłumaczyć się z tego, co mówię. Słuchajcie, nie trzeba tego słuchać, ja nie każę nikomu słuchać tego, co mówię. To mówię do tych, których to interesuje i którzy wiedzą, o czym ja mówię". Czyli tylko do Edzi. Wszystko się zgadza.

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GRONADA

CHWILOWY BRAK TWÓRCZOŚCI

Pandemia mocno uderzyła w branżę muzyczną. Jej przedstawiciele skarżyli się na brak koncertów i brak zarobków. Nie ominęło to także gwiazd disco polo. Zenek Martyniuk zdradził w „Super Expressie", że pomimo mniejszej liczby koncertów on nie narzeka.
– W tym roku mam zaledwie kilka występów. Głównie telewizyjnych, bo takie są dopuszczalne. Pogodziłem się z sytuacją. Pieniądze są ważne, ale to nie wszystko – opowiadał. – W końcu mam czas, żeby pomieszkać we własnym domu i cieszyć się z małych rzeczy. Koszę trawę, sadzę z żoną kwiaty – relacjonował. A my cieszyliśmy się jego szczęściem. I brakiem twórczości też. Choćby chwilowym.

INNE NIESZCZĘŚCIA

Oprócz pandemii bywały i inne nieszczęścia w mijającym roku. Na przykład informacja o tym, że celebrytka Barbara Kurdej-Szatan planuje wydać książkę. Ma to być jej biografia, którą będzie pisać jej najlepsza przyjaciółka. – Robimy taki secret project. Książka. To wszystko tworzy się pomału, jesteśmy w trakcie pracy. Magda o mnie dużo wie, ja się boję tej książki. Będzie trochę prywatnych sekretów. Nie znacie mnie od dziecka – wyznała. I nie chcemy! Znamy raptem od paru lat, a już mamy dość.

PODOBNA DO NIKOGO

Ten rok po raz kolejny należał do familii Majdanów. Małgorzata i Radosław Majdanowie doczekali się wspólnego potomka Henryka, którym chętnie dzielą się ze światem i reklamodawcami. Małgorzata w chwilach wolnych od sesji zdjęciowych, nagrań programów i zmiany pieluszek znajduje jeszcze czas, by podzielić się swoimi bolączkami z widzami programów śniadaniowych. W „Dzień dobry TVN" wyznała, że ma trzech synów i żaden nie jest do niej podobny. – Tak jak Staś i Tadeusz są podobni do Jacka, tak Henryk jest podobny do Radosława. Mam troje dzieci i żadne nie jest podobne do mnie – ubolewała. Ciekawe, skąd to wie? Przecież sama już dawno nie jest do siebie podobna.

HEROIZM NASZYCH CZASÓW

Nie lada odwagą wykazała się celebrytka Natalia Siwiec. Otóż zamieściła na Instagramie swoje zdjęcie z niepomalowanymi paznokciami. U stóp. Zareagowała na to blogerka Nicole Sochacki, znana jako MamaGinekolog. „Natalia, obserwuję Cię od dawna. Nawet kiedyś się poznałyśmy, nie wiem, czy pamiętasz. Żadne Twoje zdjęcie nie ujęło mnie tak jak to. Niezrobione paznokcie u stóp. To z jednej strony symbol obecnych czasów, a z drugiej odwaga. Odwaga to cecha, która zmienia świat na lepsze" – napisała. Nie wiemy, w jaki sposób niepomalowane paznokcie Natalii Siwiec czynią świat lepszym. Ale na pewno czynią go radośniejszym, bo czytając takie newsy, nie da się nie parsknąć śmiechem. Co w czasach pandemii było i jest nie do przecenienia! ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na szczęście jesteśmy wciąż młodzi, ale już na tyle dojrzali, iżby nie mieć ferii, iż byśmy chyba zwariowali od tego siedzenia w domu. Na szczęście wciąż możemy sprzedawać pakiety Internet + telefon w trybie home office.

Z dobrych wiadomości – rząd złagodził wymagania maturalne, dzięki czemu młodzież licealna będzie poddana mniejszej presji niż co roku. Szkoda, że było trzeba dopiero globalnej pandemii, aby ktoś się ogarnął, iż nie ma co młodzieży niepotrzebnie stresować, np. taką ustną maturą z polskiego.

Kolejnym krokiem powinna być dalsza likwidacja matur, następnie zdalnej edukacji, potem edukacji w ogóle, a na koniec skierowanie wszystkich młodych ludzi po 15. roku życia do pracy polegającej na przeklejaniu kolumn z jednego pliku Excela do drugiego – oczywiście w trybie home office i z poszanowaniem zasad dystansu społecznego, skoro i tak siedzą w domach i mieliby się nudzić.

Trochę nas dziwi, iż w dyskusji publicznej tak łatwo się wszystkim mówi o „mutacji" koronawirusoosoby. Tymczasem jest to słowo pejoratywne, iż zakłada pewne zniekształcenie, a poza tym definiuje, który wariant koronawirusoosoby miałby być podstawowy, a który nie.

Męczy nas serio ta potrzeba określania wszystkiego, zamiast pozostawić rzeczy samym sobie, aby określiły się same przez się i według poczucia własnej tożsamości.

Iż rząd pozamykał możliwość uprawiania sportu amatorskiego w tym kraju i pozostawił tę możliwość wyłącznie zawodowcom, of kors w trosce o zdrowie publiczne, kondycję i formę obywateli (xD), to zastanawiamy się, jak teraz spalić nadmiarowe kalorie po Winter Holidays.

A może to jest właśnie plan rządu? Iżby zamknąć objedzonych obywateli w domach, pozwolić im ewentualnie wychodzić do aptek po środki na trawienie, a następnie takim objedzonym i rozleniowionym narodem łatwiej manipulować?

Próbowaliśmy trochę ćwiczyć w domu z filmikami z jutuba, ale nie nadążaliśmy za trenerem. Postanowiliśmy więc pochodzić wokół stołu, ale po 20. okrążeniu dostaliśmy nudności. Poszliśmy więc do apteki po jakiś środek i z przerażeniem uzmysłowiliśmy sobie, iż wpisujemy się w rządowy plan. No świetnie.

A jakby było mało problemów, to piłkarz z tego kraju, Robert Lewandowski, został uznany za najlepszego na świecie. Tego tylko trzeba – eskalacji poczucia dumy narodowej w sytuacji narodowej kwarantanny. Gdzie ci wszyscy kibole będą teraz odpalać race – w łazienkach? Co będą demolować z ekscytacji? To nie skończy się dobrze, a w dodatku mamy sąsiada, który chodzi na mecze, strach będzie wyjść z mieszkania śmieci wysypać, iżby przypadkiem go nie spotkać... ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Budująca atmosfera

Dzień dobry, pani Marto. Proszę usiąść.
Wyp....., Rafał!

Tak... No cóż... Rozumiem, że to taka forma ekspresji, niewątpliwie słusznej wobec opresyjności obecnej władzy, mimo to miałbym nadzieję, że uda nam się...
Wyp.....!

... jakoś dogadać, tak abyśmy wspólnie mogli stworzyć front przeciwko...
Ty głuchy jakiś jesteś?
WYP.....J!

Słyszę panią, nie musi pani tak krzyczeć. Zaprosiłem panią, ponieważ...
Ty dziadersie, wyp.....!

... jestem już po owocnych rozmowach z panem Hołownią, który z zainteresowaniem odniósł się do...
Klerykał zaprzedany czarnym, niech wypierdala! I ty też!

A może kawki?
Wyp.....!

Herbaty?
Wyp.....!

Jakiś koniaczek się też znajdzie...
Burżujskie nawyki, wyp.....!

To ja może przekażę mediom, że spotkaliśmy się w dobrej atmosferze i wspólnie będziemy dążyć do... no, do tego i owego.
Wyp.....!

Dziękuję, mnie też było miło. ©℗
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„List Adama Michnika do Czesława Kiszczaka. 37 lat temu. Jeden z najważniejszych dokumentów naszych czasów. Najważniejszy czasów mojej młodości"

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Pomoc od PGNiG ma w większości charakter darowizn z przeznaczeniem na zakup sprzętu medycznego, ale wiosną potrzebującym placówkom medycznym przekazywano także środki ochronne i samochody FOT. PGNIG

W pierwszej kolejności pomoc trafiła do placówek zdrowotnych w miejscowościach, w których PGNiG prowadzi działalność, m.in. na Podkarpaciu, w Lubuskiem i w Wielkopolsce. W Warszawie firma wsparła Instytut Matki i Dziecka, który niemal sąsiaduje z centralą PGNiG na warszawskiej Woli FOT. IMID

„Jesteśmy blisko Ciebie" – pomoc PGNiG w walce z pandemią

Tuż po tym, jak nadeszło pierwsze zagrożenie pandemią koronawirusa, Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo przede wszystkim zadbało o zabezpieczenie ciągłości dostaw gazu ziemnego do odbiorców. Zaraz potem firma rozpoczęła akcję pomocy potrzebującym

Od marca PGNiG przeznaczyło blisko 50 mln zł na przeciwdziałanie epidemii COVID-19 – to wartość pomocy udzielonej na zewnątrz oraz koszt zabezpieczenia pracowników w spółkach Grupy Kapitałowej i utrzymania ciągłości pracy zakładów. Wsparcie materialne i finansowe trafiło w większości do placówek zdrowotnych, ale także instytucji opiekuńczych. Beneficjentami były domy pomocy społecznej, hospicja oraz organizacje wspierające kombatantów.

Ponad 6,5 mln zł PGNiG przekazało wiosną na rzecz szpitali i lokalnych ośrodków zdrowia w regionach, w których funkcjonują oddziały spółki. Pomoc otrzymały placówki m.in. w Sanoku, Zielonej Górze i Ostrowie Wielkopolskim. Blisko 1,9 mln zł trafiło do Centrum Medycznego w Łańcucie, które wówczas stało się tzw. szpitalem jednoimiennym dla województwa podkarpackiego, oraz do Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 4 w Lublinie. Spółka wsparła także Centralny Szpital Kliniczny MSWiA, Wojewódzki Szpital Zakaźny oraz Instytut Matki i Dziecka w Warszawie. Fundusze zostały przeznaczone na zakup środków ochrony osobistej oraz sprzętu medycznego, m.in. bronchofiberoskopu, ułatwiającego badanie dróg oddechowych, oraz niezbędnych dla ratowania życia respiratorów i kardiomonitorów. Na początku grudnia kolejna transza pomocy – o łącznej wysokości ponad 1,9 mln zł – trafiła do kilkunastu placówek medycznych w całym kraju.

PGNiG włączyło się również w pomoc dla instytucji państwowych mierzących się ze skutkami pandemii. Pracownicy na co dzień odpowiadający na pytania klientów dzwoniących na infolinię spółki PGNiG Obrót Detaliczny po odpowiednim przeszkoleniu zastępowali pracowników infolinii o koronawirusie prowadzonych przez Narodowy Fundusz Zdrowia i Główny Inspektorat Sanitarny. We współpracy z Polskim Związkiem Głuchych oraz Ministerstwem Funduszy i Polityki Regionalnej firma uruchomiła także wideoinfolinię dla osób niesłyszących, potrzebujących informacji na temat COVID-19. Wiosną tego roku za pośrednictwem spółki PGNiG Serwis 161 zestawów komputerowych trafiło do szkół w Warszawie, Nadarzynie, Łodzi oraz gminach Więcbork i Jeżewo. Sprzęt teleinformatyczny otrzymał także Główny Inspektorat Sanitarny.

Krzewienie polskiej kultury oraz troska o rozwój młodych pokoleń są ważną częścią realizowanych przez spółkę działań społecznych, także w czasie pandemii. Oprócz przekazania szkołom sprzętu komputerowego i zakupu sprzętu do nauki zdalnej Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza została wyłącznym sponsorem pasma edukacyjnego „Szkoła z TVP", który umożliwił uczniom dostęp do materiałów ułatwiających naukę zdalną.

Obok dużych projektów pomocowych w ostatnich miesiącach firma zrealizowała wiele mniejszych, doraźnych inicjatyw. W ramach oddolnej akcji pracowników, przy wsparciu Zarządu Spółki i Fundacji PGNiG, zebrano blisko 60 tys. zł dla centrum opiekuńczo-leczniczego w Warszawie, szpitala w Międzychodzie oraz dwóch domów pomocy społecznej – w Psarach i Fo-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

luszu. Środki te zostały przeznaczone na zakup środków ochrony osobistej. W odpowiedzi na powódź, która latem tego roku nawiedziła Podkarpacie – region szczególnie ważny dla firmy – PGNiG przekazało prawie 300 pralek, lodówek i kuchenek niemal 260 rodzinom dotkniętym skutkami żywiołu.

Działania pomocowe podejmowane przez spółkę przekroczyły również granicę Polski. PGNiG dofinansowało wysyłkę środków dezynfekujących do placówek ochrony zdrowia na Ukrainie i w Mołdawii. We współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych przekazało także maseczki i termometry dla mieszkańców Uzbekistanu i Kazachstanu.

Wsparcie udzielone przez PGNiG w ramach inicjatyw Ministerstwa Aktywów Państwowych oraz własnych projektów było wielowymiarowe, tak jak potrzeby, które wskutek pandemii dotknęły społeczeństwo. „Jesteśmy blisko Ciebie" to ważne hasło przyświecające polskiej spółce. Te słowa mają znaczenie dziś, w obliczu COVID-19, ale także w każdych innych okolicznościach, w których potrzebna jest pomoc drugiemu człowiekowi.

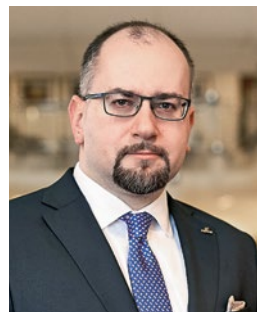

Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG:

Kiedy nadeszła pierwsza fala pandemii koronawirusa, PGNiG przede wszystkim zadbało o pewność dostaw gazu do naszych odbiorców i bezpieczeństwo pracowników, którzy gwarantują nieprzerwane działanie firmy na każdym polu jej działalności. Nie zapomnieliśmy przy tym o potrzebach społeczności szczególnie nam bliskich, z którymi firma jest związana swoją działalnością. Zacieśnianie więzi z mieszkańcami regionów, w których prowadzimy prace poszukiwawczo-wydobywcze, jest dla nas naturalne. Wśród nich mieszkają nasi pracownicy i ich rodziny. Zwykle nasze zaangażowanie dotyczy wsparcia wydarzeń kulturalnych i sportowych, tym razem najpilniejsza była pomoc placówkom zdrowotnym. To właśnie do szpitali w miejscowościach, gdzie PGNiG ma swoje oddziały i zakłady, w pierwszej kolejności trafiła nasza pomoc. Przekazaliśmy wsparcie finansowe na zakup sprzętu medycznego, w tym respiratory i środki ochronne. Przez cały ten trudny czas czujemy odpowiedzialność za otoczenie, w którym funkcjonujemy. Za pośrednictwem naszej fundacji wsparliśmy seniorów, powstańców warszawskich, domy pomocy społecznej, ubogie rodziny wielodzietne, powodzian z Podkarpacia. Włączyliśmy się w akcje pomocowe organizowane przez MSZ dla zagranicy. Pomagaliśmy w organizacji zdalnego nauczania, przekazując szkołom sprzęt komputerowy, wsparliśmy finansowo pasmo edukacyjne „Szkoła z TVP". Delegowaliśmy pracowników do obsługi infolinii NFZ, Polskiego Związku Głuchych i Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Na zewnętrze działania związane z walką ze skutkami pandemii koronawirusa Grupa Kapitałowa PGNiG przeznaczyła do tej pory prawie 22 mln zł. Podobną kwotę wydaliśmy na zapewnienie bezpieczeństwa naszych pracowników i ciągłości pracy zakładów odpowiedzialnych za dostawy gazu ziemnego, ropy naftowej oraz ciepła i energii elektrycznej.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Tęczowy taran z Waszyngtonu

Z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem, politologiem, historykiem i sowietologiem
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Pańskim zdaniem „Ameryka Bidena będzie jak tęczowy taran politycznej poprawności". Mocne porównanie. W co ten taran uderzy w pierwszych miesiącach rządów nowej administracji?

MAREK JAN CHODAKIEWICZ: Taran już się rozpędził i będzie szaleć na każdym froncie. Demokraci wręcz obiecują, że się zemszczą za prezydenturę Trumpa i odwrócą wszystko, co on starał się zatrzymać. W tej chwili mówi się o „prawach dziecka", a w tym „prawie dziecka do prywatności". Chodzi o seksualizację dzieci bez zgody rodziców. Oznacza to, że szkolni i inni biurokraci będą przekonywać moje dziecko do działań za moimi plecami. Na przykład dziecko będzie mogło sobie przeprowadzić aborcję czy podjąć proces transformacji prowadzący przez dawki hormonalne do masakry narządów płciowych, co niesłusznie nazywa się „zmianą płci". No bo płci tak naprawdę zmieniać nie można, można tylko powierzchownie, chirurgicznie usunąć zewnętrzne organy.

Będą też inne zamachy na dzieci. Na przykład wysiłki, aby zastąpić moralność tradycyjną politycznie poprawną „nową moralnością". Moja czteroletnia córka w prywatnej szkole katolickiej już dostała do podpisania deklarację „przeciw nienawiści" w imię tolerancji i dywersyfikacji. Okazuje się, że bez podpisania tej deklaracji szkoła nie otrzyma odpowiedniego atestatu. Na pytanie, czy nie wystarcza deklaracja chrześcijańskiej miłości, nie ma odpowiedzi. Jest tylko forma stworzona przez biurwę w oparach tzw. teorii krytycznej. I cały proces dogląda tzw. biuro do spraw wkluczania, dywersyfikacji i równości – zaprawdę orwellowska nazwa, która obecnie znajduje się nie tylko w instytucjach państwowych i na uniwersytetach, lecz także coraz częściej w prywatnych korporacjach.

Jakie dokładnie niesie ze sobą postulaty ta – o ile można tak powiedzieć – lewicowa rewolucja z Bidenem i Harris na czele?

Postulaty są rozmaite. Wspomniałem właśnie o sprawach dotyczących rewolucji seksualnej. Jednak chyba najbardziej groźny jest tzw. New Green Deal. Wymusić ma on na Ameryce odejście od tradycyjnych źródeł energii. Padnie węgiel, będzie zabraniane wydobycie szczelinowane (tzw.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

fracking) gazu łupkowego, już ogłoszono koniec koncesji na wydobycie ropy i gazu na obszarach nadbrzeżnych. Jest to program, który spowoduje niesamowite koszty dla gospodarki oraz będzie skutkować wielkim bezrobociem. Nie tylko w sektorze energetycznym, lecz także we wszystkich innych podłączonych do niego. I USA będą starały się wymuszać podobne fanaberie na swoich sojusznikach. I pchać się będzie energię słoneczną i wiatrową. Niczego złego w panelach i wiatrakach nie ma, ale nie dają one wystarczająco dużo prądu dla przeżycia ludzkości. Nie generują dosyć energii. Poza tym USA będą wymuszały odpowiednio „zielone" standardy emisji dwutlenku węgla w krajach Trzeciego Świata. To oznacza klęskę szczególnie dla Afryki, gdzie przecież nagminnie stosuje się ogrzewanie tradycyjne: węglem i drzewem. Za to wszystko biurokracja amerykańska i międzynarodowa będzie karać. I naturalnie będą wrodzy wobec energii atomowej, co szczególnie zagraża polskim wysiłkom na rzecz uzyskania suwerenności energetycznej. To bardzo zła wiadomość.

Trudno się raczej spodziewać, by Biden parł do resetu z Rosją. W kwestii bezpieczeństwa polski rząd może się zapewne z nową administracją Białego Domu porozumieć. Za to już w kwestiach ideologicznych wszystko wskazuje na to, że Waszyngton spróbuje nas przemalować na tęczowo. Co nam Biden może zrobić, poza prawieniem morałów?

Dlaczego nie? Już oznajmił buńczucznie, że na każdym froncie wraca do polityki Obamy. Więc może być reset. Jednak liberałowie są bardzo źli na Putina, przynajmniej werbalnie, a więc z dużą dozą prawdopodobieństwa można zakładać, że będą dalej się droczyć z Rosją, przynajmniej przez jakiś czas. Przecież według nich Trump był „ruskim agentem". Jeśli chodzi o przemalowywanie na tęczowo, to Biden może dużo zrobić. Może współpracować blisko z zagranicznymi fundacjami, które wspierają tę orientację. Podkręci dyplomatów i posypie złotem tak, że aktywiści LGBT nad Wisłą będą opływać w dostatki. Nie tylko będą epatować martyrologią w perfidnej Polsce, lecz także będą mieli środki na jeszcze większy zakres działania. I będą ich popierać amerykańscy dyplomaci w chórze z innymi oraz przyjaznymi im mediami. Wizerunek Polski jako „homofobicznej" się utrwali, bo już antysemicka Polska funkcjonuje powszechnie.

Wiele mówi się o tym, że to Kamala Harris będzie miała najwięcej do powiedzenia w Białym Domu. Pan zaś twierdzi, że nowa wiceprezydent będzie starała się zachować pewien dystans, bo przecież Biden ma swoją kamarylę i za wszelką cenę będzie próbował podkreślać swoją niezależność. Czy to będą dwa odmienne ośrodki władzy?

Na razie Harris nie będzie przesadzać. Jest to niesamowicie ambitna przeciętniaczka. Takie są najgorsze, bo nie znają umiaru w swym głodzie władzy.

Musi się jednak liczyć z kamarylą Bidena. Przecież tamci też chcą brylować. Mogą być dwa główne scenariusze: albo Harris będzie siedziała cicho i czekała, aż Biden zachoruje czy nawet umrze; albo zacznie się popisywać i rozpychać. Jeśli wybierze tę drugą drogę, to najbezpieczniejszą opcją jest starać się być widoczną bez brania odpowiedzialności za jakiekolwiek inicjatywy. W ten sposób można udawać umiarkowanie aż do czasu dojścia do władzy.

Który z tych ośrodków władzy jest bardziej radykalnie lewicowy i w jaki sposób?

Definitywnie Harris i jej ludzie. To jest maszyna Williego Browna, który w moich czasach trząsł San Fancisco. Niesamowicie skorumpowana. Brown wyskoczył do władzy nie tylko pod wpływem lewackiego uskarżania się na prawdziwy i rzekomy rasizm, lecz także w dużym stopniu dzięki pomocy sekciarzy takich jak gnostyczno-komunistyczna Świątynia Ludowa (Peoples Temple) pedofila Jima Jonesa, który czcił Marksa i Sowietów, a sam obwołał się mesjaszem i wcieleniem Jezusa Chrystusa. To on załatwiał masowe głosowanie na Browna. Potem zabrał swoich sekciarzy do Gujany, gdzie wymusił na nich masowe samobójstwo. Brown pozostał jednak u władzy, a Harris została jego kochanką, co niesamowicie pomogło jej w karierze.

Mówiąc o Bidenie, podkreśla pan, że nie wiadomo, czy dożyje do końca kadencji. Co wtedy?

Według konstytucji zastąpi go wiceprezydent.

Kamala Harris to pierwsza kobieta, pierwsza Afroamerykanka i pierwsza osoba południowoazjatyckiego pochodzenia na stanowisku wiceprezydenta USA. Nawiązując do PRL-owskiej nomenklatury, można powiedzieć, że zebrała sporo „punktów za pochodzenie". Na ile jej specyficzne korzenie pomogły jej w karierze politycznej?

Harris jest z ojca Jamajką, a z matki Tamilką, nie żadną Afroamerykanką. Jako Afroamerykanka to ona stara się sprzedawać wyborcom. A zasłynęła jako prokurator w San Francisco, która pieściła przestępców. Nigdy nie zapomnę, jak wymusiła na policji wypuszczenie wielokrotnego kryminalisty, który był nielegalnym emigrantem z Meksyku, a ten zaraz ukradł pistolet i zaczął się nim popisywać publicznie. Zamordował dwudziestokilkuletnią dziewczynę. A wystarczyło go przedtem deportować. Harris zakazała.

Nazwał ją pan „bardzo niebezpieczną osobą". Co miał pan na myśli? „Znam to towarzystwo z autopsji bardzo dobrze ze swoich kalifornijskich czasów. Są strasznymi lewakami" – stwierdził pan w rozmowie z „Do Rzeczy". Na czym polega to „straszne lewactwo"?

Straszne lewactwo polega na stałej nienawiści do Ameryki i jej esencji: do patriotyzmu, wolnego rynku, wolności

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Kamala Harris to niesamowicie ambitna przeciętniaczka FOT. JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES

słowa, rodziny, wiary, własności prywatnej. Chcą socjalizmu, prymatu państwa, zmiażdżenia jednostki w uściskach totalizmu. Również odrzucają indywidualizm, a popierają tzw. identity politics, a szczególnie intersectionality, czyli pogląd, że tzw. teoria krytyczna dyktuje, iż ludzkość dzieli się na grupy ofiar prześladowanych przez białych heteroseksualnych mężczyzn, którzy są rasistami i homofobami. To lewactwo odrzuca logocentryzm i dorobek cywilizacji zachodniej, zamiast tego propaguje opór wobec racjonalizmu.

Skoro zna pan „to towarzystwo z autopsji", to jakie ma pan osobiste z nim doświadczenia?

Mieszkałem, pracowałem, uczyłem się w San Francisco i w okolicach w latach 80. (1982–1989). Kiedy byłem małolatem, zabierano mnie na przyjęcia i tym podobne imprezy z udziałem śmietanki, a w tym takich ludzi polityki miejskiej. Byli oni w pewnym sensie dekoracją dla elity finansowej miasta. W pewnym momencie pracowałem w ekskluzywnych sklepach, w tym w Neiman Marcus. To otwierało drzwi. Ponadto byłem wolontariuszem Amnesty International przy University of California w Berkeley.

Moja szefowa, siostra katolicka Laola Hironaka, była niezwykle ustosunkowana, odkrywała przede mną świat. Ponadto miałem przyjaciółkę, która była pianistką. Muzyka klasyczna, jazz, grała nawet ze Stanem Getzem. Ona znała wszystkich w San Francisco, była niezwykle popularna i stale ciągała mnie i mego przyjaciela Henia ze sobą. Nazywali nas „Polish cavalry". Gadałem z tymi ludźmi, pytałem o różne sprawy. Odpowiadali otwarcie, bo nie spodziewali się, że ktoś może się z nimi nie zgadzać. W końcu to było San Francisco. A kiedy mówiłem po swojemu, to mi odpuszczali, bo myśleli, że byłem zabawny.

Oprócz tego obserwowałem ich kampanie polityczne i metody działania w praktyce. Bojkotujemy Shell Oil, bo to RPA, a więc rasizm, czyli be. Nie bojkotujemy jednak firmy Chevron, bo to Angola, a więc komuna, czyli cacy. A dla mnie, czy to czerwoni, czy brunatni, to jedno zło. Nie będziemy domagać się niczego od Gorbaczowa na temat Katynia, bo obchodzi nas żydowska emigracja z Sowietów – tak nam wprost oświadczyła ówczesna burmistrz San Francisco Dianne Feinstein, dziś senator.

Obserwowałem tę hipokryzję. Nie tylko na ulicy, lecz także w San Francisco State University, jednej z uczelni, do których uczęszczałem. Stale i wszędzie to towarzystwo podkreślało polityczną poprawność i terroryzowało oskarżeniami o rasizm. Pamiętam, jak jedna koleżanka z pracy z tej stajni ideowej (wielka admiratorka Williego Browna i wolontariuszka w jego kampanii) powiedziała mi całkiem poważnie, że Jezus był czarny. Notabene miała na imię Nikita na cześć Chruszczowa i obraziła się na mnie, gdy powiedziałem jej, że to jest imię faceta po rosyjsku, a nie kobiety. A że Pan Jezus był semitą, tego zupełnie nie chciała przyjąć do wiadomości.

Pańskim zdaniem w USA potrzebne są nowe, konserwatywne media. Co się stało z Fox News? Dlaczego ta prawicowa stacja telewizyjna, jak pan to ujął, „lewaczeje"?

Rupert Murdoch się starzeje. Na początku, w latach 90., został zneutralizowany w swym antykomunizmie, przez swoją (teraz byłą) chińską żonę. Teraz w dużym stopniu zostawił stację swym

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

dzieciom, a te są dużo bardziej liberalne niż on, przynajmniej jeden syn to po prostu lewak. Fox stracił swoją publikę. Będzie jeszcze gorzej. Czyli spadną wpływy z reklam w związku ze spadkiem oglądalności. Zresztą podobnie libertariański Drudge Report nagle zlewaczał. Podejrzewamy, że kupił tę witrynę jakiś postępowy miliarder i zakazał o tym mówić, tak aby zbić kapitał na jej byłej wiarygodności na czas kampanii prezydenckiej, kiedy to witryna ta jednoznacznie poparła Bidena i waliła w Trumpa. Pilnie trzeba nowych mediów. Już się zresztą tworzą: Revolver.com czy Bonginoreport.com. I wiele innych. Newsmax, gdzie sam piszę, rośnie w siłę i ma coraz większą oglądalność.

Chyba już nikt nie wierzy, że Trumpowi ukradziono zwycięstwo. Wiele mówiło się o „cudach nad urnami". Jednak Sąd Najwyższy USA oddalił pozew Teksasu o anulowanie zwycięstwa Bidena w Georgii, Michigan, Pensylwanii i Wisconsin. Ta decyzja chyba zamyka sprawę?

Jak to nikt nie wierzy? Prawie 80 proc. republikanów wierzy, że wybory były sfałszowane, a połowa uważa, że przeliczenie głosów albo interwencja Sądu Najwyższego odwróci tę katastrofę. Co do fałszerstw, to jasne, że jakieś były, ale nie ma dowodów na systemowe fałszowanie. Po prostu nie ma. Ponadto spodziewajmy się, że będą następne sprawy, które do Sądu Najwyższego dojdą – najpewniej z takim samym skutkiem. To zupełnie nie wpłynie na twarde jądro zwolenników Trumpa i opinii, że „wybory ukradziono". Przecież po zwycięstwie Trumpa w 2016 r. przez następne lata wyborcy demokratów w większości wierzyli, że republikanie „ukradli wybory", a właściwie, że dla zdrajcy Trumpa wybory „ukradła" (i sfałszowała) Rosja.

Czy w najdoskonalszej na świecie demokracji jedna z dwóch największych partii mogła podjąć próbę systemowego fałszowania wyborów prezydenckich?

Wszystko jest możliwe. Tak się stało w 1824 r., gdy John Quincy Adams wyrolował Andrew Jacksona. W 1874 r. miesiącami wlokło się ustalanie zwycięzcy i obie strony zarzucały sobie fałszerstwa. Mniejsza przewałka miała miejsce w 1932 r., gdy Roosevelt zatriumfował nad Hooverem. Obecnie jednak nie ma dowodów na systemowe fałszowanie. Trump i jego ludzie stale obiecują, że nam je pokażą, ale nawet Rush Limbaugh jest zawiedziony takim pustym gadaniem. Im więcej czasu upływa, tym bardziej widać, że nie ma dowodów na istnienie centrum koordynacyjnego spisku kradzenia wyborów, a po drugie na systemową patologię, która pozwala automatycznie lewicy wygrywać na każdym poziomie. Są za to dowody na fałszowanie oddolne w rozmaitych miejscach i do rozmaitego stopnia. Wpłynęło ponad 10 tys. zawiadomień o tym z całych Stanów. I to wszystko należy zbadać. Tak więc wszystko jest możliwe. Trzeba mieć otwartą głowę, gdy bada się takie kontrowersyjne sprawy. A z najdoskonalszą demokracją na świecie nie żartujmy. USA to nie Szwajcaria.

Dlaczego Trumpowi nie udało się „uczynić Ameryki znowu wielką"? Dlaczego, by użyć pańskiej metaforyki, Trump przegrał z „tęczowym taranem"?

Dlatego, że polityka to tylko cukier na torcie. Najbardziej liczy się kultura. Konserwatyści w USA odpuścili kulturę. Zawładnęło nią lewactwo. Stąd Trump po prostu kupił nam cztery lata przerwy w szaleństwie. Teraz będzie gorzej.

Na ile porażka Trumpa była efektem jego osobistych błędów czy słabości, a na ile wynikała z siły i ze sprawności obozu Bidena?

Porażka to przede wszystkim wina osobowości Turmpa. Wybory dla niego były przede wszystkim sprawą samopromocji swojej wielkości. A dla Bidena to nie była samopromocja Bidena, tylko walenie w Trumpa. Bycie anty-Trump okazało się kluczem do zwycięstwa. Proszę zauważyć przy tym, że porażka Trumpa nie była tak przygniatająca, jak nam obiecywały sondaże. Co więcej, porażka Trumpa wcale nie przełożyła się na totalną klęskę republikanów. Odkuli się trochę w Izbie Niższej. Trzymają na razie senat. Zdobyli poważne głosy Latynosów i nawet czarnych. Żadnej „niebieskiej fali" nie było. Notabene, Trump dostał więcej czarnych głosów niż przeciętny republikanin.

Może przyczyną były niesprzyjające okoliczności?

To brzmi jak wymówka. Prezydent zrobił po prostu wybory prezydenckie jako referendum w sprawie siebie samego. Opozycja głosowała negatywnie; nikt się nie podniecał Bidenem. Ten przy szaleństwach swoich lewaków i wybrykach Trumpa wyglądał prawie normalnie. Natomiast demokraci nakręcani byli nienawiścią do Trumpa.

Gdy Trump wygrywał wybory prezydenckie, mówiło się o światowej „konserwatywnej kontrrewolucji". Cztery lata później wraca lewicowa rewolucja. Co poszło nie tak?

Trump dotrzymał słowa w wielu kwestiach, ale nie miał wizji strategii ani poważnej, ani solidnej. Na przykład jest pierwszym prezydentem od Cartera, który nie wywołał nowej wojny. Ponadto, jak mówiłem, lewactwo kontroluje kulturę, uniwersytety, biurokrację państwową wszystkich szczebli oraz rozmaite instytucje, w tym główne korporacje (przede wszystkim Big Tech: Facebook, Twitter, Google etc.).

W 2016 r. Bernie Sanders wydawał się radykałem. Dziś jego postulaty znalazły się na sztandarach zwycięskiej ekipy Bidena. Z kolei Obama, uważany za „lewaka", przestrzega swój obóz polityczny przed zbyt ostrym skrętem w lewo. Dlaczego taka przestroga jest konieczna? Skąd ten skręt w lewo u demokratów, a co za tym idzie – u Amerykanów w ogóle?

Tak, hasła Sandersa przejął Biden, aby wygrać. Większość wyborców demokratów nie zdaje sobie z tego sprawy. Demagogia doprowadzona do perfekcji. Kiełbasa dla każdego. Po prostu demokraci nienawidzili Trumpa, głosowali więc na głupoty, które spadną im na głowę. Na złość mamie odmrożą sobie uszy. A Obama przestrzega nie przed lewactwem, ale otwartością w radykalizmie. To nie to samo. Według niego trzeba siedzieć cicho i robić swoje, a nie popisywać się jak Sanders, Ilhan czy Ocasio-Cortez.

Lewicowy, agresywny ruch Black Lives Matter mógł wpłynąć na wybory na dwa sposoby. Mógł albo dać zwycięstwo Trumpowi, deklarującemu rozprawę z agresywnym ruchem, albo Bidenowi, z grubsza popierającemu postulaty tego ruchu. Dlaczego Amerykanie wolą rewolucję od kontrrewolucji?

BLM jest kierowany przez marksistów, a czasami nawet rasistów. Natomiast popierają go zamożni biali. Nie tylko George Soros, który jako pierwszy (i długo jedyny) wykładał na tę organizację pieniądze i utrzymywał ją przy życiu, lecz także tzw. biała warstwa średnia. To jest samobójcze, ale taka jest już natura liberalizmu.

Rozmawiamy pod koniec 2020 r. Jaka będzie Ameryka Bidena za rok?

Ameryka Bidena będzie postępowa i szalejąca. Moja Ameryka będzie twarda i nieustępliwa. © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Jan Chodakiewicz jest politologiem, historykiem, sowietologiem i profesorem w The Institute of World Politics w Waszyngtonie.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Pałka „praworządności” z Brukseli

Wojciech Golonka

Wsiedliśmy do pociągu z napisem „UE”, który od początku jedzie w jednym kierunku – wspólnoty, w której zatrzeć mają się narodowe państwa i takie przeżytki jak rodzina

Szefowa KE Ursula von der Leyen i wiceszefowa Vera Jourová wspierają strategię „na rzecz równości LGBTIQ”
FOT. EMILIE GOMEZ/EU/EP

Weto jest twardym, w zasadzie ostatecznym narzędziem wypracowywania konsensusu wśród państw Unii Europejskiej, ale samo jego użycie – a tym bardziej jedynie zapowiedź użycia go przez Polskę w razie konieczności – z pewnością nie było polityczną bombą nuklearną. Na przykład Francuzi ogłosili 4 grudnia, że skorzystają z prawa weta, jeśli umowa brexitowa będzie dla nich nie do przyjęcia – informacja padła, larum nie było. Zatem lamenty, ostentacyjne rozdzieranie szat – najlepiej przed kamerą odpowiednio wrażliwej telewizji – oraz ohydne próby narzucania poczucia wstydu i winy przez samozwańczych moralizatorów swym sztucznym przedramatyzowaniem wykazały, że w naszym przypadku stawka tyczy się czegoś poważniejszego niż wspólnego budżetu Unii i jej postcovidowych funduszy. Polska i Węgry odważyły się myśleć nie wspólnotowo, ale egoistycznie – padnie zarzut, w domyśle: zbyt samodzielnie, zbyt „nietęczowo”. A są przecież w Unii pewne normy postępowania i przyzwoitości, których przekraczać nie wypada, nie należy, nie można – verboten.

KASA ZA TĘCZOWĄ REWOLUCJĘ

Tymczasem, mimo decybeli wrzasku, polski rząd odczytał sytuację dobrze. Padły nawet deklaracje, że suwerenność jest bezcenna. I nie o byle jaką suwerenność chodzi, gdyż tym razem pod zacną nazwą „praworządności” kryła się szeroko rozumiana implementacja nowych, nieznanych dotychczas cywiliza-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

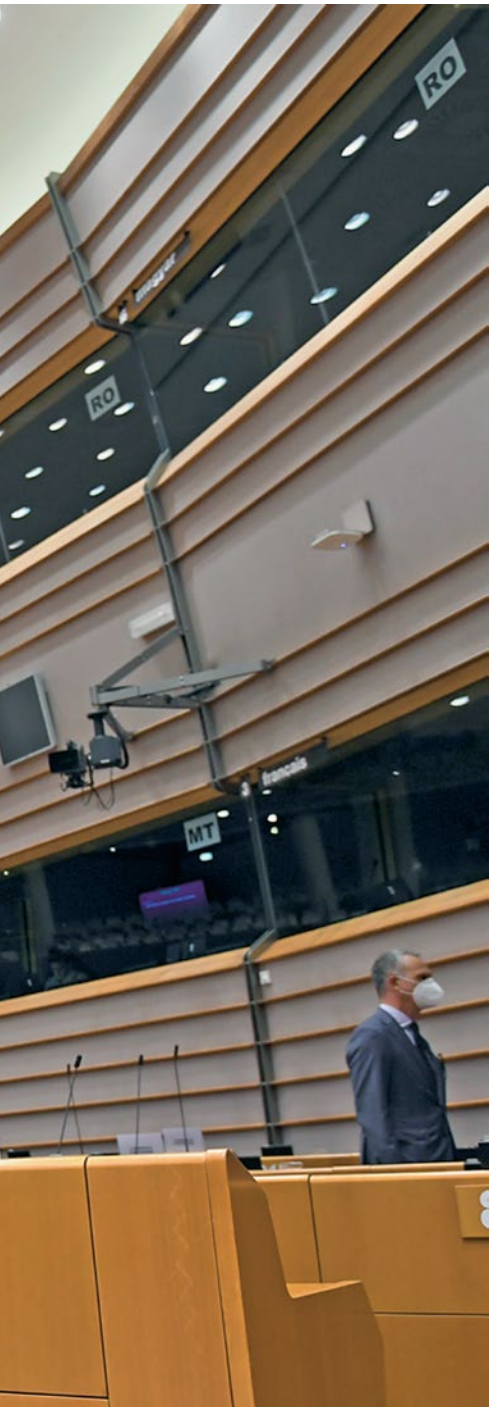

cji i traktatom międzynarodowym praw człowieka, czyli wymuszona akceptacja w wymiarze społecznym antropologicznej rewolucji spod znaku LGBT.

Stawki w grze nie kryła też Komisja Europejska, która 12 listopada przedstawiła „strategię na rzecz równości lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych, interseksualnych i queer (LGBTIQ)". Wiceprzewodnicząca KE Vera Jourová oznajmiła: „Ta pierwsza strategia na poziomie UE wzmocni nasze wspólne wysiłki, aby zapewnić wszystkim prawo do równego traktowania". Wtórowała jej komisarz ds. równości Helena Dalli, apelując: „W strategii wzywamy więc te państwa członkowskie, które nie mają krajowych strategii na rzecz równości osób LGBTIQ, aby taki dokument przyjęły, odnosząc się do szczególnych potrzeb w zakresie równości osób LGBTIQ w danym kraju". W samym dokumencie stwierdzono zaś bez ogródek: „Równość i niedyskryminacja to podstawowe wartości i prawa w UE, zapisane w traktatach i Karcie praw podstawowych. W ostatnich dziesięcioleciach zmiany legislacyjne, orzecznictwo i inicjatywy polityczne przyniosły poprawę życia wielu osób i pomogły nam budować bardziej równe i przyjazne społeczeństwa, również dla osób LGBTIQ". Co nie pozostawia złudzeń: strategia ma na celu implementację takich zdobyczy legislacyjnych jak „małżeństwa" gejowskie, adopcja dzieci przez pary homoseksualne, biznes ciąż surogatkowych, kneblowanie ust obskurantom myślącym inaczej i wszystkiego, co w międzyczasie zdąży jeszcze wymyśleć tęczowa rewolucja.

Nie, prawicowe media nie mają obsesji na punkcie tarana LGBT. To komisarz Dalli jeszcze tego samego dnia, w wywiadzie dla politico.eu, wyjawiła, że unijny budżet powinien być powiązany z uznaniem tych nowych, nieznanych ojcom założycielom „europejskich wartości". Narzędzie implementacji strategii to po prostu szantaż finansowy, dlatego zapis o wiązaniu funduszów unijnych z dwuznacznie rozumianą „praworządnością" był celowym, a zarazem agresywnym posunięciem ze strony Komisji wobec światopoglądowej autonomii państw członkowskich.

Pierwotny energiczny ruch Polski i Węgier, mobilizujący także inne kraje europejskie, skłonił wprawdzie Komisję do tymczasowego zawieszenia broni, jednak nie obalił on samej „strategii na rzecz równości", a komisarze, nachalnie dążący do ujednolicenia Unii na wzór „homo Soros", z pewnością nie wyrzekli się swej chorej misji. Jeśli ich bomba „praworządności" ostatecznie nie wypali, to obmyślą inną. Wspomniany szantaż jest bowiem jedynie częścią szerszego mechanizmu odbierania krajom członkowskim ich suwerenności, a nawet zwykłej autonomii obyczajowej. Aby to dostrzec, trzeba się cofnąć nie tylko do postanowień z Lizbony, które ściągnęły na nas część obecnych bolączek, lecz także wręcz do samej idei integracji, a właściwie „konstrukcji" europejskiej.

TABULA RASA, CZYLI EUROPA OD ZERA

Działalność Roberta Schumana i innych ojców założycieli u podstaw konstrukcji to temat na dłuższą, zaskakującą pogawędkę. Dlaczego np. Bronisław Geremek cieszy się oficjalnie tytułem ojca założyciela Europy? Albo dlaczego pierwszy wieloletni przewodniczący Komisji Europejskiej, sehr geehrter Herr Walter Hallstein, nie doczekał się żadnego konkretnego upamiętnienia w Brukseli, w przeciwieństwie do innych ojczulków, w tym komunisty Altiero Spinellego?

Nie wchodząc jednak w meandry wzlotów i upadków ojców założycieli, dość powiedzieć, że projekt „Europy Ojczyzn", do której tak często – i słusznie – odwołują się zwolennicy poszanowania i zachowania suwerenności europejskich krajów, niewiele ma wspólnego z mitem „aktu założycielskiego Europy", czyli przemówieniem Schumana z 9 maja 1950 r. Otóż to rok wcześniej, 5 maja 1949 r., traktat londyński wskazał na inny model współpracy europejskiej, a kraje sygnatariusze oświadczały w preambule: „Przekonani, że zapewnianie pokoju opartego na sprawiedliwości i międzynarodowej współpracy jest kluczowe dla zachowania społeczności ludzkiej i cywilizacji; potwierdzając swe oddanie duchowym i moralnym wartościom, które są wspólnym dziedzictwem naszych ludów i prawdziwym źródłem indywidualnych swobód, wolności politycznej i rządów prawa, zasad, które leżą u podstaw każdej autentycznej demokracji; wierząc, że utrzymanie i dalsza realizacja tych ideałów oraz korzyści ekonomicznego i społecznego postępu wymagają bliższej jedności między krajami Europy o podobnym nastawieniu". I powołano Radę Europy (niemającą nic wspólnego z historią Unii).

A co rok później zaproponował z kolei Schuman, obwieszczając Wspólnotę Węgla i Stali? Budowę od zera sztucznego politycznego tworu, niezakorzenionego w dziedzictwie przeszłości, ale we wspólnym, zacieśniającym więzy działaniu: „Europa nie powstanie od razu ani w całości: będzie powstawała przez konkretne realizacje, tworząc najpierw rzeczywistą solidarność". W jaki sposób? Dziś np. za pomocą tęczowych strategii, wówczas

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

za pomocą nieodpowiadającej przed nikim władzy wykonawczej, identycznego mechanizmu, który wykorzystuje teraz Komisja Europejska: „Wspólna Wysoka Władza, odpowiedzialna za funkcjonowanie całego systemu, będzie się składać z niezależnych osobistości wyznaczonych przez rządy na podstawie parytetu; rządy za wspólną zgodą wybiorą jej przewodniczącego; jej decyzje będą wiążące we Francji, w Niemczech i innych krajach przystępujących". Lotaryńczyk zapowiedział więc daleko idący proces konstrukcji europejskiej. Jak daleko? Czy włącznie ze strategią na rzecz tzw. równości LGBT? Jeszcze dalej?

„EUROPA JEST JEDYNIE ETAPEM I FIGURĄ"

Schuman nie był ani autorem, ani nawet inicjatorem swej deklaracji, torpedującej „Europę Ojczyzn" wypracowaną rok wcześniej przez Churchilla (z perspektywy historycznej brexit naprawdę nie powinien dziwić). Osobą tą był inny ojczulek – Jean Monnet, w praktyce skuteczny i dobrze opłacany wykonawca pomysłów amerykańskich think tanków i Departamentu Stanu USA, z domieszką Wall Street, notabene pierwszy przewodniczący wspomnianej Wysokiej Władzy. Warto tu przypomnieć, że tekst deklaracji Schumana opracowano w ambasadzie USA w Paryżu, za plecami premiera Francji, pod osobistym nadzorem ówczesnego sekretarza stanu Deana Achesona. Monnet zresztą niejednokrotnie dokonywał wykładni stopniowej integracji: „Nie ma innego środka niż zastosowanie tej samej metody, którą stosujemy wewnątrz naszych granic: przyjęcia wspólnych reguł [a tym właśnie jest przecież tęczowa strategia], które nasze nacje i ich obywatele zobowiązują się przestrzegać, oraz utworzenia wspólnych instytucji czuwających nad ich stosowaniem" (1954 r.); „Zwykła współpraca między rządami jest rzeczą niewystarczającą. Jest rzeczą niezbędną, aby państwa oddelegowały część swej władzy europejskim instytucjom federalnym, będącym przedstawicielami wszystkich krajów członkowskich" (1955 r.); „Nie budujemy nowej potęgi w szóstkę – Wysadzamy dotychczasowe ramy – Europa jest jedynie etapem i figurą. To oddelegowanie władz krajowych organizmom federalnym" (1956 r.). „Europa jest jedynie etapem i figurą" – czytaj: stacją pośrednią do globalistycznego porządku świata. Tak się akurat składa, że wszystkie te złote myśli okraszają surowy korytarz prowadzący do podziemnego archiwum Jeana Monneta w Lozannie, zaaranżowanego w byłym bunkrze przeciwatomowym. Atmosfera zaiste wyjątkowa. Nawiasem mówiąc, nad bunkrem znajduje się think tank – fundacja zarządzająca archiwum, której prezesem był m.in. Bronisław Geremek.

Jednak pomysły Monneta, francuskiego Nikodema Dyzmy, który robił zawrotną karierę i interesy w Londynie oraz w Nowym Jorku, a którego koneksje sięgały aż stalinowskiego Kremla, były wypracowane znacznie wcześniej. Już w 1943 r. pisał on w roli doradcy do prezydenta Roosevelta: „Nie będzie pokoju w Europie, jeśli Państwa zostaną ponownie osadzone na bazie suwerenności narodowej. […] Kluczowym jest, by przeszkodzić utworzeniu się na nowo suwerenności ekonomicznej". Egzegeza planu działania zbyteczna. Przy czym, w przeciwieństwie do ówczesnego sekretarza stanu Cordella Hulla, który w powojennej Europie chciał od razu wprowadzić jedno federalne państwo, Monnet świetnie zdawał sobie sprawę, że zjednoczenie musi odbywać się stopniowo, nie wzbudzając otwartego buntu, mogącego zaprzepaścić całe przedsięwzięcie. Miał rację, Amerykanie musieli liczyć się z twardymi suwerenistami pokroju Churchilla czy de Gaulle'a, działać należało etapami. Ot, cały duch konstrukcji europejskiej w ramach stopniowej budowy nowego lepszego świata, czyli zjednoczonego rynku zbytu i konsumpcji, złożonego z mas wyzwolonych z anachronizmów przeszłości takich jak naród czy naturalna rodzina – tu swoją rolę odgrywa obyczajowa rewolucja – a w konsekwencji pozbawionych wyraźnej, zdolnej do niezależności tożsamości.

CHWILOWY POSTÓJ NA STACJI

Metoda „małych kroczków" Monneta, świetnie opisana przez Philippe'a de Villiers w jego bestsellerze o korzeniach Unii Europejskiej „Kiedy opadły maski" (2019 r.), zwana także metodą chińskiego rabusia, polega na powolnym, wręcz niezauważalnym przesuwaniu granic suwerenności na rzecz federalnych instytucji wykonawczych superpaństwa. Każdy etap cieszy się własną, nieubłagalną logiką. Na drodze postępu pojawiają się oczywiście trudy i zgrzyty, takie jak te obecne, a od kłopotliwych decyzji Komisji można się ewentualnie odwołać do unijnych trybunałów. Te łaskawie wyjaśnią, że ważniejszy od litery jest duch traktatów (co daje do zrozumienia również wykładnia tęczowej strategii), którego właściwym interpretatorem jest właśnie trybunał, co otwiera z kolei pole do autorytaryzmu i nadużyć ze strony Komisji oraz trybunałów. Niezwykle istotne są też kryzysy, jak bowiem onegdaj objaśniał José Manuel Barroso, kraje gotowe są wówczas przyjąć szybko i bez szemrania mechanizmy, na które w normalnej sytuacji nie byłoby zgody. Może właśnie dlatego widmo polskiego weta tak bardzo zirytowało jego następców, którzy w kryzysie koronawirusowym mają nadzwyczajną okazję do pogłębiania integracji przez zaciąganie wspólnych unijnych długów i uzależnianie dostępu do kurka od potulności rządów względem agendy danego etapu, np. tęczowej strategii. Bywa jednak, że kalkulacja zysków i strat kwestionuje sens dalszego trwania w Unii, ale lęk przed jeszcze większymi stratami uniemożliwia wycofanie się z konstruktu. W ostateczności niepokornych śmiałków można dla przykładu grillować w nieskończoność, tak jak synów Albionu po brexicie. Poza Unią dla odszczepieńców ma nie być tlenu.

Pociąg jedzie od początku w określonym kierunku, wsiedliśmy po prostu w atmosferze euforii na wcześniejszej, bardziej przestronnej stacji, bez widocznych tęczowych zobowiązań, którą wielu wzięło za punkt docelowy. Owszem, osobista biblioteka Schumana to nawet klasztorny księgozbiór pobożnego mnicha i w zasadzie większość ludzi tamtejszego okresu jeszcze oddychała kulturą i obyczajami chrześcijańskimi, być może więc nie do końca wyobrażali sobie tę obecną tęczową Unię i jej ideologiczne ingerencje. Jednak mechanizm, który wpuścili w ruch, robi swoje, a po rewolucji aksjologicznej z 1968 r. nieprędko stanie on na straży cywilizacyjnych wartości i swobód, które podkreślał traktat londyński. Zresztą tęczowa strategia, szantaż finansowy, to tylko logika bieżącego etapu budowania nowej wieży Babel, którą notabene przywołuje architektura budynku parlamentu w Strasburgu. Ten nieubłagalny pochód w kierunku superpaństwa można oczywiście spowalniać, odsuwając jakoś w czasie kolejne fazy konstrukcji. Pytanie tylko, ile wytrzyma hamulec, siłując się z napędem lokomotywy? I czy w ogóle zaciągnięto hamulec? Nie jest to jednak jedyne dostępne połączenie, dlatego warto śledzić rozkład jazdy pod kątem korzystnych przesiadek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

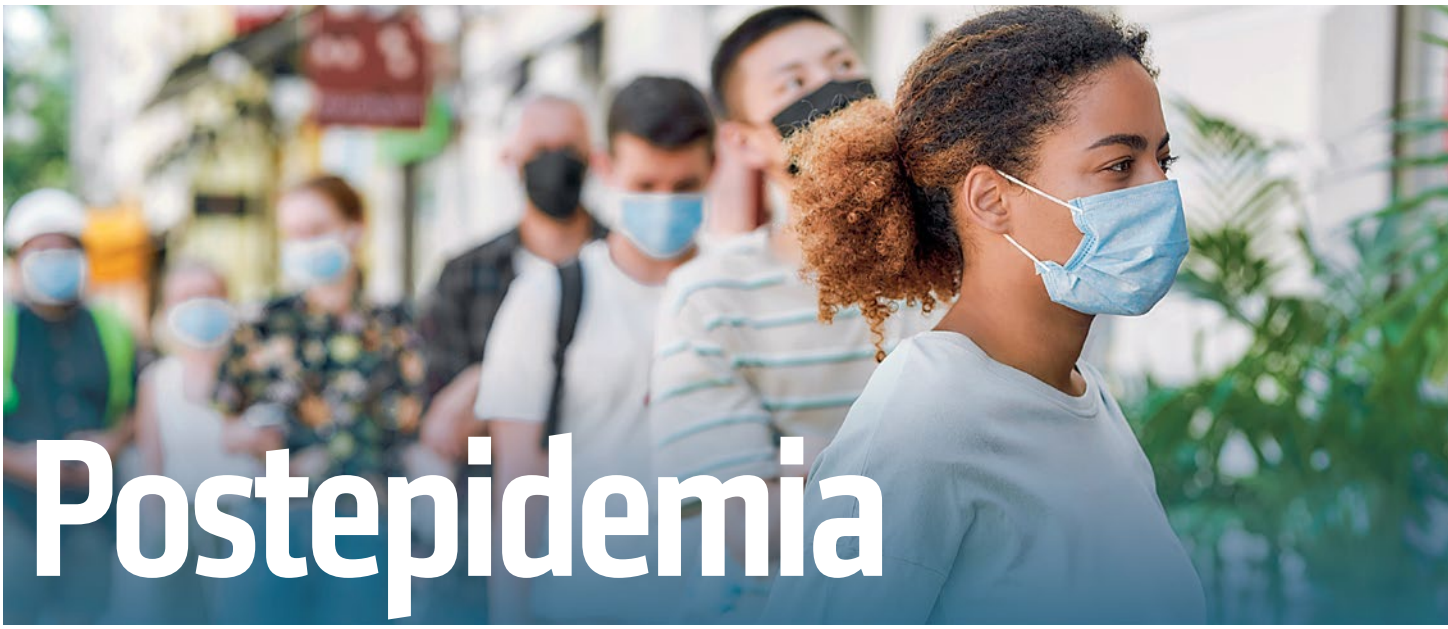

FOT. ADOBE STOCK

Postepidemia

Łukasz Warzecha

Obłudna narracja o „nowej normalności" może sprawić, że część ludzi zacznie zapominać, że owa „nowa normalność" żadną normalnością faktycznie nie jest, jest jedynie jej karykaturą

Soma nie była szczepionką, choć można by ją i tak nazwać. Ta używka, którą raczyli się wielokrotnie każdego dnia ludzie zamieszkujący nowy wspaniały świat opisany przez Aldousa Huxleya w powieści o tym tytule (1931), „szczepiła" przeciwko wielu przypadłościom: smutkowi, złemu samopoczuciu, niespełnieniu, melancholii, a także przeciwko nadmiernemu namysłowi nad własnym życiem i ludzką naturą. Przy czym świat totalitarny u Huxleya w pewnym sensie stoi na antypodach – pozornych, bo poziom zniewolenia i kontroli jest podobny – świata totalitarnego z „Roku 1984" Orwella (1948). U Orwella bowiem ludzi zmusza się, żeby widzieli pięć palców zamiast czterech za pomocą tortur, fizycznego bólu lub jego groźby, poprzez brutalne zastraszanie. U Huxleya nic takiego nie ma, policja pojawia się tylko raz i właściwie nie bije – jedynie rozpyla w powietrzu somatyczną parę oraz uruchamia szafę emitującą kojący Anielski Głos. To wystarczy, żeby zapobiec powiększeniu się ruchawki.

Antyutopia Huxleya jest może nawet bardziej przerażająca niż antyutopia Orwella, choć przyznać trzeba, że ta druga zawiera już w sobie doświadczenie dwóch totalitaryzmów, których w momencie pisania „Nowego wspaniałego świata" Huxley jeszcze nie miał. Jednak w tej ostatniej powieści ludzi właściwie nie trzeba zmuszać do tego, żeby się podporządkowali i ulegli praniu mózgów. Owszem, na początku, jeszcze w fazie przed urodzinami, gdy są masowo hodowani in vitro, są już warunkowani do odpowiednich zachowań. Później sami chcą tego, co – jak sądzą – jest dla nich znakomite: kupowania wciąż nowych rzeczy, wolnego seksu, braku miłości, braku powiązań i zobowiązań, a wreszcie somy. Bez somy nic by się nie udało.

Można tu jeszcze – gwoli docenienia naszego rodzimego wkładu literackiego – dorzucić Witkacego z jego „Nienasyceniem" (1930, a więc przed Huxleyem) i pigułkami Murti-Binga, które przywracały równowagę i wiarę w sens istnienia pogrążonym w chaosie dekadentom.

„DOBRO" ZAMIAST PRZYMUSU

Gdzie pomiędzy tymi dwoma wizjami znajdziemy się my w świecie podstepidemicznym? Wszystko wskazuje, że gdzieś pośrodku, choć bliżej Huxleya (i Witkiewicza). Będzie trochę przymusu, choć zapewne niezwiązanego z przemocą fizyczną, sporo będzie inwigilacji i nadzoru – czyli tego, przed czym ostrzegał Orwell – ale znacznie więcej będzie psychologicznej manipulacji, tworzenia sztucznych potrzeb, grania na uniwersalnym pretekście władzy do powiększania jej kompetencji, czyli potrzebie bezpieczeństwa. Zgodnie ze słynną już wypowiedzią byłego głównego inspektora sanitarnego Jarosława Pinkasa, że na szczepionkę „wygenerujemy emocjonalne zapotrzebowanie, taki stan ducha, że chcę to mieć, ponieważ jest to dla mnie niezwykle ważne". Huxley i Witkacy w zaświatach klepią się ze śmiechu po udach.

Władza – nie tylko w Polsce – pracuje nad tym, żeby ludzie szczepionkę traktowali zgodnie z zapowiedziami Pinkasa: jak somę u Huxleya – nie jako przymus, ale jako dobro, które jest im łaskawie rozdzielane i którego sami pragną. W jednej ze scen powieści sprzed blisko 90 lat Dzikus – człowiek z rezerwatu, gdzie żyje się według dawnych reguł – próbuje przemówić do ludzi czekających na swoją porcję somy. Stara się im wytłumaczyć, że przez jej zażywanie nie są wolni, ale spotyka go z ich strony wyłącznie agresja.

Oczywiście za szczepionką przemawia wiele całkowicie racjonalnych argumentów, pod warunkiem dokonania indywidualnej kalkulacji korzyści i strat. Ta może wypaść na rzecz szczepionki mimo relatywnie krótkiego okresu trwania testów, co do którego można mieć liczne wątpliwości. Jednak strategia propagandowa ma wytworzyć przekonanie, że szczepionka jest dobrem niezależnie od tego, jak ta osobista kalkulacja wypada – i tu jest pies pogrzebany.

Problem wielu rządów na świecie polega na tym, że sceptycyzm wobec szczepienia przeciwko SARS-CoV-2 jest wysoki, choć w Polsce to zjawisko jest wyjątkowo wyraźne. O ile w USA w połowie grudnia chęć przyjęcia szczepionki deklarowało 71 proc. badanych, o tyle w Polsce wszystkie kolejne sondaże pokazują, że zaszczepić się

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

chce wyraźnie poniżej połowy – zwykle ok. 40 proc. W najnowszym badaniu dla Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego zaszczepienie się w pierwszym możliwym terminie zapowiada jedynie 17 proc. Polaków, zaś 23 proc. zamierza z tym poczekać, obserwując skutki szczepień – co wydaje się postawą racjonalną. W sumie to 40 proc. Niewiele mniej, bo aż 38 proc., nie chce się szczepić wcale. A dzieje się to już po pierwszej salwie proszczepionkowej rządowej propagandy, w ramach której wszystkie sceptycznie nastawione osoby są traktowane jak wrogowie. Najwyraźniej ta retoryka na razie słabo działa, a może działać jeszcze słabiej, jeśli przekaz będzie nachalny, natrętny, grubo ciosany. Jego skutek może być odwrotny od zamierzonego.

UZALEŻNIANIE

Znamienne jest, że wszędzie tam, gdzie zaczyna się mówić o uzależnieniu pewnych aktywności życiowych od odporności na koronawirusa – jak to jest w przypadku niektórych linii lotniczych, z oświadczeniem prezesa australijskich Qantas na czele – nie ma mowy o odporności naturalnej, którą przecież może potwierdzić test. Mówi się jedynie o szczepionce. I to zapewne będzie pierwszy element nowego świata, na jaki się natkniemy: w ten właśnie sposób wprowadzany jest miękki przymus szczepień. Pozostaje pytanie, co z masą osób, które z różnych powodów zaszczepić się nie będą mogły – ale takimi detalami nikt się nie zajmuje. Może po prostu zostaną pozbawione części swoich praw. Wszak gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

W Internecie krąży już pismo od dyrektora Samodzielnej Publicznej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Gorzowie Wielkopolskim, który zapowiada, że nie przedłuży kontraktów na 2021 r. podmiotom (czyli kontraktowym pracownikom), które nie złożą deklaracji o przystąpieniu do szczepienia. Jest to wyraźne przekroczenie granicy dobrowolności, bo szantaż jest tutaj niewątpliwy: albo się zaszczepisz wbrew własnym ewentualnym obawom, albo stracisz robotę. Nieuchronnie czeka nas zatem dyskusja o tym, jak daleko może się posunąć dana firma – państwowa czy prywatna – w tej sprawie. Zwolennicy miękkiego przymusu szczepień będą niewątpliwie argumentować, że zwłaszcza prywatny pracodawca ma prawo stawiać swoim pracownikom dowolne wymagania. To będzie dyskusja na poziomie teorii. W praktyce natomiast będziemy mieć wysyp spraw z zakresu prawa pracy, które takiej sytuacji oczywiście nie uwzględnia. Nie mówimy bowiem o szczepionce obowiązkowej, ale w teorii dobrowolnej.

Wyłonić się z tego może coś w rodzaju szczepionkowego apartheidu, w ramach którego niezaszczepieni będą traktowani jako osoby drugiej kategorii. Pamiętajmy, że nie zbadano, na jak długo szczepionka daje odporność, nie wiemy zatem, czy szczepienia nie trzeba będzie regularnie powtarzać, i to mimo wygaśnięcia pandemii, a więc ów apartheid może być bardzo trwały. Można tu też postawić pytanie o finansowanie takiej operacji powracających wciąż szczepień – a są to niemałe pieniądze. Polska akcja może kosztować od 5 do 10 mld zł.

Drugim groźnym wymiarem postepidemicznej rzeczywistości będzie kolejne przesunięcie granicy inwigilacji obywateli. Trudno nie dostrzec, że część przywódców zachodniego świata jest zafascynowana sposobem, w jaki z koronawirusem poradziły sobie kraje, takie jak Tajwan, Korea Południowa czy przede wszystkim Chiny – aczkolwiek w tym ostatnim przypadku zawsze należy mieć wątpliwości co do miarodajności pokazywanych danych. Tyle że wszystkie te państwa, umocowane w azjatyckiej kulturze i normach społecznych, postawiły na poziom nadzoru nad obywatelami, który w Europie – mimo potężnego ograniczenia wolności, jakie jest jej udziałem – byłby nie do przeforsowania. W szczególności złowrogim przykładem są Chiny z ich systemem automatycznego dozoru i punktacji obywateli, który umożliwia zdegradowanie w hierarchii społecznej nawet za kilkakrotne przejście na czerwonym świetle. Przy czym nieszczęśnik dowie się o tym dopiero wtedy, gdy spróbuje na przykład wystąpić o przydział tablicy rejestracyjnej (dopiero to w chińskich metropoliach uprawnia do zakupu auta).

Szczęśliwie Europa nie ma takich środków technicznych, a wśród mieszkańców Starego Kontynentu jest mimo wszystko wciąż wiele osób sprzeciwiających się ograniczaniu wolności w ten sposób. Co nie znaczy, że nie będzie takich prób. Nadzieja w tym, że w Polsce będą one wyjątkowo nieudolne i przez to nieudane. Spektakularną porażką jest rządowa aplikacja ProteGO Safe za 5 mln zł, która nie wyłapuje nawet 1 proc. zakażeń, a nie wyłapuje, ponieważ zainstalowała ją śmieszna liczba ludzi. W sklepie Play, czyli zbiorze aplikacji na system Android, widnieje informacja o milionie pobrań, przy czym tylko niewielka część z nich oznacza, że po pobraniu ktoś z aplikacji korzysta. Stało się tak, ponieważ aplikacja jest skrajnie nieprzyjazna, a w dodatku nie budzi zaufania. I to się zapewne nie zmieni, jako że rząd na utratę społecznego zaufania potężnie zapracował. Ocena aplikacji w sklepie Play to mizerne 2,5 gwiazdki (w skali od 1 do 5), przy czym przytłaczająca większość ocen to jedna gwiazdka.

Nie oznacza to niestety, że władza nie będzie próbowała nas zmusić do korzystania ze swojego nieudanego produktu, od jego zainstalowania uzależniając na przykład możliwość wejścia do sklepu. Takie próby były podejmowane już na wiosnę, gdy przez chwilę Ministerstwo Rozwoju, jeszcze pod kierownictwem Jadwigi Emilewicz, chciało uprzywilejować użytkowników ProteGO Safe i wyłączyć ich z limitu kupujących w sklepach w centrach handlowych.

Wiele osób może sobie jednak nie zdawać sprawy z tego, że podobne funkcje w swoje systemy wbudowali już cyfrowi giganci: Apple i Google. Mogą one współpracować z rządowymi aplikacjami, w tym z polską.

CO NAS JESZCZE CZEKA?

Jeśli wolność potraktować szerzej – również jako wolność ekonomiczną – i tutaj wiele się może zmienić. Ba – te zmiany mogą się okazać najdotkliwsze i najtrwalsze. Rozpaczliwa sytuacja wielu polskich biznesów, zamkniętych przymusowo przez rządowe restrykcje, zapowiada falę bankructw i zwolnień, które prawdopodobnie skumulują się wiosną. I nie będzie to tylko polska specyfika. To zaś sprawi, że część biznesów zostanie wystawiona na sprzedaż za ułamek ich przedepidemicznej wartości. Ktoś wówczas uda się na zakupy. Nietrudno przewidzieć, kto to będzie: spółki Skarbu Państwa z jednej strony, wielkie sieci i koncerny, oczywiście nie polskie, z drugiej. Dramatycznym i rujnującym efektem epidemii będzie zatem skumulowanie zasobów w najbardziej poszkodowanych branżach przez wielkie podmioty i wykoszenie podmiotów drobnych – najcenniejszych dla gospodarki. Dla klientów będzie to oznaczać znacznie mniejszy niż dotąd wybór. Dla polityków – nowe zabawki za publiczne pieniądze i tysiące posad do obsadzenia. Dla rynkowych gigantów – rzadką okazję ogromnych zakupów za grosze na COVID-owej „wyprzedaży". Jeżeli latem władza łaskawie pozwoli nam wypoczywać, to wielu z nas może się zdziwić, nie odnajdując już oferty naszych ulubionych

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

pensjonatów czy hotelików. Za kolejnych kilkanaście miesięcy niektóre z nich mogą się pojawić znowu – jako część wielkiego koncernu czy holdingu, z cenami o kilkadziesiąt procent wyższymi. To samo będzie dotyczyć siłowni, obiektów sportowych, o gastronomii nie mówiąc – tam odbędzie się prawdziwy pogrom.

Być może do naszej sytuacji najbardziej pasuje słynny dosadny bon mot Stefana Kisielewskiego: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzać". Kisiel miał wówczas oczywiście na myśli tzw. realny socjalizm, ale dzisiaj można te słowa – na razie w formie ostrzeżenia – odnieść do sytuacji epidemicznej, która trwa już 10 miesięcy. Obłudna narracja o „nowej normalności" może sprawić, iż część ludzi zacznie zapominać, że owa „nowa normalność" żadną normalnością faktycznie nie jest, jest jedynie jej karykaturą. Zapomnimy, do czego mieliśmy prawo jeszcze rok temu, i uznamy, że powinniśmy się cieszyć, jeśli władza łaskawie zezwoli nam swobodnie wyjeżdżać czy pójść do restauracji. O przejściu się ulicą bez maseczki na twarzy nie wspominając.

Im dłużej zatem trwa ta parodia normalności, tym częściej powinniśmy przypominać, że musi to być stan wyłącznie tymczasowy, który jak najszybciej powinien się skończyć. Nie „nową normalnością" z powszechną inwigilacją, szczepionkowym apartheidem i obrazem ludzkich twarzy jedynie od nosa wzwyż, lecz normalnością prawdziwą – taką, jaka była naszym prawem jeszcze na początku 2020 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PCSS – Eagle II na liście najszybszych superkomputerów na świecie

OŚRODEK PRZETWARZANIA INFORMACJI
PAŃSTWOWY INSTYTUT BADAWCZY

Komputer o mocy konwencjonalnej czterokrotnie większej od swojego poprzednika – Eagle/Orzeł (5,9 PFLops) uzupełni zasoby obliczeniowe centrum danych. Wyposażony jest w ponad 63 tys. rdzeni obliczeniowych chłodzonych bezpośrednio cieczą. Użytkownicy w Polsce i Europie będą mogli wykorzystać go do symulacji inżynierskich, obliczeń dużych ilości danych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego.

Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe powiększyło swoje zasoby również o klaster GP-GPU (ang. general-purpose computing on graphics processing units), z wykorzystaniem akceleratorów o mocy szczytowej 0,6 PFlops. W chwili obecnej jest on najszybszym superkomputerem w Polsce i stanowi pierwszy etap PRACE-LAB rozbudowy systemów HPC w naszym kraju. W kolejnych krokach rozbudowane zostaną ośrodki HPC w Gdańsku (Centrum Informatyczne Trójmiejskiej Akademickiej Sieci Komputerowej), we Wrocławiu (Wrocławskie Centrum Sieciowo-Superkomputerowe), w Krakowie (ACK Cyfronet AGH) oraz ośrodki danych w Częstochowie (Politechnika Częstochowska), Kielcach (Politechnika Świętokrzyska), Białymstoku (Politechnika Białostocka) oraz Łodzi (Politechnika Łódzka).

FOT. POZNAŃSKIE CENTRUM SUPERKOMPUTEROWO-SIECIOWE | PCSS

Po raz 56. ogłoszono listę TOP500 najszybszych superkomputerów na świecie. Na 85. pozycji znalazł się nowy system Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego PCSS – Eagle II

Eagle II jest częścią projektu krajowego PRACE-LAB, POIR.04.02.00-00-B001/18 pt. „PRACE – Współpraca w zakresie zaawansowanych obliczeń w Europie", współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, w ramach Działania 4.2 „Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014–2020".

Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy jest Instytucją Wdrażającą Działanie 4.2. „Rozwój nowoczesnej infrastruktury badawczej sektora nauki", IV Osi Priorytetowej Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, w ramach którego realizowany jest ten projekt.

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Z Konradem Szymańskim, ministrem ds. Unii Europejskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polexit byłby błędem

RYSZARD GROMADZKI: Panie ministrze, czy kompromis zawarty trzy tygodnie temu w Brukseli w trakcie szczytu Rady Europejskiej w sprawie tzw. mechanizmu praworządności, wiążącego wypłatę funduszy unijnych z kryterium przestrzegania praworządności, jest dobry dla Polski?

KONRAD SZYMAŃSKI: Po pierwsze, mamy bardzo dobry budżet, który będzie wydatnie pomagał polskiej gospodarce w tym bardzo trudnym czasie. Po drugie, usunęliśmy elementy arbitralności ze stosowania rozporządzenia, które od początku budziło wątpliwości, sprzeciw i nie zostało w wystarczającym stopniu poprawione w ostatniej fazie. Po trzecie, udało się wspólnie uniknąć potężnego kryzysu politycznego. Myślę, że ważne wymiary dużego sukcesu premiera Morawieckiego.

Mówi pan o sukcesie, tymczasem wchodząca w skład rządzącej koalicji Solidarna Polska podtrzymuje zasadnicze obiekcje wobec porozumienia wynegocjowanego w Brukseli...

Mamy oczywiście wspólną diagnozę, że pierwotne zamierzenia Komisji Europejskiej były przynajmniej dwuznaczne, jeśli nie konfrontacyjne. Nie ma też sporu w ZP o zasadę suwerenności w UE. Chcę jednak podkreślić, że rozwiązanie, które jest filarem tego kompromisu, nie ogranicza się tylko do konkluzji. Są tam zawarte wszystkie elementy wskazujące, jak my chcemy widzieć działanie tego mechanizmu. To rozwiązanie opiera się również na jednoznacznym zobowiązaniu Komisji Europejskiej do stosowania tego rozporządzenia zgodnie z literą tych wytycznych i opinii służb prawnych Rady, która wyprzedzająco, w szczególności wobec bardzo negatywnej reakcji ze strony Parlamentu Europejskiego, stwierdziła, że te rozwiązania, bardzo bezprecedensowe, są zgodne z traktatem.

Jak w świetle tego, co pan mówi, rozumieć oświadczenie szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która kilka dnia po szczycie Rady Europejskiej oświadczyła, że mechanizm praworządności będzie stosowany od 1 stycznia 2021 r.? Czy deklaracja von der Leyen oznacza odejście od postanowień kompromisu zawartego przez Radę?

Głównym problemem, który jest poruszony w konkluzjach, nie jest moment wejścia w życie, tylko kwestia obiektywnych zasad stosowania tych rozwiązań. Ustalenie, że rozporządzenie zacznie być stosowane po wyroku TSUE, jest sprawą drugorzędną. Dla nas kluczowe było to, żeby mechanizm był oparty na jasnych kryteriach stosowania, związanych wyłącznie z ochroną budżetu, a nie żadnymi politycznymi przesłankami. To zostało wyraźnie wykluczone. Wszystkie 27 państw członkowskich i Komisja Europejska zgodziły się, że mechanizmu nie można stosować wobec samego stwierdzenia faktu naruszenia praworządności, nawet jeśli takie stwierdzenie płynie ze strony instytucji unijnych. To jest sedno sprawy.

Krytycy porozumienia wskazują, że klauzule, na które się pan powołuje, mają wyłącznie charakter polityczny, pozbawione są mocy prawnej...

Pamiętajmy, że konkluzje wytyczają zakres działań legislacyjnych instytucji unijnych. Mieliby trochę racji, gdybyśmy zatrzymali się wyłącznie na konkluzjach. Natomiast to rozwiązanie oparte jest nie tylko na konkluzjach, lecz także zobowiązaniu Komisji Europejskiej do stosowania mechanizmu praworządności zgodnie z tymi wytycznymi. To jest o tyle

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

ważne, że tylko Komisja Europejska może zastosować ten mechanizm. Nie jest taką instytucją Parlament Europejski, który – jak wiemy – był z porozumienia bardzo niezadowolony i wysyłał całą serię wrogich sygnałów, łącznie z groźbą zawetowania budżetu rocznego czy zaskarżeniem Komisji Europejskiej przed TSUE. To są nie tylko przepychanki instytucjonalne pomiędzy Parlamentem a Komisją. Parlament Europejski w otwarty sposób dąży do tego, żeby ten mechanizm dyskryminował wybrane państwa członkowskie, wiemy które. Ci, którzy do tego dążyli, ponieśli jednak dziś porażkę i dlatego są tak niezadowoleni.

Wcześniej powiedział pan, że takie konfrontacyjne, a co najmniej dwuznaczne intencje związane z mechanizmem praworządności miała także Komisja Europejska. Naiwnością byłoby sądzić, że teraz schowała te intencje do kieszeni. Można się spodziewać, że prędzej czy później sprawa wróci na agendę, bo taka jest natura polityki...

Komisja Europejska poprzedniej kadencji popełniła całą serię błędów, jeśli chodzi o sposób prowadzenia sporu z Polską. Spór nie jest niczym nadzwyczajnym, spory są wpisane w politykę i my się na to nie obrażamy. Natomiast sposób, w jaki Komisja prowadziła ten spór, był bardzo szkodliwy politycznie. Przede wszystkim dlatego, że zaproponowano rozporządzenie, które operowało terminami typowymi dla artykułu 7 Traktatów, niejako pokazując, żeby prawem wtórnym zmienić prawo pierwotne. To było podważone nie tylko przez nas, lecz także przez Europejski Trybunał Obrachunkowy, Służby Prawne Rady UE i wiele państw członkowskich, które dostrzegły w tym rozporządzeniu nadużycie. To był poważny błąd ówczesnej Komisji Europejskiej, dlatego rozporządzenie było przedmiotem krytyki i zostało w tych fragmentach poprawione. Nie tak dalece, jak byśmy chcieli. W efekcie nie można było, jak się okazało, uniknąć tego kryzysu. Jednak przyznano nam rację, że to rozporządzenie w pierwotnym kształcie jest po prostu nie do obrony. Jeszcze większym problemem był sposób prowadzenia tego konfliktu na poziomie politycznym przez Komisję Europejską. W 2018 r. była wyraźna szansa, żeby ten spór zamknąć. Wtedy, w przededniu „biegu" o najwyższe stanowisko polityczne w Unii Europejskiej, komisarz Timmermans odpowiedzialny za tę sprawę zdecydował, żeby spór zaostrzyć, zamiast wykorzystać szansę na jego załagodzenie ze względów wyłącznie politycznych. Jak pamiętamy, Timmermans stał się krótko po tym kandydatem socjaldemokratów na stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej. To potwierdza hipotezę, że partyjna, partykularna polityka wzięła górę nad dobrem integracji europejskiej. Ten spór, widać to gołym okiem, integracji nie służy. To nie jest tylko problem Komisji Europejskiej, to jest także problem całej Unii Europejskiej, która do długiej listy swoich problemów dołącza także i ten. Dziś KE musiała uznać ograniczenia takiej polityki, wycofać się z najbardziej radykalnych pomysłów ws. budżetu, ale na innych polach spór trwa.

Czy sposób prowadzenia sporu przez obecną Komisję Europejską z Polską i Węgrami rzeczywiście jest jakościowo inny od tego, który uosabiał Frans Timmermans i realizowany przez niego kurs? Czy nie mamy do czynienia z powielaniem tych samych błędów? Kiedy wsłuchać się w retorykę takich komisarzy Unii jak Jourová, Reynders czy

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

niekiedy samej przewodniczącej von der Leyen, ma się poczucie déjà vu.

Z całą pewnością istnieje takie ryzyko, że Komisja Europejska nowej kadencji siłą status quo, czy może z powodu innych nacisków, wejdzie na te same tory. Nowe otwarcie nie zostało w 100 proc. wykorzystane do uzdrowienia sytuacji. Pytanie brzmi: Czy Komisja Europejska chce, żeby ta sprawa nadal zatruwała relację między Warszawą a Brukselą, czy też nie? Na to pytanie musi odpowiedzieć sobie także Bruksela.

Sama obrona status quo nie rozwiąże nawarstwiających się problemów. Myślę, że z Warszawy, ale przecież nie tylko z Warszawy, płynie bardzo jasny sygnał, że czas akademickich modeli integracji, takich jak model federalny, minął. Europa historycznie, i nie bierzemy tylko pod uwagę perspektywy 60 lat integracji, była zbudowana na sile państw członkowskich. Realnych wspólnot. Dzisiaj oparta jest na sile i legitymizacji demokracji narodowych. To kluczowy wymiar partycypacji politycznej obywateli, z którym ludzie czują się bezpiecznie. Niczego lepszego nie mamy. Europa jeśli ma się rozwijać, wyjść z tych kolizji, sprzeczności, konfliktu interesów – to musi to brać pod uwagę.

UE to hybryda. Nie ma jednego modelu zarządzania. W sprawach rynku czy handlu nie ma alternatywy dla zarządzania wspólnotowego. W sprawie migracji i azylu musimy chronić kompetencji państw, bo dotyka to przyszłości samych narodów.

Praktyka polityczna pokazuje, że scenariusz stałego, ostrego konfliktu Polski z instytucjami unijnymi w przyszłości jest realny. Czy wobec takiej perspektywy strategiczną powinnością naszego państwa nie powinno być przygotowanie planu ewentualnościowego w postaci polexitu? Rozpoczęcie odsączonego od populizmu dyskursu na ten temat?

W tej dyskusji ginie nam oczywista prawda, którą trzeba podkreślać – relacji Warszawy i Brukseli nie można sprowadzić tylko do toksycznego sporu o praworządność, czy gdzieś tlącego się sporu cywilizacyjnego. W bardzo wielu dziedzinach mamy agendę zbieżną. Mam na myśli wspólny rynek, politykę handlową, w znacznej części cyfrową, politykę rozszerzenia Unii czy politykę sankcyjną. W tych sprawach Unia odgrywa pozytywną rolę i wzmacnia pozycję Polski. Całość relacji jest znacznie bardziej skomplikowana. W wielu aspektach współpracy europejskiej naszymi sprzymierzeńcami są nie tylko Komisja Europejska, lecz także nawet Parlament. Na pewno trzeba zróżnicować ten obraz. Co do kwestii polexitu, oczywiście rozumiem, że z powodu pewnej irytacji, zmęczenia można dojść do wniosku: Po co nam Unia? W tym sensie żaden rodzaj pytań, żaden rodzaj dyskusji nie powinien być tabu w polskiej debacie. Budowanie czegokolwiek na tabu jest raczej oznaką słabości niż siły. Chcę jednak podkreślić z całą siłą, że polexit nie rozwiązałby żadnego polskiego problemu, ale stworzyłby nowe. Propozycje polexitu są błędną reakcją na realne problemy współpracy europejskiej.

Co do kwestii polexitu, oczywiście rozumiem, że z powodu pewnej irytacji, zmęczenia można dojść do wniosku: Po co nam Unia? W tym sensie żaden rodzaj pytań, żaden rodzaj dyskusji nie powinien być tabu w polskiej debacie. Budowanie czegokolwiek na tabu jest raczej oznaką słabości niż siły. Chcę jednak podkreślić z całą siłą, że polexit nie rozwiązałby żadnego polskiego problemu, ale stworzyłby nowe. Propozycje polexitu są błędną reakcją na realne problemy współpracy europejskiej

Jarosław Kaczyński, lider PiS, w jednym z ostatnich wywiadów zakreślił plan reformy projektu europejskiego. Jego zamysł opiera się na frakcji Europejskich Reformatorów i Konserwatystów. Celem jest budowa konfederacji niezależnych państw, która docelowo stworzy globalną potęgę. Środkiem do tego celu ma być zmiana traktatów unijnych. Czy koncepcja zarysowana przez Kaczyńskiego to polski plan na naprawę Unii Europejskiej?

Wszyscy czują, że żyjemy w czasach przesilenia politycznego. Jest ono bardzo widoczne w państwach członkowskich i to się przekłada na sytuację w całej Unii Europejskiej. Unia dziś nie ma jasnej strategii, jednego scenariusza, jak wyjść z licznych kryzysów i sprzeczności. Mamy do czynienia ze sporami w różnych wymiarach między Północą a Południem, między Zachodem a Wschodem, o takie kwestie jak zadłużenie strefy euro, zarządzanie migracją, rola instytucji wspólnotowych czy praworządność. To sytuacja diametralnie inna od tej na początku naszego członkostwa, kiedy całej europejskiej klasie politycznej wydawało się, że dla modelu integracji nie ma realnej alternatywy, a faktyczna rola integracji dla naszego dobrobytu i stabilizacji jest nie do podważenia. W związku z kryzysem zadłużeniowym, migracyjnym, pandemicznym nikt już w taką bezalternatywność Europy nie wierzy.

Chce pan powiedzieć, że nie ma dla Polski „życia poza Unią" w perspektywie najbliższych dekad?

Polska jest suwerennym krajem, może kształtować, jak chce, swoje zobowiązania prawnomiędzynarodowe. Tylko praktykując tę wolność, trzeba sobie zadać pytanie: Czy to prowadzi do poprawy naszej sytuacji? Polexit nie prowadziłby do poprawy naszej sytuacji. Wręcz przeciwnie, pogorszyłby naszą sytuację w bardzo wielu dziedzinach, które są kluczowe dla polskiego rozwoju, a więc de facto dla naszej suwerenności. Polska suwerenność poza Unią byłaby osłabiona. Nie jest w naszym interesie dezintegracja jakiejkolwiek formy jedności Zachodu. Wręcz przeciwnie, to podmywana dziś jedność Zachodu jest ważnym wymiarem naszego bezpieczeństwa. W sferze gospodarczej, podobnie jak dziś Wielka Brytania, gospodarka o niebo bardziej zglobalizowana, stalibyśmy się petentami wspólnego rynku, musielibyśmy zabiegać o możliwie bliskie relacje ze wspólnym rynkiem UE. Nikt na świecie na nas nie czeka z atrakcyjnymi ofertami. Korzyści handlowe wspólnego rynku dla Polski są przynajmniej dwukrotnie wyższe niż odpływ osławionych dywidend na Zachód.

Poza UE nie zniknęłaby konieczność transformacji klimatycznej polskiej gospodarki. Koszty braku transformacji uderzałyby tak samo w naszą konkurencyjność. To byłby warunek relacji handlowych z UE, tak jak to ma miejsce w przypadku Wielkiej Brytanii teraz. Stracilibyśmy jedynie wsparcie budżetu UE dla tej operacji. Nie zniknąłby także spór cywilizacyjny o LGBT, którego podłoże jest znacznie głębsze niż polityka Brukseli. Nie widzę w polexicie żadnej wartości dodanej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Rynek pracy w czasie pandemii – raport Banku Pekao SA

Część zastosowanych podczas pandemii COVID-19 instrumentów ochrony rynku pracy może na stałe wejść do zestawu narzędzi polityki gospodarczej – wynika z raportu przygotowanego przez analityków Banku Pekao SA. Jak twierdzą eksperci, w kolejnych latach możemy być świadkami mniejszej zmienności liczby pracujących oraz stopy bezrobocia przy szerszym dostosowaniu sytuacji fiskalnej.

Pandemia wirusa SARS-CoV-2 wymusiła nakładanie obostrzeń epidemicznych, które okresowo silnie ograniczały aktywność ekonomiczną i popyt na pracę. Najnowszy raport Banku Pekao pt. „Mogło być gorzej… czyli rynek pracy w czasie pandemii. Porównania międzynarodowe i wnioski na przyszłość" przedstawia analizę sytuacji związanej z rynkiem pracy w 2020 r. dla wybranych krajów, m.in. Polski, Francji, Hiszpanii, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych.

Analitycy w raporcie określają rok 2020 jako „bezprecedensowy". Przebieg cyklu koniunkturalnego był wyjątkowy pod względem charakterystyki, przyczyn i reakcji polityki pieniężnej. W ciągu dwóch miesięcy obserwatorzy życia gospodarczego musieli przejść od rozważań na temat spodziewanej poprawy sytuacji w światowej gospodarce do prognozowania najgłębszego załamania aktywności ekonomicznej od drugiej wojny światowej.

– Gospodarki rozwinięte najprawdopodobniej skurczą się w tym roku o 7,5 proc., a odbicie w 2021 r. będzie niepełne. Ostatnie prognozy wskazują na wzrost jedynie o 4,8 proc. Poziom aktywności gospodarczej sprzed pandemii będzie osiągnięty, w zależności od gospodarki, od połowy 2021 r. w Polsce i wyraźnie nawet później na południu strefy euro. Innymi słowy, wywołane przez pandemię i walkę z nią skutki zostaną z nami na dłużej – ocenia Ernest Pytlarczyk, główny ekonomista Banku Pekao SA.

Odpowiedzią na kryzys ze strony polityki gospodarczej było wdrożenie niespotykanych do tej pory, co do skali i zakresu, programów pomocy publicznej. Szczególną rolę odgrywały instrumenty nakierowane na ochronę rynku pracy. Do popularnych instrumentów należały dopłaty do wynagrodzeń oraz dopłaty do skróconego czasu pracy, które miały ochronić zagrożone etaty. Doświadczenia roku 2020 wskazują, że wiele z zastosowanych mechanizmów okazało się skutecznych, niejako „zamrażając" rynek pracy w okresach największego spadku aktywności. W efekcie udało się uniknąć masowych zwolnień i lawinowego wzrostu liczby bezrobotnych.

Rok 2020 niesie także ze sobą pewną naukę dotyczącą prognozowania rynku pracy. „Apokaliptyczne scenariusze" dla rynku pracy, w świetle dwucyfrowych spadków PKB, nie spełniły się. W państwach stosujących na dużą skalę wsparcie dla rynku pracy skala wzrostów bezrobocia była niewielka i znacznie mniejsza niż w poprzednich historycznych epizodach dekoniunktury.

RAPORT BANKU PEKAO SA MOŻNA POBRAĆ NA STRONIE:
HTTPS://MEDIA.PEKAO.COM.PL/

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Gdzie jest prezydent?

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Kamila Baranowska

Początek drugiej kadencji Andrzej Duda jakby nieco przespał. To kwestia przypadku czy może świadoma taktyka?

To właśnie pan prezydent Duda zadzwonił do mnie w poprzednią niedzielę i bardzo stanowczo powiedział, że nie zaakceptuje zamknięcia stoków – właśnie przez pryzmat tych słów, wypowiedzianych przez Jarosława Gowina w Polsat News, zostaną zapamiętane przez dużą część obywateli pierwsze miesiące drugiej kadencji prezydenta Andrzeja Dudy.

A to oznacza, że nie jest dobrze.

Lider SLD Włodzimierz Czarzasty zapytany przez dziennikarza TVN24 o interwencję prezydenta w sprawie stoków kpił, że „prezydent podjął najważniejszą decyzję w swojej drugiej kadencji". – W Polsce nie dzieje się nic ważniejszego niż to, czy prezydent będzie jeździł na stoku, czy nie […]. Panie prezydencie, naprawdę, jest pan fantastyczny – ironizował, dobrze oddając ogólne odczucia społeczne w tej sprawie.

Prezydentowi Dudzie nie pomagali także koledzy z PiS. – Prezydent Andrzej Duda jest miłośnikiem narciarstwa, więc jest zainteresowany, żeby wyciągi działały – ocenił z brutalną szczerością szef klubu PiS Ryszard Terlecki.

NIEFORTUNNA INTERWENCJA

Nie wnikając w to, czy Jarosław Gowin powiedział to, co powiedział, celowo czy przypadkiem, warto odnotować, że już sama reakcja pałacu prezydenckiego na całą tę historię była zupełnie przypadkowa i sprowadzała się do słów rzecznika Błażeja Spychalskiego, który stwierdził, że „prezydent ma zdroworozsądkowe podejście i uważa, że rekreacja na wolnym powietrzu nie powinna być zakazywana".

Żeby było jeszcze zabawniej, przedstawiciele rządu twierdzili, że decyzji o zamykaniu stoków, wtedy gdy interweniować w tej sprawie miał prezydent Duda, w ogóle nie było. – Rząd w żadnym dokumencie nie podejmował decyzji o tym, by zamykać stoki narciarskie. Ani nikt ich nie zamknął, więc nikt ich też nie mógł otworzyć – przekonywał Łukasz Schreiber, minister w kancelarii premiera.

Decyzję o zamknięciu stoków podjęto dopiero kilka tygodni później, gdy tuż przed świętami ogłoszono, że od 28 grudnia będzie w Polsce obowiązywać narodowa kwarantanna.

Interwencja prezydenta w sprawie stoków wywołała tak duże emocje głównie dlatego, że w ostatnim czasie prezydent w sprawie pandemii stał się mniej widoczny. 1 grudnia zwołał Radę Gabinetową, później wystąpił jeszcze tylko na wspólnej konferencji z minister pracy, by zachęcać do solidarności z seniorami.

– Wiadomo, że walka z pandemią to domena rządu, ale wygląda to tak, że w kampanii brał udział w podejmowaniu każdej decyzji, a teraz widząc, że nastroje społeczne się zmieniły, robi wszystko, by się z tematem jak najmniej

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

kojarzyć – narzekał nam niedawno jeden z polityków PiS.

Nawet jeśli to tylko wrażenie, to jest w PiS dość powszechne. W PiS odnotowano, że podczas gdy Morawiecki mocno wsparł prezydenta w kampanii wyborczej, zwłaszcza na jej finiszu, objeżdżając kraj i mobilizując wyborców PiS, to prezydent nie jest skory do wspierania premiera w trudniejszych politycznie momentach. Tak było komentowane choćby milczenie prezydenta Andrzeja Dudy, gdy tygodniami toczył się spór dotyczący powiązania funduszy unijnych z praworządnością. A warto przypomnieć, że Andrzej Duda jest najpopularniejszym politykiem obozu rządzącego. Cieszy się największym zaufaniem społecznym. W badaniach CBOS zwykle zajmuje pierwsze miejsce wśród wszystkich polityków (choć w ostatnim, grudniowym badaniu wyprzedził go Szymon Hołownia).

RACHUNEK ZYSKÓW I STRAT

Sprawa unijnych negocjacji miała kilka poziomów, najważniejszy dotyczył sporu Warszawy z Brukselą, ale w tle toczyła się także ambicjonalno-polityczna wojna premiera Morawieckiego z ministrem Ziobrą. Okazji do zabrania głosu i zaznaczenia swojej obecności nie brakowało.

Tymczasem dwa dni przed decydującym szczytem informacją, która popłynęła do opinii publicznej z okolic pałacu, była ta, że prezydent jest zajęty urządzaniem nowego mieszkania w Krakowie, o czym doniósł „Super Express". Wszystko okraszone zdjęciami głowy państwa noszącej walizki z narzędziami. „Miał urządzać Polskę, a urządza mieszkanie" – tak rozpoczynał się tekst, poświęcony temu, czym żyje w ostatnich dniach głowa państwa.

Obserwując to z boku, można odnieść wrażenie, że doradcy prezydenta wyszli z założenia, że Andrzej Duda nie powinien wchodzić w nie swoje wojny i nie powinien zabierać głosu tam, gdzie może na tym stracić. Słyszymy też, że wystarczająco mocno obrywał za całe PiS w kampanii prezydenckiej, więc teraz nie musi wystawiać się na każde uderzenie. Ma wybierać bezpieczne dla siebie tematy, jawić się jako prezydent, który łączy, a nie dzieli i dystansuje się od bieżących politycznych sporów.

W teorii brzmi to nieźle, w praktyce wychodzi jednak gorzej.

Kiedy na ulicach polskich miast nakręcały się emocje, związane z wyrokiem TK w sprawie aborcji, większość najważniejszych polityków związanych z PiS nabrała wody w usta, licząc, że sprawa rozejdzie się po kościach. Tak się nie stało. Andrzej Duda w tym czasie przebywał na kwarantannie z racji zakażenia koronawirusem. Po tygodniu trwania protestów postanowił zabrać głos, udzielając wywiadu Polsat News. Zadeklarował, że choć sam jest przeciwnikiem aborcji eugenicznej, to „rozumie kobiety, które protestują" i obiecał pracować nad rozwiązaniem „niosącym spokój społeczny". Dwa dni później do Sejmu trafił projekt ustawy, przywracający przesłankę eugeniczną, ale w dużo węższym zakresie – ze względu na wady letalne dziecka lub wysokie prawdopodobieństwo urodzenia martwego dziecka.

Projekt prezydenta nie spotkał się z ciepłym przyjęciem właściwie przez nikogo. Po pierwsze, był mocno spóźniony, bo emocje społeczne były już rozhuśtane do granic. Po drugie, w tym czasie Strajk Kobiet na sztandary wziął już nie powrót do kompromisu, lecz postulat liberalizacji przepisów aborcyjnych. Po trzecie, okazało się, że projekt nie został uzgodniony z PiS, więc trafił do sejmowej zamrażarki. I prawdopodobnie tam już pozostanie. Jarosław Kaczyński nie kryje zresztą swojego sceptycyzmu wobec tej inicjatywy prezydenta. – Projekt prezydenta jest w Sejmie. Trudno mi powiedzieć, czy zdobyłby w tej chwili większość. W naszym klubie jedni będą go krytykować, argumentując, że podważa ten wyrok [TK – przyp. red.]. Drudzy powiedzą, że to za mało, bo lepszy byłby wprost ten kompromis z 1993 r. Obawiam się, że trudno byłoby dojść do zgody. Bo wszystkie strony tego sporu mają dość twarde pozycje – powiedział niedawno w „Rzeczpospolitej".

Jeszcze dosadniej ujął to szef klubu PiS Ryszard Terlecki. – Uważam, że Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnął wątpliwości, więc już nie jest potrzebny dodatkowy element w postaci tej ustawy – stwierdził.

Prawdopodobnie potrzebne nie będzie już także prezydenckie weto w sprawie tzw. piątki dla zwierząt (przynajmniej w obecnej wersji), bo PiS na razie odłożył sprawę, widząc, że budzi ona zbyt liczne kontrowersje i może zniechęcić rolników. Prezydent Duda od początku kręcił nosem na „piątkę", ale z jasnymi deklaracjami specjalnie się nie spieszył, czekając na rozwój wydarzeń. Na prezydenckich dożynkach we wrześniu stwierdził jedynie, że „na pierwszym miejscu jest byt rolnika, jakość życia jego i jego rodziny" i że będzie miał to na uwadze, gdy ustawa trafi na jego biurko. W zdecydowany sposób publicznie wypowiedział się dopiero dwa miesiące później, gdy jej los właściwie był już przesądzony.

– Ja się z tą ustawą absolutnie nie zgadzam. W wielu punktach jest absolutnie nieprzemyślana – stwierdził na zjeździe klubów „Gazety Polskiej". – Zrobię wszystko, żeby nie dopuścić tej ustawy w życie i tych przepisów. Ci ludzie głosowali na mnie w zaufaniu, że będę dbał o polską wieś i polskie rolnictwo. Ich interesy przekładają się na interesy konsumentów, bo oni produkują żywność w Polsce – dodał.

URAŻONA DUMA?

Jeden z polityków PiS, z którymi niedawno rozmawialiśmy, stwierdził, że milczenie prezydenta w sprawie unijnych negocjacji i sporu Morawieckiego z Ziobrą, a także mocna zapowiedź weta w sprawie „piątki dla zwierząt" w obecnej formule to efekt urażonej dumy. Prezydent zapamiętał dobrze fakt, że został całkiem pominięty przy okazji rozmów koalicyjnych, toczących się w Zjednoczonej Prawicy, oraz że nikt z nim nie konsultował „piątki dla zwierząt". Jego relacje z PiS i prezesem Jarosławem Kaczyńskim są wciąż dosyć specyficzne. Prezes PiS na każdym kroku okazuje głowie państwa lekceważenie, jednocześnie oczekując od niego stuprocentowej lojalności. Może odpowiedź na pytanie, dlaczego Andrzeja Dudy jest mniej w bieżącej polityce i dlaczego woli się skupiać na wykonywaniu obowiązków związanych z pełnieniem urzędu, jest prostsza, niżby się wydawało. Może to wcale nie wynika z politycznej kalkulacji, lecz po prostu z braku pomysłu na to, jak zagospodarować swój polityczny kapitał na przyszłość.

– Zaczyna to trochę przypominać prezydenturę Komorowskiego. Wcześniej był power. Widać było, że Andrzeja napędzały spotkania z ludźmi, szalony pomysł objazdu po wszystkich powiatach w kraju. Wtedy celem była druga kadencja, teraz tego celu brakuje, bo nie wiadomo, co miałoby nim być – opowiada polityk PiS, dobrze znający prezydenta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Piotr Semka

Skoro nie wiemy, w jakim kierunku rozwinie się pandemia, to musimy mieć świadomość, że wszelkie przewidywania dotyczące najbliższego pół roku naznaczone są sporą niewiadomą. Spróbujmy jednak zastanowić się nad możliwymi strategiami w polskiej polityce

Nie dowiedzieliśmy się, jak Jarosław Kaczyński chce rozwiązać problem „piątki dla zwierząt" i werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Szepty i strategie na nowy rok

Początek roku to dobra okazja do przeglądu możliwych strategii polskich partii politycznych na najbliższe miesiące. Na wszystkie polityczne rachuby rzuca dziś swój cień pandemia. Im ostrzejsza będzie transmisja choroby, tym bardziej polityka będzie schodziła na dalszy plan. Jednak jak widzieliśmy w ciągu ostatnich 10 miesięcy, pandemia raczej wzmacnia ostrość sporów i bywa używana jako argument w politycznej wymianie ciosów.

Rozpatrzmy więc możliwe plany gry obozu progresywnej lewicy, opozycji aspirującej do roli centrum i wreszcie obozu dobrej zmiany.

W CIENIU MARTY LEMPART

Jeśli przeglądać zachodnie gazety, to największą gwiazdą ostatnich miesięcy z osób publicznie występujących przeciwko rządom PiS jest inicjatorka Strajku Kobiet. Ten niespodziewany wzrost znaczenia skłania Martę Lempart do dość protekcyjnego traktowania innych polityków opozycji. Można zwrócić uwagę, że unikała ona afiszowania się spotkaniami czy to z Borysem Budką, czy to z Włodzimierzem Czarzastym. Chociaż z drugiej stronny chętnie spotkała się z Donaldem Tuskiem, obecnie szefem Europejskiej Partii Ludowej. To spotkanie na szczycie skłoniło wielu komentatorów do podejrzeń, że były lider gdańskich liberałów myśli o jakimś większym bloku politycznym, który by wyciągnął do przodu takie postacie jak Marta Lempart kosztem „tradycyjnych" polityków PO, PSL czy nawet Szymona Hołowni.

Cała ta konstrukcja jednak ma wiele cech myślenia życzeniowego. Przyczyną powstawania takich teorii jest dość trwała przypadłość polskiej opozycji. Jej główna partia – Platforma Obywatelska – po odejściu Tuska nie ma szczęścia do liderów. Tak było z Grzegorzem Schetyną i tak jest teraz z Borysem Budką. Nawet wysunięcie na stanowisko szefa klubu Cezarego Tomczyka nic nie zmieniło. W tej sytuacji co pewien czas nadzieje przeciwników PiS skupiają się na tzw. nowych twarzach. Tak było z liderem Komitetu Obrony Demokracji Mateuszem Kijowskim i tak jest teraz z Martą Lempart. To, że nie są oni tradycyjnymi politykami, niesie ich w górę, ale jednocześnie też pozbawia ich pewnego profesjonalizmu i czynnika politycznego długiego planu. Dodatkowo na niekorzyść tych, którzy chcieliby widzieć w szefowej Strajku Kobiet lidera opozycji, działa odległy termin wyborów. Oczywiście można zakładać, że będą wybory przyspieszone, ale na razie nie widać na to szans.

Paradoksem aktualnej sytuacji jest, że ogromny rozgłos, który zdobyły akcje organizatorek Strajku Kobiet i ich żądania swobodnej aborcji, nie przełożyły się na wyniki lewicy. Znów można odnieść wrażenie, że zainteresowanie Martą Lempart wcale tak naprawdę nie cieszy ani Włodzimierza Czarzastego, ani Adriana Zandberga. Owszem, gorąco popierają oni demonstracje feministek (Czarzasty robił nawet bardzo wiele, aby stać się ofiarą policyjnych działań), ale nie wpływa to jakoś na polepszenie pozycji Lewicy.

RAFAŁ BUKSUJE, HOŁOWNIA NADRABIA MINĄ

Sukces Marty Lempart podkreślił też niepowodzenie planów Rafała Trzaskowskiego, który ze swoim Ruchem Wspólna Polska chciał wykorzystać wzmożenie opozycji w kampanii prezydenckiej. I znów mieli rację ci, którzy wskazywali, że nie sprawdza się wynoszenie przegranych kandydatów w wyborach prezydenckich na liderów nowych ruchów. Tak było w 1990 r., kiedy po porażce z Tymińskim i Wałęsą Tadeusz Mazowiecki został liderem Unii Demokratycznej. Jeżeli ktoś przegrywa, to bardziej kojarzy się z klęską niż z jakimś nowym projektem politycznym. W wypadku Mazowieckiego zrozumienie tej prawdy zajęło politykom, takim jak Jacek Kuroń czy Bronisław Geremek, aż pięć lat. W wypadku Trzaskowskiego jest to już ewidentne dzisiaj. Co więcej, w szeregach PO słychać coraz częściej głosy, że Trzaskowski postanowił skupić się na samodzielnych rządach Warszawą i odsuwa polityków PO, takich jak Marcin Kierwiński, od naprawdę ważnych decyzji o tym, co się dzieje w stolicy.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Opozycja właściwie nie ma dziś dobrego lidera i na tym tle za sukces można uznać aktywność Szymona Hołowni. Utrzymał on w sondażach stosunkowo wysoki 12-procentowy wynik dla swojego ugrupowania Polska 2050. Na tle Trzaskowskiego wyraźnie ma więcej sił i samozaparcia. Jednak już jego program jest ciągle eklektycznym koktajlem, którego atrakcyjność opiera się głównie na medialnych sztuczkach byłej gwiazdy „Mam talent". Wbrew buńczucznym zapowiedziom nie wzrasta też liczba posłów, których Hołowni udaje się wyłuskiwać z obecnych klubów politycznych. Lider Polski 2050 niedawno znów deklarował, że lada moment do jego ugrupowania zapukają kolejni parlamentarzyści, ale na razie jedyną taką osobą jest Hanna Gill-Piątek.

Jeszcze bardziej na wyrost brzmią zapowiedzi lidera PSL, że lada moment zacznie rosnąć w siłę jego Koalicja Polska. Jak dotąd jedynym silnym punktem tego projektu jest logo – biało-czerwony kod kreskowy. Jego szumne deklaracje, że „Koalicja Polska ma być ostoją normalności pomiędzy lewicującą Platformą Obywatelską, Lewicą i PiS-em, który demoluje państwo polskie", brzmią efektownie, jednak potrzeba czegoś więcej niż tylko grupy dosyć zgranych polityków, których klub nie tylko się nie powiększa, lecz także wręcz maleje, m.in. wskutek odejścia posłów Kukiz'15. Użycie przez Władysława Kosiniaka-Kamysza zarzutu, że Platforma Obywatelska skręca w lewo, mogłoby być trafne, gdyby PSL miało siłę, aby przejąć konserwatywnych posłów PO. Platforma jednak w najbliższym czasie będzie zajmować się sama sobą. Jeśli przyjąć za dobrą monetę zapowiedzi Borysa Budki, że w 20. rocznicę stworzenia PO powstać ma jakiś nowy program ideowy, to musiałoby być w nim zawarte rozstrzygnięcie stosunku patii do aborcji na życzenie. 20. rocznica powstania PO przypada 24 stycznia 2021 r. Można wątpić, czy do tego czasu partia rozstrzygnie tak poważny dylemat. Już ujawnili się tacy politycy jak Grzegorz Schetyna czy Bogdan Zdrojewski, którzy wypowiedzieli się za przywróceniem kompromisu aborcyjnego.

Jakie gremium ma więc to rozstrzygać. Zarząd partii? A może ugrupowanie zdobędzie się na jakiś specjalny zjazd, który ma rozsądzić ten spór. W polskiej rzeczywistości politycznej dawno już nikt nie pamięta zjazdów, które byłyby areną dosyć swobodnych, ostrych polemik. Można więc przyjąć, że kwestia stosunku do aborcji na życzenie sparaliżuje największą partię opozycji w ciągu pierwszych miesięcy przyszłego roku.

Ważną rolę w układzie wpływów w obozie opozycji może odegrać też przykład węgierski. Wiosną 2022 r. odbędą się tam wybory do parlamentu. Jeśli tamtejsza opozycja stworzy skuteczną wspólną listę i odsunie Viktora Orbána od władzy, to zaczną się silne naciski z Zachodu, by podobną drogą poszły partie opozycji w Polsce.

Naturalną rolę wielkiego integratora może wtedy odegrać Donald Tusk. Zresztą właśnie do takiej rezerwowej roli go przewidziano, fundując mu dostatnią „fuchę" szefa EPP w Brukseli.

PRZEJŚĆ PRZEZ PANDEMIĘ

Taktykę obozu dobrej zmiany na najbliższe miesiące w największym stopniu określił niedawno Jarosław Kaczyński w swoim wywiadzie dla „Rzeczpospolitej". Gospodarz Nowogrodzkiej wyraźnie podkreślił, że chce być liderem Zjednoczonej Prawicy przynajmniej do najbliższych wyborów parlamentarnych. Określił swój przewidywany wiek odejścia z polityki na 75 lat, co daje nam rok 2024. Data ta oczywiście jest okrągła i wygodna do używania, ale wiąże się z pewną słabością. Oznaczałoby to, że Kaczyński przewodziłby kampanii w 2023 r., by ustąpić rok po ewentualnym przedłużeniu władzy. To trochę dziwna sytuacja, bo w polskiej rzeczywistości politycznej frontman kampanii jest jednocześnie kandydatem na premiera na kolejne cztery lata. Można więc przyjąć, że Kaczyński rzuca teraz tę umowną kartę 2024 r. raczej po to, by osłabić wrażenie kryzysu przywództwa, niż żeby jakoś drobiazgowo zaplanować polityczną przyszłość.

W podobny sposób uspokojeniu emocji ma służyć wyraźna deklaracja, że premier Morawiecki raczej utrzyma się na swoim stanowisku do końca kadencji. Lider PiS podkreślił też wyraźnie, że nie zrezygnuje z walki o partnerskie relacje w Unii i że rządzącemu ugrupowaniu nie drży ręka w dalszym reformowaniu sądów.

Nie dowiedzieliśmy się za to, jak Kaczyński chce rozwiązać kwestie „piątki dla zwierząt" i werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Temat wyroku TK może już niedługo okazać się bardzo zapalny, gdy po pojawieniu się uzasadnienia rząd ogłosi wreszcie werdykt. Nie sposób dziś stwierdzić, czy wywoła to na nowo masowe demonstracje i jaki będzie w niej udział młodzieży. Na pewno Marta Lempart zakłada, że skłoni do ponownego wyjścia na ulice przynajmniej 70 proc. demonstrujących z przełomu października i listopada 2020 r.

Zjednoczona Prawica stanie w najbliższych miesiącach przed nienowym problemem tętniącego podskórnie antagonizmu między zamiarami Jarosława Gowina a dbaniem przez Zbigniewa Ziobrę, by być strażnikiem tożsamości ideowej Zjednoczonej Prawicy. Gowin niedawno znów zaskoczył wszystkich – jak się zdaje niekonsultowaną – propozycją referendum w sprawie dopuszczalności aborcji. Dla Zjednoczonej Prawicy byłaby to bardzo ryzykowna opcja. Jednak z obozu lewicy, która jeszcze w latach 90. domagała się takiego referendum, słychać głosy sprzeciwu wobec jego przeprowadzenia. Paradoksalnie więc w kwestii ewentualnego głosowania na temat losu dzieci nienarodzonych zarówno spora część lewicy, jak i prawicy mówi niemal to samo – że jest to kwestia, której nie powinno się poddawać pod głosowanie.

Według przepisów prawa referendum krajowe może być ogłoszone albo przez Sejm większością głosów, albo przez Prezydenta RP za zgodą Senatu. W obu wypadkach nie sposób orzec, czy taka większość byłaby możliwa. Jak można się domyśleć, spór dotyczyłby też treści pytania referendalnego, bo ono mogłoby wpływać na nastawienie wyborców. Nie zmienia to faktu, że lewica uczyniła już z żądania aborcji kwestię polityczną, której znaczenie może rosnąć. PiS będzie musiał się zdecydować, czy chce w tej kwestii zająć twarde stanowisko, czy też przyjmie propozycje referendalne Gowina.

Na koniec warto stwierdzić prawdę, która nie jest specjalnie odkrywcza. Losy rządu będą w dużej mierze związane z historią walki z pandemią. Trudno się dziwić entuzjazmowi Mateusza Morawieckiego, który widzi w szczepionkach czynnik, który może będzie powoli rozładowywać kryzys gospodarki, nastrojów i wybuch frustracji społecznej. Każdy miesiąc niepewności czy lockdownu oznacza usuwanie się gruntu spod nóg Mateusza Morawieckiego. A skoro nie wiemy, w jakim kierunku rozwinie się pandemia, to musimy mieć świadomość, że wszelkie przewidywania dotyczące najbliższego pół roku naznaczone są sporą niewiadomą. Naprawdę wszyscy jesteśmy w szponach wirusa. Politycy nie stanowią wyjątku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Z Dorotą Gawryluk, szefową informacji i publicystyki w Polsacie

rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Żyjemy w czasach przełomowych społecznie i politycznie – ale czy także dziennikarsko? Media zmienią się na trwałe pod wpływem pandemii, a może wszystko musi się zmienić, aby wszystko pozostało po staremu?

DOROTA GAWRYLUK: Nie przeceniałabym znaczenia chwili w dziennikarstwie. Mam wrażenie, że wszystko wróci do normy tak szybko, jak tylko się da, a na głębsze refleksje po prostu nie będzie miejsca. Poza tym przyzwyczailiśmy się do życia w pandemii.

A może nie chodzi o to, czy Skype zastąpi studio telewizyjne, ale jak dziennikarstwo definiuje swoją rolę? Niedawno amerykańskie stacje telewizyjne, od CNN do FOX News, przerwały przemówienie prezydenta Donalda Trumpa, zarzucając mu kłamstwo. W Polsce niektórzy bili brawo, pisząc: „To wielka chwila dziennikarstwa". Pani również?

Nie, nie miałam takiego poczucia. Przerwanie konferencji Trumpa wpisuje się w znany od lat trend, w którym dziennikarze wiedzą wszystko i znają odpowiedzi na każde pytanie. Wydaje im się, że kreują obraz świata, a kiedy to jest dla nich wygodne – przyjmując rolę czwartej władzy. Działa to tylko wtedy, gdy akurat rządzą politycy, których nie lubią. Gdy u steru znajdują się ci „właściwi", to wtedy ci sami dziennikarze bywają potulni. Dlatego nie byłam zaskoczona.

W Polsce też doczekamy się momentu, w którym Borys Budka, Donald Tusk albo Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki zostaną zdjęci z anteny, bo ktoś uzna, że kłamią?

Wydaje mi się, że w Polsce to też się dzieje w pewnej sferze – przecież każdy wydawca decyduje codziennie, które wypowiedzi emituje, kiedy je przerwać, bo stają się „nudne", w jakie miejsce zwrócić kamerę. Mogę sobie jednak wyobrazić, że w końcu i u nas ktoś zdecyduje się na bezpośrednią interwencję. Niektóre telewizje i prasa otwarcie przyjęły już role graczy politycznych.

Spójrzmy w takim razie na media społecznościowe, które idą podobną drogą. Twitter oznacza wpisy amerykańskich polityków – zwłaszcza

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

prezydenta i republikanów – jako „wprowadzające w błąd", zabraniając ich komentowania albo ukrywając treść. Podobnie robi Facebook. Czy to kolejna odsłona tego samego zjawiska?

Tak, to kwestia narzucania przez część mediów narracji polegającej na uznaniu, że ich punkt widzenia jest właściwy i słuszny. Te media chcą być jedyną instancją weryfikującą fakty. Każde odstępstwo od ich wizji świata jeszcze do niedawna było po prostu źle postrzegane, ale teraz staje się już nieakceptowalne. Każdy, kto myśli inaczej i wyraża inne poglądy, dostaje się na celownik – jest publicznie piętnowany. Środowiska, które najgłośniej krzyczą o demokracji, różnorodności i tolerancji, są tymi, które są najmniej wolne, a często najbardziej agresywne w narzucaniu własnego zdania. Często patrzę pod tym kątem na Parlament Europejski, który przemyca w rezolucjach np. takie zdania: „Aborcja to prawo człowieka". Dzisiaj sama dyskusja w niektórych krajach Unii jest już niedopuszczalna i wiąże się z pewnego rodzaju opresją i publicznym wykluczeniem.

À propos wykluczania, mieliśmy taką sytuację również na naszym podwórku dziennikarskim. Mowa o nagrodzie Grand Press, uważanej za najbardziej prestiżową w branży...

Zależy dla kogo.

To osobna kwestia. I w tejże nagrodzie, w kategorii Wywiad, nominowano rozmowę Beaty Lubeckiej z Radia ZET z „Margot". Niestety wyboru nie uzgodniono z częścią jury, które oburzyło się na „homofobiczny" charakter rozmowy, podczas której padały pytania od słuchaczy, np. o orientację seksualną rozmówcy. Mało tego, następnie jeden z dziennikarzy, zbierając podpisy pod listem otwartym, domagał się zwolnienia Lubeckiej z pracy.

Kolejny raz – klasyk. Pewni ludzie sami siebie mianowali autorytetami, a teraz chcą jeszcze wyznaczać, kto ma gdzie pracować, a kto musi być zwolniony. Być może zjawisko to dotyczy mniejszości dziennikarzy, ale równocześnie jest to mniejszość bardzo wpływowa, która potrafi głośno krzyczeć. Niektórzy się temu krzykowi poddają, co poskutkowało odwołaniem całej kategorii konkursu. Powiedzmy sobie wprost – to jest bezczelność. Bezczelnością i pychą jest dyktowanie redakcjom, kogo mają zatrudniać.

Profesor Monika Płatek, jedna z sygnatariuszek listu o odwołanie Lubeckiej, po jego podpisaniu wycofała swoje poparcie, przyznając się do błędu. Polegał on na tym, że wyraziła oburzenie, zanim wysłuchała wywiadu, który okazał się jednak „do zaakceptowania".

Bez względu na tytuły wiele osób poddaje się teraz podobnemu, stadnemu myśleniu. Fakty się wtedy nie liczą, nie patrzy się na merytoryczną zawartość wywiadu, tylko na to, kto się oburzył i jak wielu znajomych. I znowu: ani nad tym stanem rzeczy nie rozpaczam, ani mu się nie dziwię. To klasyczna próba sił i sprawdzian charakterów. Kto ulega krzykowi mediów, kto się go boi, a kto ma tyle samozaparcia, że idzie swoją drogą.

Pozostając w temacie listów otwartych. Pojawił się jakiś czas temu zarzut, że w apelu portalu OKO.press wystosowanym do policji, która zachowała się podczas protestów brutalnie wobec dziennikarzy, nie było podpisów nikogo z Polsatu. W domyśle – ponieważ Polsat nie chce podpadać władzy.

Nie wiem, czy ktoś się z naszej firmy podpisał, czy ktoś się do nas zgłaszał. Nie interesuje mnie to i nie prowadzę w tym temacie śledztw. Jeśli chodzi o mnie, to mam zasadę, że nie podpisuję się pod żadnymi listami z osobna, natomiast in gremio popieram wszystkie apele o wolność słowa, przestrzeganie zasad, prawa i tak dalej. Zastanawiam się, co teraz – będzie kolejny list oburzonych, dlaczego się pod tym nie podpisałam? To absurd – codziennie musielibyśmy kogoś rozliczać i tworzyć nowe petycje. Odwróćmy sprawę – dlaczego nie ma listu otwartego w obronie dziennikarzy TVP oraz innych mediów, którzy zostali nazwani przez aktywistki Strajku Kobiet „psami" oraz nie wpuszczono ich na konferencję prasową? Był jakiś apel środowiska w tej sprawie?

Nie było.

No właśnie. Dlatego proponuję stworzyć i oprawić w ramki jeden apel, co do którego będzie panowało domniemanie konsensusu, zakładający, że wszyscy ludzie dobrej woli sprzeciwiają się przemocy, agresji i chamstwu w życiu publicznym. List dotyczący dziennikarzy wszystkich mediów, bez względu na to, jaką sympatią je darzymy. I tyle.

Niektóre media otwarcie przyjęły role graczy politycznych

Kontrargumenty – o ile można je tak nazwać – brzmiały następująco: TVP, Republiki i „Gazety Polskiej" bronić nie będziemy, bo to nie są dziennikarze, tylko „partyjni propagandyści".

Kto o tym zdecydował? Jaka wielka komisja stworzona z jakich wielkich nazwisk orzekła, że ci ludzie są niegodni nazwania ich dziennikarzami? Bardzo chciałabym się dowiedzieć. Proszę zauważyć, ilu ludzi mediów pracuje dzisiaj po stronie partii opozycyjnych, dlatego dyrdymały w stylu: jedni dziennikarze oceniają drugich, zaczynają mnie już śmieszyć. Był taki film „Siedmiu wspaniałych". Może niech znajdzie się tylu – myślę, że będzie bardzo ciężko – którzy nie mają na sumieniu wywiadu w Żyrardowie z Leszkiem Millerem albo ukrywania Aleksandra Kwaśniew-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

skiego nad grobami katyńskimi. I z nich stworzymy komisję, która będzie decydowała, kto jest, a kto nie jest dziennikarzem. W przeciwnym przypadku kto to oceni: ludzie z TVN24, „Gazety Wyborczej", Republiki, może Jacek Kurski, ja albo pan zadecyduje?

Wolałbym nie.

To już wiem, Marta Lempart będzie na czele tego gremium, dobierzemy paru polityków rządu i opozycji i będzie pełen pluralizm.

Może w takim razie niech oceniają nas widzowie i czytelnicy? Ci, oceniając od strony statystyk, coraz częściej wybierają Polsat News. Jak w stacji tłumaczycie sobie ten wzrost oglądalności?

Nie ma tutaj żadnego sekretu, to efekt połączenia wielu czynników, również wzmocnienia się Polsatu w działce internetowej. Piotr Witwicki działa w naszym portalu, zarządza również Interią – to ogromna przewaga rynkowa.

Zaraz trzeba będzie Polsat zdekoncentrować.

Nie przekraczamy żadnych granic, po prostu wchodzimy w nowy segment rynku, na którym wcześniej nie byliśmy zbyt widoczni. Działa efekt synergii, zaczęliśmy ścigać się z konkurencją. Lubię to uczucie, ono mnie motywuje, dlatego nigdy nie narzekam na media lepsze i gorsze. Dzięki ich różnorodności również my możemy się wyróżnić. Ciężka praca w końcu nam odpłaciła, to jest taki moment, w którym zbieramy owoce.

Jak się pani czuje z powtarzającymi się niekiedy zarzutami o „pisowskości" Polsatu, który zyskuje, ponieważ jest cywilizowaną wersją telewizji publicznej?

Ciekawe, że nikt nie mówi mi tych zarzutów w twarz, przyklejono nam jednak tę łatkę na początku zmian, ponieważ konkurencja czuła, że mogą one doprowadzić do uszczuplenia ich wpływów. Do tej pory nie widziałam w tej sprawie ani jednego zarzutu merytorycznego.

Są również inne zarzuty, bardziej merytoryczne. „Polsat News zyskuje cytaty, ponieważ zaprasza celebrytów". Dostało się wam chociażby za wywiad z Edytą Górniak na temat koronawirusa.

W innych stacjach też widzę celebrytów. Choćby Radosław Majdan wypowiada się o aborcji. Czy to wtedy jest problem, czy nie jest? Znowu wracamy do punktu, w którym siedzi nad nami grono mędrców, które ustala, z kim wypada rozmawiać, a z kim nie. Rozumiem, że w Polsacie nie uchodzi, ale w TVN już tak. W TVP natomiast Zenon Martyniuk może zaśpiewać, a Marcin Najman opowiadać o Unii i jest super. Nie mam czasu oglądać się wstecz i patrzeć już na te głosy krytyków. Jestem przekonana, że prezentujemy wysoki poziom i jesteśmy najbardziej otwartą stacją w Polsce, otwartą na głosy wszystkich stron sporu politycznego. To jest nasza siła, widzimy różne strony medalu, gdy inni patrzą tylko na awers albo rewers.

Ostatnie pytanie o mediach – zakup grupy mediów i portali regionalnych Polska Press przez Orlen. Czy to panią niepokoi, że państwowa spółka wchodzi do gry na polu dziennikarskim, a może należy się cieszyć, że kapitał z rąk niemieckich przechodzi w polskie?

Do tej pory nikogo nie niepokoiło, wręcz przeciwnie, że niemiecki właściciel kontrolował tak strategiczny kawałek tortu. Od dawna przestrzegałam, że ten przechył w kierunku kapitału zagranicznego doprowadzi w końcu do przesilenia, ale niektórzy to bagatelizowali. Każda próba rzetelnej dyskusji o przełożeniu udziału kapitału zagranicznego na przekazy medialne kończyła się, zanim zdążyła się zacząć. Mówiono, że to staromodne i zaściankowe podejście, tymczasem od tej debaty nie da się uciec. Oczywiście jako dziennikarka wolałabym, aby media wykupywał polski właściciel, ale prywatny, a nie państwowy. I jeśli czegoś można się obawiać, to bardziej przechyłu w stronę wyprzedawania aktywów poza kraj. Czekam teraz, aż pojawią się głosy, że nie cierpię Niemców, nie znoszę Unii, wszystko bym chciała upaństwowić…

A potem przeprowadzić polexit.

Dyskusji o interesach poszczególnych państw w Unii też nie przeprowadzono na spokojnie przez tyle lat. I mamy, proszę bardzo, jest efekt toczenia jej na skróty i do celów partyjnych.

Teraz pytam panią nie jako dziennikarkę, tylko jako osobę obserwującą rzeczywistość społeczną, która od dawna nie chowa swoich konserwatywnych poglądów do szuflady. Jak ocenia pani to, co się dzisiaj dzieje z upadkiem autorytetu Kościoła oraz wejściem do przestrzeni publicznej – mocno agresywnie – tematu liberalizacji albo zaostrzenia prawa aborcyjnego?

Protestów po decyzji Trybunału Konstytucyjnego można się było spodziewać, choć może nie spodziewałam się aż tak wulgarnego języka. Czymś naturalnym jest jednak, że jeśli mamy przyczynę – naruszenie kompromisu aborcyjnego – to szybko pojawia się skutek. Wahadło wychyla się w drugą stronę, część osób wychodzi demonstrować w obronie wolności, choć nie zawsze wiedzą chyba jakiej. To forma ujścia emocji po zamknięciu w domach, które obracają się przeciw władzy. Ze smutkiem patrzę jednak nie tyle na polityczny wymiar Strajku Kobiet – bo do polityki się nie mieszam – ale ten ludzki. Jestem zwolenniczką prawa do życia, zawsze byłam przeciwko każdemu zabijaniu: czy dotyczyło to kary śmierci, zwierząt czy aborcji. Moje poglądy w tej materii nie ewoluują, dlatego z bólem obserwuję to, co się dzieje na ulicach. Problem jest jednak szerszy.

To znaczy?

Obrona życia to również jedno z głównych zadań Kościoła, który nie powinien szukać w tej sprawie sojuszy wśród partii. Politycy nie mogą załatwić za hierarchów sprawy aborcji, duchowni nie mogą działać cudzymi rękoma. To Kościół ma obowiązek tłumaczenia swoim wiernym, dlaczego jesteśmy przeciwnikami aborcji i dlaczego jest ona zła. Ta lekcja nie została w Polsce przerobiona, dzisiaj katolicyzm w naszym kraju płaci za to gorzką cenę. Widać kryzys wartości nie tylko wśród biskupów, lecz także wśród nas, wiernych, on mnie jednak nie przeraża. Kościół jest w permanentnym kryzysie, ale po każdych kłopotach przychodzi czas odnowienia. Bycie katolikiem nie jest rzeczą obowiązkową – reszta musi wiedzieć, że to się wiąże również z obowiązkami, a nie tylko z przyjemnością świętowania Bożego Narodzenia.

To ostatni numer tygodnika w tym roku. Jak w pani oczach zapisał się rok 2020 i czy w przyszłym możemy się spodziewać choć odrobiny optymizmu?

To był rok pod znakiem pandemii, ograniczenia kontaktu, tęsknoty za rzeczami, do których byliśmy przyzwyczajeni – kawy w kawiarni i uścisku dłoni. Przyszły rok przynajmniej do lata będzie podobny, ale może warto wykorzystać moment spowolnienia na przemyślenie, co dla nas jest naprawdę istotne. Na przeprowadzenie wewnętrznych rekolekcji, bez pomocy dziennikarzy, biskupów i polityków. Jeśli zdobędziemy się na taką szczerość wobec nas samych, to również świat będzie lepszym miejscem do życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Tauron chce zastąpić kopalnie wiatrakami

Europejskie firmy energetyczne przygotowują się do wdrożenia unijnego Zielonego Ładu. Jednak to, co w Polsce jak dotąd wydawało się odległą przyszłością, dzieje się właśnie na naszych oczach, w zawrotnym tempie. Gwałtowna rewolucja w energetyce jest bowiem jedyną szansą na dostosowanie przedsiębiorstw do wchodzących niebawem rygorystycznych przepisów. Bo za kilka lat już nic nie będzie takie samo. Symbolem tych zmian może być oddana właśnie do użytku farma fotowoltaiczna na terenie byłej elektrowni węglowej

W Jaworznie, na terenie dawnej elektrowni węglowej, Tauron uruchomił właśnie farmę fotowoltaiczną. Inwestycja powstaje w ramach program, który zakłada powstanie farm o łącznej mocy ok. 150 MW. Wszystkie powstaną na terenach poprzemysłowych. – To opłacalne nie tylko z finansowego, lecz także środowiskowego punktu widzenia. Dzięki temu programowi dajemy zdegradowanym, poprzemysłowym terenom drugie życie. Dodatkowo cel jest proekologiczny – mówi Wojciech Ignacok, prezes Grupy Tauron. Firma zakłada, że za pięć lat będzie mieć w fotowoltaice 300 MW mocy.

WIĘCEJ ODNAWIALNEJ ENERGII

Zielony Zwrot Taurona zapoczątkował falę przemian w sektorze energetycznym. Nowy plan zakłada, że do 2030 r. aż dwie trzecie energii firma będzie wytwarzać ze źródeł odnawialnych, przede wszystkim z wiatru i słońca, przy równoczesnym ograniczeniu emisji dwutlenku węgla o połowę.

W momencie, w którym te deklaracje padały, prąd z zielonych źródeł stanowił 10 proc. udziału. Od tego czasu zmieniło się sporo, bo idąc za ciosem, katowicki koncern kupił w północnej części kraju pięć farm wiatrowych. W tej chwili w turbinach wiatrowych Tauron ma zainstalowane 380 MW, co sytuuje katowicką firmę na drugim miejscu wśród polskich spółek energetycznych.

– Druga połowa 2020 r. w Tauronie stoi pod znakiem finalizacji wielkich inwestycji w energetykę konwencjonalną, które wzmacniają bezpieczeństwo energetyczne Polski. Teraz uwolnione środki finansowe kierujemy na realizację projektów wiatrowych i fotowoltaicznych. Zależy nam na możliwie szybkim zwiększeniu udziału odnawialnych źródeł energii w strukturze wytwórczej i skokowym ograniczeniu emisji CO_2. Nasz plan przewiduje, że w perspektywie 2030 r. redukcja ta sięgnie 50 proc. – tłumaczy Wojciech Ignacok, prezes zarządu Tauron Polska Energia.

Katowicki koncern chce więcej budować sam. W połowie grudnia koncern kupił na przykład projekt farmy wiatrowej w województwie łódzkim. Prąd z tego miejsce ma popłynąć w połowie 2022 roku. Innym przykładem proekologicznych inwestycji Taurona jest budowa elektrowni fotowoltaicznych w zachodniopomorskim Choszcznie.

– W 2025 r. w turbinach wiatrowych na lądzie chcemy mieć zainstalowanych ponad 1000 MW mocy. To taka moc, jaką mają największe elektrownie węglowe w Polsce. Rozwój odnawialnych źródeł energii to nasz priorytet inwestycyjny i rozwojowy – mówi Wojciech Ignacok, prezes Taurona.

Na tapecie koncern ma też inwestycje w offshore, czyli turbiny zlokalizowane na morzu. Żeby je postawić, konieczne jest uzyskanie koncesji na usypanie tzw. sztucznych wysp. Firma złożyła już w tej sprawie kompletny wniosek, pozyskała też partnera do realizacji projektu.

FINANSOWY SCHYŁEK ERY WĘGLA

Inwestycje w energetykę odnawialną to nie tylko trend, lecz także przede wszystkim finansowa konieczność. Jak się okazuje, dziś nie sposób już przekonać instytucji do finansowania inwestycji węglowych. To, co jeszcze do niedawna było praktyką kilku zachodnich banków, dziś stało się już mechanizmem także na rodzimym rynku. Żeby pozyskać środki na dalszą transformację, w listopadzie Tauron jako pierwsza firma w kraju wyemitował tzw. obligacje Zrównoważonego Rozwoju.

To właśnie z tych środków firma planuje finansować projekty wiatrowe, fotowoltaiczne i inwestycje w sieć dystrybucyjną. Jednak warunkiem jest tu ograniczenie emisyjności CO_2.

– Warto również zaznaczyć, że warunki emisji niniejszych obligacji zawierają innowacyjną formułę obligującą Tauron do spełnienia określonych zobowiązań w zakresie redukcji emisyjności i wzrostu udziału OZE w wytwarzaniu energii. To pokazuje, że nasza strategia to nie tylko zapisy, lecz także przede wszystkim realne działania, które prowadzą do wyznaczonych celów – wyjaśnia Marek Wadowski, wiceprezes zarządu ds. finansów Taurona. –Firma zobowiązała się do średniorocznej redukcji emisji CO_2 o 2 proc. i zwiększania mocy w OZE – średniorocznie o 8 proc.

Co to wszystko oznacza w praktyce? Uzyskane w ten sposób pieniądze nie tylko nie mogą posłużyć do wspierania wydobycia węgla, lecz także nawet dotowania konwencjonalnych elektrowni. Koniec ery węgla jest bliski.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Łukasz Zboralski

Polskie smart city

W Jaworznie powstanie fabryka polskiego elektrycznego auta – Izery. To naturalny etap rewolucji, którą przeszło to miasto. Stało się jednym z najnowocześniejszych i najlepszych do życia w kraju

Niespełna 100-tysięczne miasto w województwie śląskim wybrano właśnie na miejsce, w którym spełnić się ma jedno z odwiecznych marzeń Polaków – produkcja własnej marki samochodu. Spółka ElectroMobility Poland ogłosiła, że polskie samochody elektryczne – Izera – będą produkowane właśnie w Jaworznie. Lokalizację zakładu (przy ul. Wojska Polskiego, na granicy Mysłowic) wybrano z powodu położenia przy węźle komunikacyjnym. To tam jest węzeł drogi ekspresowej S1. Niedaleko przebiega autostrada A4. W pobliżu jest też droga krajowa Warszawa–Bytom. Jest również bocznica kolejowa. To dlatego też wcześniej w tym miejscu powstało centrum logistyczne Amazon.

Niebagatelny wpływ na wybór miał też fakt, że stoi tam elektrownia Jaworzno III (to będące we władaniu Tauronu połączone wcześniej Elektrownia II i Elektrownia III, które wraz z Elektrownią I funkcjonującą do 1998 r. powodowały, że pod koniec XX w. Jaworzno było miastem z największą liczbą elektrowni na świecie), a fabryka polskich samochodów zapotrzebowanie na energię będzie miała spore.

Fabryka powstanie na terenie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej (KSSE). To dziś najlepsza taka strefa w kraju. Jest tam już ponad 400 firm, które inwestując blisko 40 mld zł, utworzyły ponad 80 tys. miejsc pracy. Aż 60 proc. działających tam firm to producenci komponentów do samochodów.

Całkowity koszt uruchomienia seryjnej produkcji Izery, którą polska spółka chce oferować w trzech wersjach nadwozia, oszacowano na ok. 5 mld zł. Ogromną część tej kwoty – bo aż 2 mld zł – ElectroMobility Poland zainwestuje w jaworznicką fabrykę. Jej budowa ruszyć ma już w 2021 roku. I to z pewnością wpłynie na lokalną gospodarkę. Docelowo będzie to też duży pracodawca, który ma dać zatrudnienie 3 tys. osób. Na to trzeba jednak będzie jeszcze poczekać. Uruchomienie seryjnej produkcji właśnie znów przesunięto w planach. Zacząć ma się ostatecznie w 2024 r.

Jaworzno tworzy w mieście parki, także takie „kieszonkowe". Na zdjęciu jaworznickie planty FOT. TOMASZ ZAKRZEWSKI

– Na początkowym etapie rozważaliśmy prawie 30 lokalizacji, w tym kilka na Śląsku. We współpracy z Polską Agencją Inwestycji i Handlu oraz firmą doradczą specjalizującą się w podobnych procesach dokładnie sprawdzaliśmy każdą z nich – mówił Piotr Zaremba, prezes ElectroMobility Poland. – Ważna była nie tylko możliwość zbudowania fabryki, lecz także odpowiedniego zaplecza logistycznego i stworzenie parku dostawców w bezpośrednim sąsiedztwie zakładu. Jaworzno daje największy potencjał w tym zakresie, stąd po dokładnych i szczegółowych analizach wskazaliśmy właśnie to miejsce. Dodatkową gwarancją powodzenia tego projektu są partnerzy, którzy deklarują wsparcie i zaangażowanie, aby doprowadzić inwestycję do mety – dodał.

Prezydent Jaworzna Paweł Silbert dał do zrozumienia, że to nie jest przypadkowy sukces, a wynik drogi, którą samorząd obrał lata temu. – Materializuje się wizja Jaworzna jako regionalnego ośrodka innowacyjnego przemysłu opartego na wiedzy i technologii – powiedział Silbert. I w jego ustach nie są to tylko czcze przechwałki. Miasto od ponad dekady konsekwentnie kroczy drogą, która pozwoliła mu na rozkwit i liderowanie w nowoczesnych technologiach.

ZERO WYPADKÓW

Najgłośniej o Jaworznie zrobiło się trzy lata temu, kiedy okazało się, że przez 18 miesięcy w tym mieście nie doszło do ani jednego śmiertelnego wypadku na

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

drodze. Wówczas miasto pokaznywano w największych polskich mediach. Dlatego że wszyscy zobaczyli efekt konsekwentnej polityki dotyczącej infrastruktury i przestrzeni miejskiej. – Dwanaście lat temu w Jaworznie w wyniku wypadków ginęło kilkanaście osób rocznie – opowiadał mi wówczas Tomasz Tosza, zastępca dyrektora Miejskiego Zarządu Dróg i Mostów w Jaworznie. – Wdrożyliśmy duży program i liczba ofiar śmiertelnych spadła do ośmiu. Kolejne prace – między innymi uspokojenie ruchu na ulicach – sprawiły, że liczba ofiar spadła do kilku rocznie. Pół roku temu zauważyliśmy natomiast, że nie musimy robić żadnych analiz poważnych zdarzeń drogowych, bo ich po prostu nie ma.

Po wielu latach w 2019 r. Jaworzno odnotowało przyrost liczby mieszkańców – ludzie chcą tam mieszkać FOT. UM JAWORZNO

Jaworzno i jego władze miały odwagę przekazać organizację miejskich dróg naukowcom. Po wyprowadzeniu dużego ruchu na obwodnice, ulice miasta zostały zwężone. Pojawiło się więcej zieleni. Na początku ludziom trudno było to zrozumieć. Na władze wylewał się hejt, głównie kierowców. Po latach po takich postawach nie ma już śladu. Ponieważ ludzie jadą wolniej, ostrożniej, odstępy między pojazdami są mniejsze i przepustowość się nie zmniejszyła. Po mieście jeździ się przyjemniej, ale – co najważniejsze dla mieszkańców – przyjemniej się chodzi, jeździ rowerem i po prostu przyjemniej żyje.

Autobusy elektryczne niebawem będą stanowić 80 proc. wszystkich autobusów miejskich w Jaworznie FOT. MEDCOM

Jeszcze kilkanaście lat temu ciężarówki mknące przez centrum i zła jakość powietrza powodowały, że w medialnych zestawieniach najgorszych miejsc do mieszkania w kraju Jaworzno było w ścisłej „czołówce". Dwa lata temu 96 proc. badanych mieszkańców stwierdzało, że to „dobre miejsce do życia". I sądzą tak nie tylko oni – w ubiegłym roku Jaworzno odwróciło polski trend wyludniania się miast i odnotowało wzrost liczby mieszkańców. Jak wskazywały miejskie analizy, wielu nowych mieszkańców to ci, którzy wcześniej mieszkali w Jaworznie, ale wyprowadzali się z niego m.in. za granicę. Zaczęli wracać.

Co ich tam przyciąga? Oprócz miejsc pracy także urocze planty, park Gródek nazywany Jaworznicką Chorwacją, wodny plac zabaw i kieszonkowe parki tworzone w niewielkich miejskich przestrzeniach. Jest też otwarta w 2018 r. pierwsza w kraju „autostrada dla rowerów", czyli Velostrada. To szybka, bezkolizyjna trasa dla rowerzystów licząca ponad 10 km.

Pod względem bezpieczeństwa Jaworzno jest już wzorem nie tylko dla polskich miast. Dotarło do ścisłego finału, jako jeden z trzech laureatów, podczas ubiegłorocznego konkursu Komisji Europejskiej – Urban Road Safety Award.

ELEKTRYCZNOŚĆ I AUTONOMIA

Wiele samorządów w Polsce odmienia przez przypadki słowo „innowacja". Jaworzno nie poprzestaje na brzmieniu tego słowa i nadaje mu sens. Było pierwszym polskim miastem, na którego ulice wyjechał elektryczny autobus komunikacji miejskiej. Stało się to w 2015 r. I był to pomalowany w błękitne barwy Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej polskiej produkcji solaris. Warto wspomnieć, że Jaworzno było też jednym z pierwszych miast, w którym użytkownicy komunikacji miejskiej dostali zamiast papierowych biletów karty magnetyczne.

Teraz po ulicach miasta jeżdżą w sumie 24 elektryczne autobusy Solaris (to większość wszystkich w województwie – których w sumie jest blisko 30). A w marcu tego roku PKM Jaworzno zawarło kontrakt na zakup kolejnych 15 elektrycznych pojazdów. Będą miały gniazda USB dla pasażerów i dostępny bezprzewodowy Internet. Gdy cały kontrakt zostanie już zrealizowany, aż 80 proc. wszystkich miejskich autobusów w Jaworznie stanowić będą pojazdy elektryczne. Miasto dziś w zajezdni może szybko ładować naraz osiem autobusów. Myśli się już tam o rozbudowie i zakupie kolejnych pięciu stacji ładowania przez pantograf i 10 ładowarek typu plug-in.

A to przecież znów dla Jaworzna ma być tylko pewien etap. Prezydent miasta już publicznie zapowiadał, że chce, aby po Jaworznie jeździć zaczęły nie tylko elektryczne autobusy, lecz także by były to pojazdy autonomiczne. I nie poprzestał na zapowiedziach.

W 2018 r. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Ministerstwo Infrastruktury i miasto Jaworzno podpisały list intencyjny dotyczący stworzenia strefy testowania pojazdów autonomicznych transportu publicznego. Niedługo potem na ulicach miasta pojawiły się pojazdy wyposażone w specjalne kamery. Firma Comtegra SA, używając różnego typu sensorów, skanowała miasto i tworzyła jego mapę w technologii 3D. Te mapy miały trafić do „rządowych" pojazdów autonomicznych, które zamierzano testować w Jaworznie. Jednak przez dwa lata udało się na razie wykonać tylko skromny test, i to w specjalnej strefie technicznej. Na uruchomienie prawdziwego testu autonomicznej komunikacji Jaworzno wciąż czeka.

Wiele największych Polskich miast nie potrafiło dokonać tego, co w nieco ponad dekadę osiągnęło Jaworzno. Dla mieszkańców Jaworzna jest to wiadomość dobra – jeszcze latami będzie ono prawdziwym pionierem smart city. Dla mieszkańców innych miast jest to wiadomość gorsza. Chyba że przemyślą swoje następne wybory samorządowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Agnieszka Niewińska

Dźwięki z serca Afryki

FOT. ZE ZBIORU BRACI KAPUCYNÓW W BOUAR, RŚA

Dzięki datkom od polskich darczyńców powstaje pierwsza szkoła muzyczna w Republice Środkowoafrykańskiej. – Dzieci tu nie przychodzą, one tu przybiegają – mówi dyrektor placówki brat Benedykt Pączka

Cześć Polska, dzień dobry Polsko" – tak z serca Afryki nastoletni Godar pozdrawia Polaków podczas plenerowego koncertu. Intonuje wpadający w ucho utwór „Mama Africa". Słuchaczom odtwarzającym w sieci koncertowe wideo noga podryguje w rytm muzyki. Chce się ruszyć do tańca, ale trudno oderwać wzrok od grających dzieci. Od Hipolita wydobywającego dźwięki z perkusji bije radość. Stojący obok Jospin tylko czeka na gitarową partię. Matara z precyzją przesuwa palcami po gryfie gitary elektrycznej. Jordan i Stefan towarzyszą zespołowi na saksofonach, Gustaw i Franklin na trąbkach. Kilkudziesięcioosobowa grupa uczniów śpiewa w chórku.

Scenografią takich plenerowych koncertów zwykle jest bujna roślinność, wśród której dzieci rozstawiają perkusję, bębny, wzmacniacze. Tym razem za plecami mają plac budowy swojej szkoły African Music School – pierwszej i jedynej szkoły muzycznej w Republice Środkowoafrykańskiej. Powstaje ona przy placówce misyjnej braci kapucynów w miejscowości Bouar na zachodzie kraju. Działa od pięciu lat, a dzięki datkom prywatnych darczyńców z Polski w górę pną się mury, w których młodzież będzie mogła edukować się muzycznie.

– Dzieci tu nie przychodzą, one tu przybiegają – śmieje się brat Benedykt Pączka, kapucyński misjonarz, pomysłodawca i dyrektor African Music School. – Nikt ich nie zmusza do tego, żeby tu były. Nikt nie płacze, że musi chodzić do szkoły. To raczej my, nauczyciele, płaczemy, że mamy za dużo zajęć, że jesteśmy zmęczeni i nie mamy zbyt wiele czasu na spanie, ale jesteśmy tu dla tych dzieci, one to czują i dlatego tak chętnie tu przychodzą. Budowa szkoły muzycznej w Republice Środkowoafrykańskiej jest szalonym pomysłem, ale i pięknym, dającym przyszłość tutejszemu społeczeństwu – dodaje.

INSTRUMENTY ZAMIAST BRONI

Przez ostatnie 50 lat władze Republiki Środkowoafrykańskiej nie wybudowały ani jednej nowej szkoły. Chociaż kraj jest niezwykle bogaty przyrodniczo, posiada złoża ropy, złota, diamentów czy uranu, to jest jednym z najbiedniejszych państw świata. PKB w przeliczeniu na mieszkańca (według Banku Światowegow 2019 r.) to zaledwie 467 dol. (w Polsce przekracza 15,5 tys. dol.).

Republika Środkowoafrykańska jest nieustannie targana wewnętrznymi konfliktami. Poszczególne regiony są kontrolowane przez kilkanaście grup rebelianckich, władza przejmowana jest w drodze zamachów stanu. Ostatni wieloletni konflikt zaczął się w marcu 2013 r. po obaleniu prezydenta François Bozize. Dopiero w 2019 r. udało się podpisać porozumienie strony rządowej z 14 działającymi w kraju grupami zbrojnymi. Przez lata konfliktu ucierpieli mieszkańcy. Ich miejscowości były napadane przez rebeliantów, grabione i palone. Dochodziło do gwałtów, zginęły tysiące mieszkańców. Dzieci i młodzież wcielano do walczących z bronią w ręku rebelianckich grup. UNHCR szacuje, że w efekcie konfliktu w sąsiednich państwach wciąż przebywa ponad 623 tys. uchodźców. Ponad drugie tyle to uchodźcy wewnętrzni. Żołnierze z bronią w ręku, odgłosy strzałów, wojskowe pojazdy czy ONZ-owskie helikoptery krążące nad miasteczkami to wciąż element krajobrazu Bouar.

– Trudne przeżycia wojenne to też historie naszych uczniów. Porozumienie pokojowe jest jeszcze świeżą sprawą. Uczniowie, którzy mają sześć–siedem lat, urodzili się w czasie wojny domowej i w zasadzie nie znają innej rzeczywistości. Muzyka pozwala choć na chwilę zapomnieć o trudnej codzienności. Chcemy im pokazać, że można żyć inaczej. Stąd też nasze hasło „Instrumenty zamiast broni" – mówi Marcin Choiński z Fundacji Akeda, dla której African Music School to flagowy projekt, przy którym współpracuje z misjonarzami.

Od powstania w African Music School uczyło się przeszło 300 uczniów. Obecnie w szkole muzykuje blisko 90 dzieci. Uczą się grać na trąbce, saksofonie, pianinie, gitarze elektrycznej i akustycznej, na bębnach czy perkusji. – Muzyka zajmuje ważne miejsce w kulturze afrykańskiej. Ten kontynent śpiewa i tańczy, ale w Republice Środkowoafrykańskiej brakuje edukacji muzycznej. My chcemy zaproponować naszym uczniom profesjonalną edukację muzyczną i dać im szansę, by byli naprawdę kimś w swoim życiu – mówi brat Benedykt.

Dzieci z African Music School czytają nuty, mają zajęcia z teorii, śpiewają

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

w chórze. – Uczymy ich wszystkiego, co się da. Prowadzimy nawet lekcje angielskiego i jest to poważne wyzwanie, bo uczymy angielskiego po francusku – śmieje się Norbert Wardawy, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach, jeden z polskich nauczycieli, którzy w tym semestrze prowadzą zajęcia w African Music School. – Uczę gry nie tylko na trąbce, lecz także na pianinie, na gitarze basowej. Przekazuję też ogólną wiedzę muzyczną, prowadzę zajęcia z teorii muzyki, kształcenia słuchu. Ważne są tu także zajęcia ze słuchania muzyki, ponieważ dzieci tutaj nie mają odtwarzaczy muzycznych, nie korzystają z Internetu, bo niewiele rodzin na niego stać. Jedynym nośnikiem informacji są tu nadające kilka godzin dziennie radia, w których można posłuchać muzyki nagrywanej w środkowej Afryce. My pokazujemy uczniom trochę więcej muzycznego świata. Widzimy, jak pięknie na tę muzykę reagują – opowiada Norbert Wardawy.

W kadrze szkoły obok brata Benedykta Pączki jest Amadin, Środkowoafrykańczyk, który w szkole pracuje na stałe. Prowadzi chór i zajęcia dla najmłodszych dzieci. Pozostali nauczyciele przyjeżdżają z Polski – zwykle na jeden semestr. W tej chwili jest ich czterech. – Bywa i tak, że dzieci przez jakiś czas nie mają nauczyciela gry na swoim instrumencie, ale jeśli mają za sobą rok czy dwa lata nauki, to stają się profesorami dla młodszych uczniów. Zauważyłem, że są zupełnie inne niż dzieci w Polsce – nie chcą zachować wiedzy dla siebie, być lepszymi od innych. Dzielą się wiedzą z młodszymi. Zresztą nie tylko wiedzą. Tutaj jeżeli ktoś ma np. ciastka, to nie zjada ich sam. Zawsze dzieli się z innymi dziećmi – mówi Wardawy.

TONY BETONU W WIADERKACH

Na zajęcia w African Music School dzieci przychodzą po południu. Do godz. 14 uczą się w szkole publicznej, a od godz. 14.30 przychodzą do szkoły muzycznej. Brat Benedykt przyznaje, że jest surowym dyrektorem. Pilnuje, by uczniowie nie tylko nie opuszczali zajęć w szkole muzycznej, lecz także wywiązywali się z obowiązków w szkole publicznej. Jeśli je zaniedbują, to nie mogą przychodzić grać na instrumentach, a to dotkliwa kara. – Uczniowie dobrze wiedzą, że w szkole nie można rozrabiać, kraść, chodzić na wagary, ale trzeba grać. Żeby być dobrym instrumentalistą, muzykiem, trzeba ćwiczyć kilka godzin dziennie. Niektórzy już to zrozumieli, niektórzy dopiero do tego dorastają. Nie brakuje momentów, kiedy w oczach mam łzy, bo widzę, jak nasi uczniowie zmienili się przez ostatnie pięć lat, jak grają na koncertach. Widzę, że ta szkoła wiele im daje – mówi brat Benedykt Pączka.

Do tej pory 90 uczniów African Music School korzystało z sal przyklasztornych, ale mieści się tam również seminarium duchowne, więc rozrastającej się szkole brakuje miejsca. Na potrzeby lekcji zbudowane zostały tzw. klasy bambusowe (czyli zrobione z bambusa). Uczą się w nich grający na saksofonach i trąbkach. Trwa budowa szkolnego budynku. Plan jest ambitny: 10 klas, sześć pokoi dla nauczycieli, sala koncertowa, studio nagrań, kuchnia i biblioteka. – Na razie naszym celem jest zbudowanie pierwszych pięciu klas. Mamy już sklepienie nad pierwszą z nich. Niebawem rozpoczniemy pracę nad sklepieniem w kolejnych klasach i nad schodami – relacjonuje brat Benedykt.

Na budowę jednej klasy wraz z jej wyposażeniem potrzeba ok. 45 tys. zł. – Nie możemy liczyć na wsparcie lokalnych władz czy rodzin uczniów. Ci ludzie są bardzo ubodzy, sami potrzebują wsparcia. Pomagamy im, zatrudniając ich w szkole. Gotują dzieciom posiłki, zmywają naczynia, stróżują – opowiada brat Benedykt.

Norbert Wardawy przyznaje, że budowa w Polsce i w Republice Środkowoafrykańskiej to dwa różne światy. – W tym kraju niczego się nie produkuje, mieszkańcy nie kupują cegieł na budowę. Sami muszą je zrobić. Wszystko, co potrzebne do budowy, trzeba zamówić za granicą. Transport materiałów nie jest łatwy, bo w tym kraju brakuje dróg. Ostatnio przy sklepieniu nad jedną z klas pracowaliśmy wszyscy – nauczyciele, rodzice uczniów, dzieci. Przez 10 godzin na budowie było 40 osób. 45 ton betonu przenieśliśmy w wiaderkach, a entuzjazm przy pracy był taki, że z nauczycielami z Polski porównywaliśmy go do tego, jaki musiał towarzyszyć odbudowie Warszawy – opowiada Wardawy.

2 ZŁ NA OBIAD

Na konto Fundacji Akeda na budowę szkoły wpłynęło 129 tys. zł. To nieco ponad 60 proc. funduszy potrzebnych na budowę pięciu pierwszych klas. Jednak wsparcie potrzebne jest także na posiłki dla uczniów. – Wiele dzieci na lekcję przychodzi głodnych. Rodzinom brakuje żywności. Jeśli chcemy uczyć dzieci, to najpierw musimy napełnić ich żołądki. Otworzyliśmy kuchnię. Codziennie o godz. 12 na posiłek przychodzi do nas 60–70 dzieci – opowiada brat Benedykt. – Menu mieszkańców to zazwyczaj maniok z sosem i liście, ale nasza kuchnia stara się zapewnić bardziej pożywne i urozmaicone posiłki. Dwa razy w tygodniu kupujemy mięso, na które rodziny pozwalają sobie tylko kilka razy w roku – wylicza brat Benedykt. Każdy może ufundować posiłek dla ucznia African Music School, wpłacając dowolną kwotę w ramach zrzutki pod nazwą „Gra nie burczy". Koszt jednego obiadu to zaledwie 2 zł.

Brat Benedykt przyznaje, że czas pandemii nie ułatwia prowadzenia muzycznej placówki. – Cieszę się z tego dzieła. Mam nadzieję, że wystarczy nam sił i pieniędzy. Idziemy powoli do przodu ze świadomością, że to dzieło zostanie w tym kraju i będzie służyć tej społeczności – mówi.

W Bouar udało się już wyłowić wiele młodych talentów. Fundacja Akeda ma nadzieję, że najzdolniejszych zdoła wysłać na zagraniczne stypendia muzyczne, a za parę lat to absolwenci African Music School będą w niej nauczycielami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

AFRICAN MUSIC SCHOOL MOŻNA WESPRZEĆ, WPŁACAJĄC DATEK NA KONTO FUNDACJI AKEDA, NR 73 1090 1782 0000 0001 4712 3186, TYTUŁ WPŁAT: NA ORGANIZACJĘ BUDOWY SZKOŁY MUZYCZNEJ

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Krzysztof Masłoń

Tamara Łempicka – diwa art déco

Najbardziej znana obecnie w świecie polska malarka była Polką o tyle o ile. Stworzyła legendę, z której eliminowała elementy niepasujące jej do wykoncypowanego wizerunku

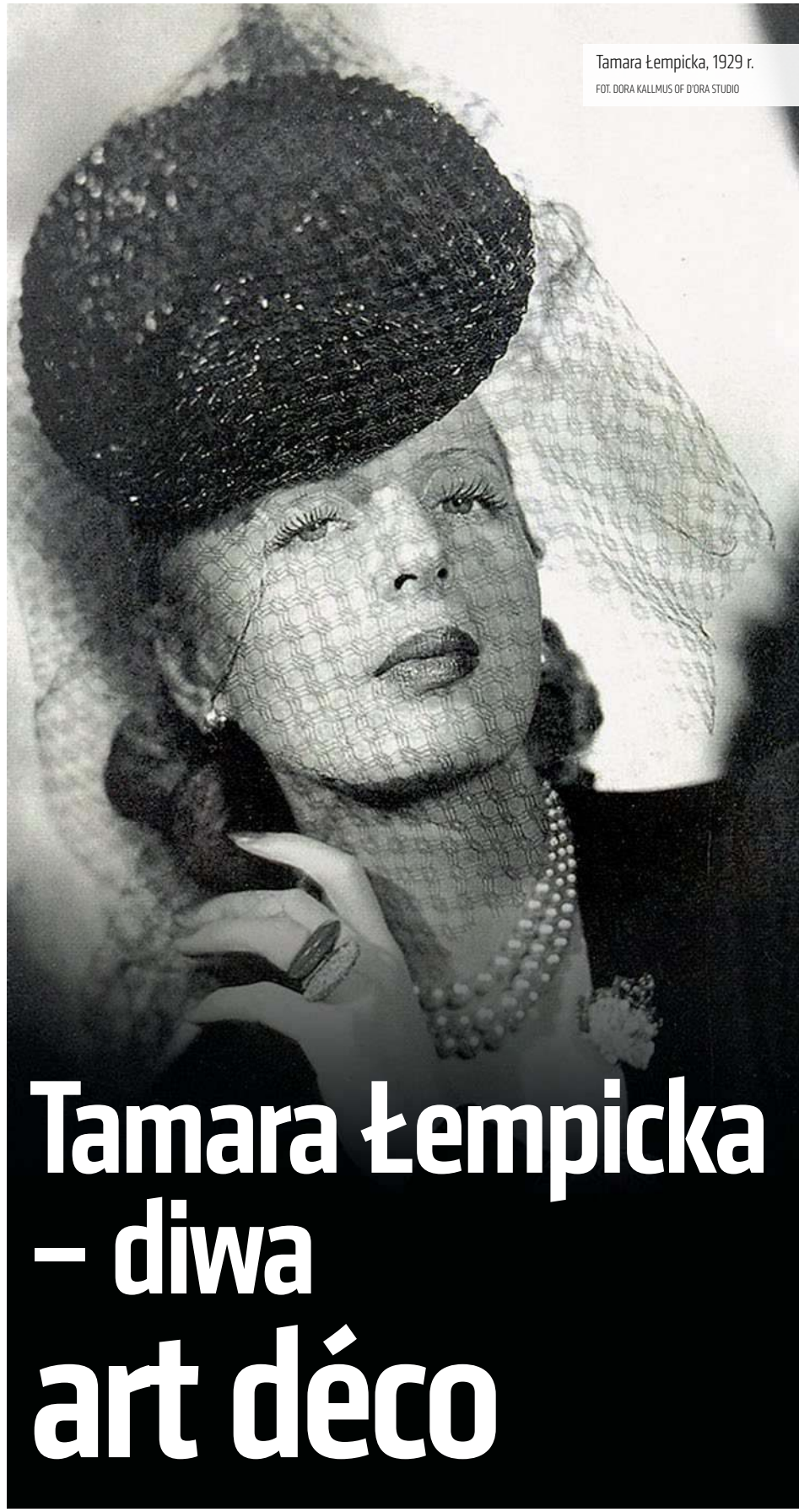

Tamara Łempicka, 1929 r.

FOT. DORA KALLMUS OF D'ORA STUDIO

W życiorysie Tamary Łempickiej zakwestionować można niemal wszystko. Polskość też, była bowiem córką Borysa Gurwika-Górskiego, Żyda, rosyjskiego kupca czy przemysłowca – do końca nie wiadomo – który pewnego dnia zniknął z życia Tamary, niewykluczone, że popełniając samobójstwo. Matka przyszłej malarki, Malwina z domu Dekler, też była Żydówką, tyle że zasymilowaną, z bardzo zamożnej rodziny, której familijny grobowiec znajduje się na cmentarzu Żydowskim w Warszawie. Polakiem natomiast, i to ze znaczącymi koligacjami, był mąż Tamary, Tadeusz Łempicki herbu Junosza.

Matka Tadeusza, Maria, była bratanicą Cypriana Kamila Norwida. Ojciec, Julian, miał w Rosji przedstawicielstwo Towarzystwa Warszawsko-Wiedeńskiej Drogi Żelaznej; rodzinie, do czasu, wiodło się dobrze, mieszkała w arystokratycznej dzielnicy Sankt Petersburga, później jednak ojciec Tadeusza stracił majątek na kobiety i libacje, syn musiał się więc rozejrzeć za posażną panną. Tamara zakochała się w nim na balu maskowym w 1911 r. Musiał spodobać się jej przystojny, otoczony pięknymi paniami młodzieniec, przy czym – jak wspominała – szczególnie ujęła ją wiadomość, że „Thade" jest Polakiem. Jemu zaś przypadła, widać, do gustu jej balowa kreacja, a przebrana była za wodzącą gęsi (prawdziwe!) pasterkę. Ślub wzięli w 1916 r. w kaplicy Zakonu Kawalerów Maltańskich.

Artystka urodziła się rzekomo w Warszawie w 1898 r., choć najprawdopodobniej chyba dwa lub trzy lata wcześniej i w Moskwie. Z Warszawą jednak, istotnie, związani byli jej dziadkowie, a ona sama podkreślała później swą polskość, pewnie i dlatego, że o Rosji od rewolucji bolszewickiej miała jak najgorsze mniemanie.

Jeszcze jako dziecko zjeździła Europę ze swą babcią Klementyną, której zawdzię-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

czała zainteresowanie malarstwem, ta oprowadzała ją bowiem po włoskich galeriach i muzeach. W Rosji, w Petersburgu wychowywało ją wujostwo, Stefa i Maurycy Stiferowie, dbając o jej artystyczną edukację, kontynuowaną po latach, nieco dorywczo, w Paryżu.

BARONOWA Z PĘDZLEM

W paryskim środowisku artystycznym kreowała się na polską arystokratkę o gustach – jakże by inaczej – zachowawczych. Taką też przedstawił ją w niezwykłej powieści biograficznej „Ja, Tamara" Grzegorz Musiał. W ostatnich dniach ukazały się, poza tą omawianą już na tych łamach książką, album „Tamara Łempicka" Wydawnictwa Bosz w opracowaniu graficznym Lecha Majewskiego, ze wstępem Marii Anny Potockiej i wspomnieniem prawnuczki artystki Marisy de Lempickiej oraz „Kobiety z obrazów" Małgorzaty Czyńskiej, z otwierającym pracę rozdziałem „Tamara Łempicka. Bogini ery automobilu", zilustrowanym najsławniejszymi obrazami artystki: „Autoportret w zielonym bugatti" i „Różowa tunika".

Łempicka, jako się rzekło, spreparowała swoje życie, w którym przekonująco odgrywała rolę arystokratki. „W latach po I wojnie światowej – pisze Maria Anna Potocka – ten argument jeszcze skutecznie otwierał domy ludzi bogatych i mających pozycję. Tamara Łempicka doskonale wiedziała, że potrafi ich od siebie uzależnić inteligencją, urodą, wdziękiem i arystokratycznym poczuciem własnej wartości. Wystarczyło wejść. To się jej udawało do końca życia. W swoim życiu miała cztery sceny – Petersburg, Paryż, Nowy Jork i Hollywood. Każde z tych miejsc – każde trochę inaczej – było zesnobowane na arystokratyzm. Petersburg uznawał tylko ludzi z odpowiednim pochodzeniem i majątkiem. Paryż za godnych siebie uważał ludzi arystokratycznie dystyngowanych i utalentowanych. Nowy Jork karmił swoje kompleksy kontaktami z arystokracją. A zaprawiony w aktorstwie Hollywood bawił się wykwintną sztucznością arystokratycznych manier. W każdym z tych miejsc przynależność do arystokracji decydowała o statusie człowieka. Tamara bardzo skutecznie rozgrywała swoje »pomężowskie« tytuły".

Liczba mnoga ma swoje uzasadnienie, jako że z Tadeuszem Łempickim, ojcem jej jedynego dziecka, córki zwanej Kizette, rozwiodła się Tamara w roku 1927. Ten niegdysiejszy bon vivant, po bolszewickiej więziennej traumie, nie potrafił odnaleźć się nad Sekwaną. Po przyjeździe do Paryża – czytamy w szkicu Potockiej – „irytował ją swoją życiową bezradnością i więzienną traumą, więc traktowała go trochę jak wyposażenie mieszkania. Miał wprawdzie swobodę romansowania, ale w ramach scenariusza, który ona ustalała. Kiedy zapragnął dla siebie bardziej normalnego życia i w Polsce związał się z inną kobietą, zaczęła o niego walczyć, ponieważ traktowała jego istnienie jako część własnej koncepcji, znikając, burzył jej obraz. Trzeba przyznać, że zrobiła naprawdę dużo, próbując tę kompozycję odbudować. Przegrała, co skwitowała na polu sztuki, tytułując swój portret Tadeusza jako przedstawienie niedokończonego mężczyzny. Rzeczywiście, jego ręka od strony serca została jedynie naszkicowana".

Tadeusz powrócił do Polski, gdzie ożenił się z Ireną Spiess, córką zamożnego warszawskiego fabrykanta z branży farmaceutycznej. A rok po rozwodzie Tamara została kochanką, a sześć lat później żoną, Raoula Kaffnera, żydowskiego barona będącego spadkobiercą austriackiego imperium browarniczego, członkiem rodziny mającej największy majątek ziemski w Austro-Węgrzech. Podobno kilkakrotnie odrzucała jego oświadczyny, w końcu jednak skusiła się na tytuł baronowej, no i na pieniądze, ale warto zauważyć, że swoje małżeństwa podsumowała następująco: „Mój pierwszy mąż był bardzo przystojny, a drugi miał charakter".

W 1938 r. baron Kuffner spakował najcenniejsze rzeczy ze swego zamku w Dioszegh, dokonał stosownych przelewów i niebawem – w obliczu nachodzącej wojny i Holokaustu – wyniósł się wraz z żoną do Ameryki. Tam Tamara Łempicka budziła jakiś czas zainteresowanie mediów, wkrótce jednak ekscentryczna baronowa znudziła się opinii publicznej, a jej próby zaistnienia na rynku sztuki zakończyły się niepowodzeniem. Ona sama mieszkała najpierw w Kalifornii, w Beverly Hills, potem w Nowym Jorku, w Houston, a w końcu wyjechała do Meksyku, gdzie zmarła w 1980 r. w swoim domu w Cuernavace, a prochy jej rozsypane zostały nad wulkanem Popocatépetl.

Nakręcono o niej filmy dokumentalne, m.in. „Światową diwę art déco" (BBC) i film z serii „Tajemnice zaginionych obrazów", której bohaterami są również Monet, Vermeer i Klimt. Obrazy twórczyni „Autoportretu w zielonym bugatti" znalazły się też w scenografii filmów fabularnych, w tym „Batmana" z Michaelem Keatonem i Jackiem Nicholsonem, „Barry Seala. Króla przemytu" z Tomem Cruise'em i „Zmowy pierwszych żon" z Bette Midler, Diane Keaton i Goldie Hawn.

W 1981 r. kanadyjski dramaturg John Krizanc napisał sztukę „Tamara", która stała się przebojem scenicznym m.in. w Nowym Jorku, gdzie wystawiano ją przez sześć lat, w Los Angeles i Warszawie. A dwa lata temu na Broadwayu miał premierę musical „Lempicka" z muzyką Matta Goulda.

Wśród sławnych osób kolekcjonujących obrazy Łempickiej są Barbra Streisand, Jack Nicholson i Madonna. Ta ostatnia w jej manierze wystylizowała swoje teledyski „Open Your Heart", „Vogue" i „Express Yourself", wykorzystała ją też w trasie koncertowej „Blond Ambition World Tour" (1990). Z reprodukcjami obrazów malarki na okładkach ukazywały się książki Ayn Rand i Francisa Scotta Fitzgeralda („Wielki Gatsby").

Sławnych marek, które dla reklamy wykorzystały obrazy Łempickiej, nie sposób wyliczyć. Na liście tej na pewno są: KitchenAid, Campari, Van Cleef & Arpels; dziełami jej inspirowali się Armani i Nina Ricci, Lanvin i MaxMara; do Łempickiej w jednej z kolekcji odwoływał się Dolce & Gabbana.

W tym roku miała się odbyć w prywatnym muzeum Villa La Fleur w Konstancinie wystawa dzieł malarki pochodzących głównie z kolekcji Marka Roeflera, ale i wypożyczonych ze światowych zbiorów. Niestety, pandemia pokrzyżowała te plany. W kończącym się roku najgłośniej o Łempickiej uczyniło się jednak za sprawą sprzedaży na aukcji Christie's jej „Portretu Marjorie Ferry" za 21 mln dol. Inne, wcześniej rekordowe obrazy artystki to: „Różowa tunika" (13,3 mln dol. na aukcji Sotheby's) i „Muzykantka" sprzedana dwa lata temu w Nowym Jorku za 9,2 mln dol. Są to najdrożej sprzedane obrazy polskiego artysty w całej historii.

SZTUKA WYMAGA REKLAMY

Była egoistką, a egoizm artysty to bardzo ważne narzędzie sztuki. „Wynikają z niego – czytamy w szkicu Mari Anny Potockiej – bezkompromisowość i prawdziwość dzieła. Egoista podąża za impulsami i nie okłamuje samego siebie. Dzięki temu ujawnia reakcje i sprawy, które »normalni« ludzie dawno w sobie stłumili. Inteligentny egoizm, wyposażony w wizję obrazu, tekstu czy partytury oraz mający słuch na znaczenia, jest warunkiem sztuki. Ale to

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

nie wszystko. Walutą artysty są dogłębne – bolesne, olśniewające, tragiczne, niezwykłe, wyzywające lub prowadzące na skraj wytrzymałości – doświadczania egzystencjalne. Zasobność tego konta decyduje o wadze sztuki. Artyści zdają sobie sprawę z wartości tych trudnych »darów«. Ci, którym nie były dane, prowokują los, wyzywając go do zadania ciosu. Sztuka karmi się tymi doświadczeniami, eksperymentuje na nich, pomaga się z nich uwolnić i przekazać innym mądrości lub dramat tych zmagań. Łempicka okazała się fenomenalnym bankierem swoich zasobów biograficznych, które niejednego by złamały. Znała zasady kredytów, huśtawki oprocentowań, wiedziała, kiedy domagać się zysku, kiedy inwestować, a kiedy pogodzić się ze stratą. Stawką było istnienie na własnych zasadach".

„Tamara Łempicka była dokładnie taka jak kobiety na jej obrazach – pisze Małgorzata Czyńska w »Kobietach z obrazów« – chłodna, egoistyczna, wyemancypowana, nawet rozwiązła. Wyglądała jak gwiazda filmowa, zresztą uwielbiała, kiedy mylono ją z Gretą Garbo, fotografowała się starannie upozowana i obwieszona brylantami. Potem te fotografie rozsyłała do prasy, bo nauczyła się, że sztuka wymaga skutecznej reklamy. W rodzinnym albumie więcej było jej materiałów promocyjnych i wycinków z gazet niż zdjęć najbliższych. Bywalczyni salonów od Sankt Petersburga do Beverly Hills zjednywała sobie elity po obu stronach Atlantyku swoim malarstwem, a jeszcze bardziej umiłowaniem dobrej zabawy. Bawiła się szampańsko, hołdując poglądowi, że artystom wolno więcej niż zwyczajnym zjadaczom chleba. »Robię, co chcę, i nienawidzę robić tego, co muszę – oświadczała, będąc już po osiemdziesiątce. – Moje życie nigdy nie było konwencjonalne«. Przyjaciel Jean Cocteau zaświadczał, że »kochała tak samo sztukę, jak i wytworne towarzystwo«. Doskonale łączyła te dwa światy. Nieraz, kiedy późną nocą wracała po przyjęciach do domu, zamiast do łóżka szła prosto do pracowni i podniecona wrażeniami wieczoru, a często także kokainą, malowała do świtu". A spod jej pędzla wychodziły portrety królów i prostytutek.

Marisa de Lempicka, prawnuczka Tamary, zapamiętała z dzieciństwa miesiąc spędzony u niej w Meksyku. Nie pozwalała nazywać siebie babcią, miała być „Cherie" i już. I któregoś dnia, mieszając farby na palecie, streściła małej krewniaczce swoje życie: „Kiedy dotarliśmy do Paryża, straciliśmy wszystko, musieliśmy uciekać z naszego domu i zaczynaliśmy wszystko od nowa w nowym mieście. Malowałam dzień i noc, żeby zarobić, nie przestałam, dopóki nie miałam tyle pieniędzy, by kupić sobie diamentową bransoletę sięgającą stąd dotąd" – i wskazała na rękę, od nadgarstka do łokcia.

„Autoportret w zielonym bugatti" Tamary Łempickiej FOT. ALAMY LIMITED/BE&W

W Paryżu doskonaliła swoje umiejętności malarskie u fowisty Maurice'a Denisa i Andre Lhote'a w Académie Montparnasse. Za przykładem tego drugiego – pisze Małgorzata Czyńska – „godziła nowatorski kubizm z bezpiecznym dziewiętnastowiecznym akademizmem. Tak jak on uważała, że ludzkie ciało to przedmiot jak każdy inny, i malując akty, tworzyła takie właśnie luksusowe przedmioty. To zbytnie uproszczenie zaliczać Tamarę de Łempicką tylko do artystów postkubizmu i klasycystycznego art déco – twierdził krytyk sztuki Giancarlo Marmori. – Psychologiczne i fizyczne natężenie postaci, ich metaanatomia, tiki i nerwowe grymasy są sposobem na wprowadzenie bardzo specyficznego wyolbrzymienia typowego dla Neue Sachlichkeit. Przesady i hipokryzji".

Francoişe Gilot, malarka, wieloletnia partnerka Picassa i matka dwojga jego dzieci, Tamarę Łempicką poznała w 1966 r., gdy ta często jeszcze przyjeżdżała z Ameryki do Paryża. Nie podziałał na nią jej urok, uznała ją za osobę nadto egzaltowaną. Drażniło ją też, że przedstawiała się jako baronowa Kuffner, co Gilot – błędnie, jak potem pisała – wzięła za „oznakę braku wiary w swoją artystyczną wartość". W efekcie dopiero po 10 latach przyjrzała się dokładnie jej pracom i doceniła je, odnajdując w nich magię. „W obrazie Tamary de Łempickiej – napisała – jak zwykle w wielkiej sztuce, jest wspaniały smak, niekiedy wspaniały zły gust, ale nigdy »dobry smak« klasy średniej".

NAJPIĘKNIEJSZY WIDOK W BEVERLY HILLS

Jej malarstwo znakomicie wpisuje się w obowiązujące obecnie trendy. A jeszcze bardziej jej życiorys, obfitujący w skandale, liczne romanse – biseksualne i zdrady. Nieprzypadkowo jej triumfalny, choć z osobistego punktu widzenia – spóźniony, come back to rok 1977, po ukazaniu się skandalizującej właśnie monografii autorstwa Franca Marii Ricciego. Wcześniej mogło się zdawać, że odeszła już w zapomnienie. Pomógł jej powrót zainteresowania stylem art déco, ale decydująca była jednak biografia.

Po tym, jak przybyła do Ameryki, aż przez 10 lat usiłowała swą karierę budować na wydarzeniach opisywanych następnie w konikach towarzyskich. W Hollywood – pisała prasa – „baronowa zaprasza artystów, gwiazdy filmu, starych Kalifornijczyków i różnojęzycznych światowców, zapewnia im miłe towarzystwo, luksusową kuchnię i trunki oraz najpiękniejszy widok w Beverly Hills. Rezultat jest taki, że jej przyjęcia są bardzo specyficznego gatunku i niezwykle się podobają". Nie były natomiast atrakcyjne jej nowe prace, obrazy malowane przy użyciu szpachli i surrealistyczne pejzaże. Za to, jak miało się okazać, wciąż budziły emocje obrazy swojej epoki, powstałe przed wojną we Francji i we Włoszech akty kobiet „o gładkich – jak powiada Czyńska – jakby emaliowanych ciałach".

Trudo było też przejść obojętnie obok jej wspomnień, w których w warszawskim domu jej dziadków pojawiają się Paderewski i Rubinstein, w podróży po Europie babcia zabiera ją do kasyna w Monte Carlo, w Sankt Petersburgu bywa na przyjęciach u księżnej Iriny Jusupow, a w Paryżu przyjaźni się z Jeanem Cocteau, we Włoszech zaś flirtuje z Gabrielem d'Annunziem. Ten ostatni, poeta i sławny kochanek, m.in. Isadory Duncan, Eleonory Duse i Sary Bernhardt, gościł i Łempicką w swojej posiadłości nad jeziorem Garda, ale ponoć do erotycznego skonsumowania znajomości nie doszło. W każdym razie na pożegnanie przysłał jej... nie, wcale nie słynny, uwieczniony na płótnie kabriolet (Bugatti TYpe 44 Grand Sport), bo to był prezent od kogoś innego, ale specjalnie zamówiony dla niej srebrny pierścionek z ogromnym topazem, którego – jak mówiła – „nie zamieniłaby na wszystkie brylanty świata". Do biżuterii dołączył d'Annunzio wiersz zadedykowany „Złotej kobiecie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie

18:30

zaprasza **Ilona Januszewska**

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Puste niebo

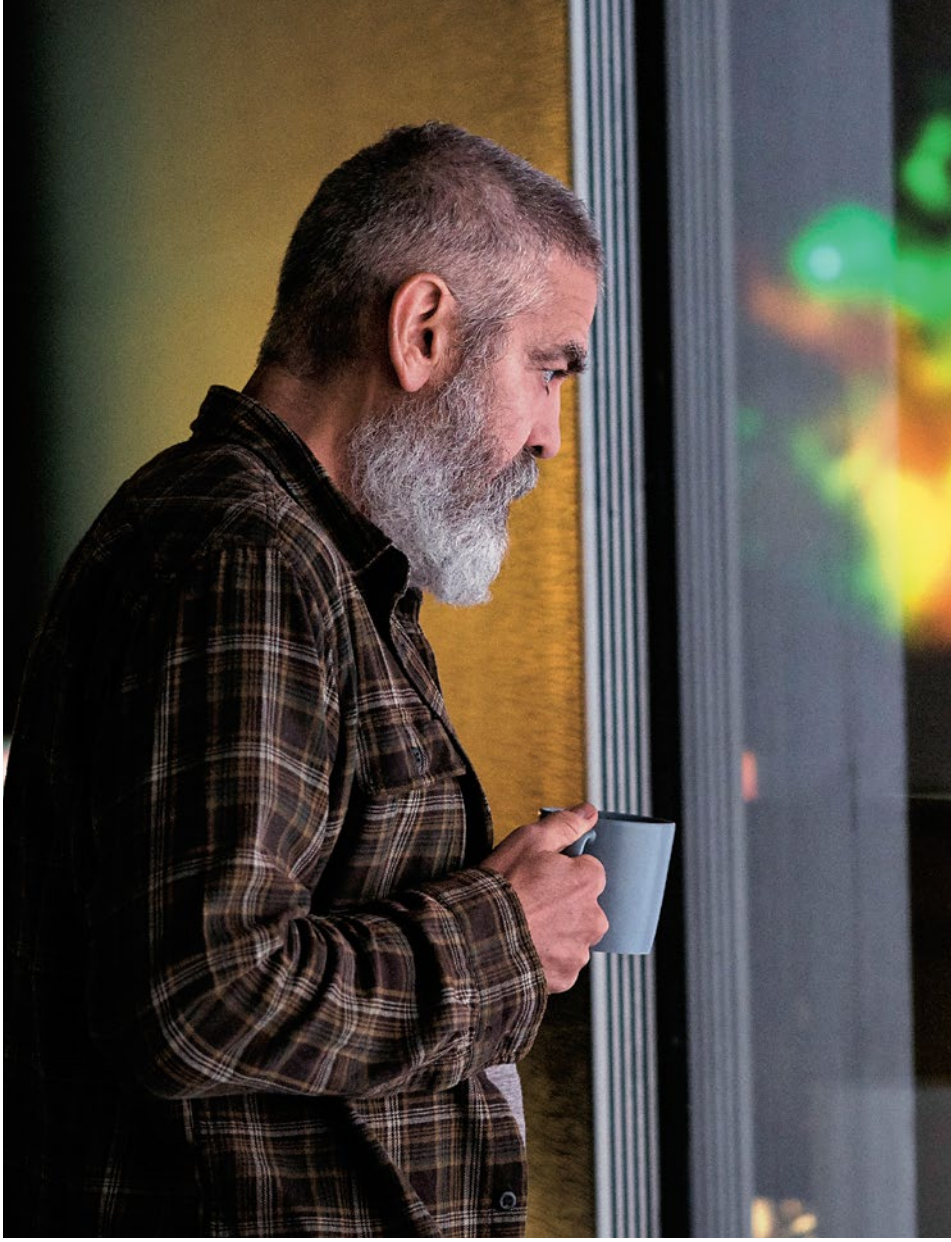

Piotr Gociek

Niezła powieść jako podstawa scenariusza, George Clooney po obu stronach kamery, ciekawe efekty specjalne plus koniec świata. Co mogło pójść nie tak?

Pandemiczny rok 2020 żegnamy cichą apokalipsą na małym ekranie. Apokalipsa ma uśmiech Felicity Jones i brodę George'a Clooneya oraz dziecięce oczy Caoilinn Springall. Ta pierwsza jest astronautką wracającą na Ziemię na pokładzie statku „Aether", ten drugi to astronom dokonujący samotnie żywota za kręgiem polarnym, a ta trzecia – cóż, roli trzeciej, słodkiej dziewuszki noszącej na ekranie imię Iris objaśniał nie będę, bo musiałbym zdradzić zbyt wiele z i tak niezbyt skomplikowanej akcji filmu „Niebo o północy" („The Midnight Sky").

Przenosimy się trzy dekady w przyszłość, do roku 2049, ale zamiast niezwykłych pejzaży futurystycznych metropolii dostajemy smaganą zimnym wiatrem bazę naukową, z której ewakuowany jest cały personel. Cały, oprócz dr. Augustine'a Lofthouse'a walczącego ze śmiertelną chorobą. On jako jedyny w bazie pozostaje. I tak nie ma do czego/kogo wracać, i tak zostało mu mało czasu. Panika i ewakuacja wywołane są tajemniczym kataklizmem, który dziesiątkuje ludzkość. Do samego końca nie poznamy jego natury, z napomknień dowiadujemy się, że powietrze staje się niezdatne do oddychania, że ma z tym coś wspólnego radioaktywność i że proces jest nie do powstrzymania. Bohater grany przez Clooneya powie później, że jedyne bezpieczne miejsca znajdują się pod ziemią i że ludzie niezbyt dobrze opiekowali się swoją planetą.

W OBLICZU KOŃCA

Mamy zatem do czynienia z opowieścią o końcu świata, w której głównym daniem nie jest sam koniec, lecz losy kilku postaci postawionych w obliczu katastrofy. Znany chwyt, sięgnijmy choćby po klasyczną powieść Nevile'a Shute'a „Ostatni brzeg" (później także filmu), która opowiadała o wojnie atomowej, wcale jej nie pokazując. Oglądaliśmy apokalipsę z punktu widzenia garstki bohaterów czekających na nieuchronny koniec. Tyle że dr Augustine Lofthouse czekać nie chce. Znajduje sobie zadanie do wykonania. W pustym laboratorium obserwuje na ekranach informacje o kolejnych misjach kosmicznych: ta skończona, z tą utracono łączność. Kiedy okazuje się, że ku Ziemi powraca statek „Aether", Augustine postanawia za wszelką cenę skontaktować się z załogą i odradzić lądowanie na Ziemi.

Akcja przenosi się więc co jakiś czas na pokład statku, który wraca z wyprawy w okolice Jowisza, gdzie znaleziono nadający się do życia księżyc K-23, być może nowy dom ludzkości. Kilkuosobowa załoga jest mocno zdezorientowana: Dlaczego nikt nie nawiązuje z nimi łączności? Czemu NASA milczy? Czemu milczą także Chiny, Indie i Rosja? Nic innego, jak awaria sprzętu – przekonują sami siebie zaniepokojeni astronauci. Naprawiają zatem, restartują, przebudowują bez końca.

„Niebo o północy" to film wyreżyserowany przez George'a Clooneya na podstawie powieści Lily Brooks-Dalton „Dzień dobry, północy" („Good Morning, Midnight") wydanej w Polsce kilka lat temu. Ekranizacja odbiega od oryginału w sposób istotny – inne jest zakończenie, inaczej w literackim oryginale rozłożone były

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

George Clooney tak schudł do roli w „Niebo o północy", że przypłacił to chorobą
FOT. PHILIPPE ANTONELLO/NETFLIX

emocjonalne akcenty, no i autorka starała się uprawdopodobnić elementy naukowe intrygi, zamiast czynić ją absurdalną.

Mark L. Smith, scenarzysta prezentujący poziom nierówny (ciekawa „Zjawa" Alejandro G. Iñárritu, nieciekawe filmy „Męczennicy" czy „Operacja Overlord"), wystawia jednak naszą cierpliwość na próbę. Pod jego ręką elegijna powieść o samotności i godności w obliczu nieuniknionego końca zamienia się w składankę motywów znanych z innych – bardziej udanych – filmów science fiction. W „kosmicznej" części opowieści dostajemy więc sceny przypominające „Grawitację" i „Interstellar", a w części „naziemnej" – słabą podróbkę „Drogi". Lily Brooks-Dalton też podkradała na potrzeby swojej powieści, ale robiła to delikatniej, mądrzej i z trochę innych źródeł.

„Niebo o północy" w wersji filmowej zamienia się w katalog pt. „Znacie, to popatrzcie", przy czym zmuszani jesteśmy do tego, by patrzeć w niewłaściwą stronę. Skoro na ekranie pojawia się tak wąska grupa bohaterów, to powinna być to scena, na której przykuwają naszą uwagę, to w końcu ich dramat, ich koniec świata, ich trudne wybory. Clooney i jego ekipa daleko większą uwagę poświęcili jednak temu, jak wyglądać ma „Aether", stacja polarna, druga stacja polarna (trzeba do niej dotrzeć, by skomunikować się z astronautami), niż temu, byśmy uwierzyli w realność postaci, które ukazuje na tym tle. Nie możemy powiedzieć, że się nie starał: odchudził się na potrzeby roli tak bardzo, że poważnie zachorował. Ale widz nie musi tego wiedzieć, widz ocenia to, co na ekranie, a nie to, co w dzienniczku z wpisami dokumentującymi największe akty poświęcenia ekipy.

Po pierwszej pół godzinie, która może się podobać, bo opowieść ma rytm, nastrój, piękne (choć smutne) kadry, zczynamy tracić zainteresowanie, bo bohaterowie okazują się mniej interesujący, niż mieliśmy prawo oczekiwać, a przesadnie patetyczna muzyka Alexandra Desplata zaczyna irytować. Przestajemy kibicować głównym aktorom dramatu także dlatego, że zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie intryga wymaga od nas zbyt wielkiego zawieszenia niewiary, by nie rzec, że staje się idiotyczna. Mnie – prócz recenzenckiego obowiązku – do końca utrzymało jedynie troje wspomnianych na początku aktorów: Felicity Jones, George Clooney oraz mała Caoilinn Springall. Cała trójka ma charyzmę, a w dodatku para Clooney-Springall wypada na ekranie znakomicie, ale te chwile satysfakcji nie wystarczają, by uratować „Niebo o północy". Nie pierwszy raz melancholijna fantastyka zamienia się w trakcie ekranizowania w kiepski melodramat.

Na szczęście pozostają nam książki. Odsyłam więc do literackiego oryginału autorstwa Lily Brooks-Dalton, a przy okazji polecam dwie inne powieści uderzające w podobne struny: „Gwiazdozbiór Psa" Petera Hellera oraz „Stację Jedenaście" Emily St. John Mandel. Serialowa wersja tej ostatniej pojawi się w roku 2021 w HBO. Jedna i druga to współczesna klasyka opowieści o cichej apokalipsie.

BEZRADNOŚĆ

„Niebo o północy" jest produktem bardzo charakterystycznym dla Netflixa. Ładnie wygląda, w produkcję zaangażowane są duże nazwiska, jednocześnie odnosi się wrażenie, jakby nikomu tak naprawdę nie zależało, by powstało coś niezwykłego – zwykła guma do żucia dla oczu wystarczy. Przy okazji można jeszcze popozorować nieco większe ambicje – wiecie, koniec świata, pandemia, troska o planetę etc. Film Clooneya trafił w USA także do nielicznych kin, żeby spełnić oscarowe normy. Czy członkowie Akademii docenią odchudzonego Clooneya? Przypuszczam, że wątpię, ale z drugiej strony rok był tak szalony, a premier tak mało, że wszystko jest możliwe.

Jednocześnie widzę w tym coś symbolicznego, że żegnamy rok pandemii (obawiam się, że powinienem napisać „pierwszy rok pandemii") filmem pokazującym pewną bezradność wobec poważnego problemu popkultury A.D. 2020: jak skonsumować, znaczy tfu, opowiedzieć, o tym wszystkim, co się dookoła dzieje. Zauważmy, że niespodziewany przebój Netflixa „Ku jezioru" (rosyjski serial na podstawie powieści „Pandemia" Jany Wagner), powstał, kiedy jeszcze nikomu się o kłopotach z koronawirusem nie śniło. Teraz sprawa jest trudniejsza: jak pokazać kawałek prawdy, ale nie szerzyć depresji, jak ukazać dramat, ale pozostać jednocześnie taktownym. Czy widownia chce zobaczyć coś drastycznego, wprost nawiązującego do tego, co za oknem, czy może woli delikatne aluzje i bardziej fantastyczny kostium?

Rozpoznanie rynku odbywa się metodą prób i błędów. W amerykańskiej sieci CBS zadebiutowała nowa serialowa ekranizacja „Bastionu" Stephena Kinga – słaba, niestety. Do polskich serwisów VOD trafia w tych dniach „Songbird. Rozdzieleni" reklamowany jako „pierwszy film o pandemii", którego akcja rozgrywa się w roku 2024. Też słabizna. Projekt taki jak film Clooneya wedle powieści Brooks-Dalton wydawał się rozwiązaniem mądrzejszym, obiecującym przypowieść, a nie dosłowność. Nie udało się. Nie po raz pierwszy pandemia wygrywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★☆☆☆

REŻ. GEORGE CLOONEY
„NIEBO O PÓŁNOCY" („THE MIDNIGHT SKY")
USA 2020

wyst. George Clooney, Felicity Jones, Caoilinn Springall

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO GO

Słowa, czyli wszystko

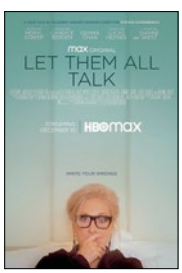

★★★★★☆

REŻ. STEVEN SODERBERGH
„NIECH GADAJĄ" („LET THEM ALL TALK")
USA 2020

wyst. Meryl Streep, Candice Bergen, Diane Wiest

Starzejąca się uznana pisarka (Meryl Streep) płynie z Nowego Jorku do Anglii na pokładzie luksusowej „Queen Mary 2", a wraz z nią dwie przyjaciółki ze studiów (Candice Bergen i Dianne Wiest) oraz jej siostrzeniec (Lucas Hedges). Jej śladem w sekrecie podąża ambitna redaktorka z wydawnictwa, która chce wykorzystać podróż do wyśledzenia, czy laureatka Pulitzera rzeczywiście pracuje nad kontynuacją swojej najpopularniejszej powieści.

Nakręcony w zaledwie dwa tygodnie film to cacko spod ręki Stevena Soderbergha, który jest też autorem zdjęć i montażu (choć zasłonił się pseudonimami w przypadku tych dwóch ostatnich funkcji). Kino gadane, ale fotografowane pięknie, kino artystyczne, ale strawne dla przeciętnego odbiorcy, kino improwizowane, bo w przypadku dialogów reżyser zostawiał aktorom wolną rękę, choć scenariusz napisała Deborah Eisenberg.

Ponieważ aktorzy są znakomici, a reżyser wybitny, ryzyko się opłaciło i powstała intrygująca, mądra opowieść o tym, jak niewiele wiemy o sobie – nawet gdy wydaje się nam, że zjedliśmy razem beczkę soli. A także o tym, jak sukces zmienia wszystkich – tych, którzy go odnoszą, oraz tych, którzy nie potrafią sobie poradzić z cudzym powodzeniem. Trzy starsze panie zapewniają widzom aktorski koncert (zwłaszcza Streep i Bergen), zaś historię ich przyjaźni, urazów i niezrozumienia obserwujemy z punktu widzenia sympatycznego, dobrodusznego chłopaka, którego oczywiście bez trudu owinie sobie wokół palca rezolutna pani redaktor.

„Niech gadają" to także film o cudzie, jakim jest literatura. I o wykluczających się pisarskich strategiach. Alice tygodniami czeka na właściwe słowo, bo jest przekonana, że istnieje ich idealny, jedyny właściwy porządek na papierze. Tym samym statkiem podróżuje wzięty autor kryminałów, któremu naszkicowanie fabuły zajmuje miesiąc, a napisanie książki – kolejne dwa miesiące. Niezależnie jednak od pisarskich strategii to literatura jest pomostem, dzięki któremu możemy się nawzajem zrozumieć, a unikatowość sztuki polega na tym, że budowane przez nią mosty przerzucone mogą być nawet ponad stuleciami – strony zapisane dawno, dawno temu, żyją w nas i dają wgląd w serca i umysły innych. Nie każdy potrafi z tego cudu korzystać, ale bez niego jakże bylibyśmy bezradni i o ileż ubożsi. ©℗

NOWE SERIALE: DZIEWCZYNA I CHŁOPAK HBO

Wyśmienita adaptacja powieści Sally Rooney, obwołanej mocno na wyrost „Buszującym w zbożu XXI w.". Książka nie jest zła, ale serial Lenny'ego Abrahamsona – dużo lepszy. Twórca nominowany do Oscara za „Pokój" przedstawia inteligentną, świetnie opowiedzianą i zagraną historię miłosną. Marianne i Connell wkrótce kończą szkołę, idealny wiek na pierwszą miłość. Ale pochodzą z różnych środowisk, w dodatku słabo radzą sobie z presją otoczenia, więc to, co proste, okazuje się niezwykle skomplikowane. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Lenny Abrahamson „Normalni ludzie" („Normal People"), USA 2020, wyst. Daisy Edgar-Jones, Paul Mescal***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***„Pojedynek na głosy" („Military Wives"),*** *reż. Peter Cattaneo, Wielka Brytania 2019* CINEMAN
- ***„Do szpiku kości" („Winter's Bone"),*** *reż. Debra Granik, USA 2010* HBO
- ***„Wszyscy moi przyjaciele nie żyją",*** *reż. Jan Belcl, Polska 2020* N

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

W życiu jak w pokerze

DVD VIDEO

Stan wojenny miał tę przewagę nad stanem pandemii, że można było pójść do kina. I obejrzeć – na przykład – „Wielkiego Szu". Publika rżała z uciechy, gdy w kadrze pojawił się, przemawiający z telewizora, towarzysz Gierek. Między Odrą a Bugiem krążył wtedy wierszyk: „Gierek, wracaj do koryta, lepszy złodziej niż bandyta". Film Chęcińskiego miał wszystko, co kochała ówczesna widownia: polityczne aluzje, fabułę w amerykańskim stylu, wyrazistych protagonistów i nagą Grażynę Szapołowską. Nowe oblicze ujawnił jeden z dyżurnych amantów PRL, Jan Nowicki. Ulubioną postacią ówczesnego kina był rozedrgany inteligent. U Chęcińskiego nie ma żadnego (choć tytułowy bohater to pokerzysta-filozof), jest za to zgnilizna moralna kiepsko maskowana blichtrem „dekady sukcesu". Ach, te peweksy i baltony, hotelowe prostytutki, pieniądze w walizkach, zblatowani z władzą ludową prywaciarze... Stanowczo „Wielki Szu" zasłużył, by pilotować serię „Polska klasyka – rekonstrukcja cyfrowa". To nieważne, że wychwalany scenariusz Jana Purzyckiego jest łudząco podobny do nakręconego 20 lat wcześniej odcinka telewizyjnego cyklu „Alfred Hitchcock przedstawia". Inaczej mówiąc, Andrzej Pieczyński wszedł w buty Roberta Redforda. Jak to mówią karciarze: „Ja oszukiwałem i ty oszukiwałeś. Wygrał lepszy". ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. SYLWESTER CHĘCIŃSKI
„WIELKI SZU"
POLSKA 1983

wyst. Jan Nowicki, Andrzej Pieczyński, Dorota Pomykała

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WYŚNIONY SYLWESTER

CDA.pl

Chaplin zaczął kręcić ten film bez scenariusza i trochę to widać. Na szczęście gagi wymyślił i przećwiczył, zanim ruszyła kamera, więc skutecznie śmieszą kolejne pokolenia. „Gorączka złota" jest poniekąd filmem historycznym, bo w 1925 r. nad Klondike łatwiej już było spotkać niedźwiedzia grizli niż świeżo upieczonego milionera. Naiwny urok opowieści o marzycielu w meloniku, który nawet w ekstremalnych okolicznościach przyrody i otoczony gburami rezonu nie traci, wciąż działa. Umówmy się – scena spożywania sznurowadeł w zastępstwie spaghetti to humor raczej ludyczny niż salonowy. Przy okazji można jednak pokazać dzieciom, jak w XX w. wyglądała zima. Witając nowy rok, Charlie zaliczył serię wpadek. W tańcu przeszkadzały mu laseczka, brak buta, opadające spodnie i pies. Ale miał też wspaniały sen. Zdaje się, że nasz sylwester będzie mniej huczny, ale może przebudzenie będzie lepsze?

★★★★★★

REŻ. CHARLIE CHAPLIN
„GORĄCZKA ZŁOTA" („THE GOLD RUSH")
USA 1925

wyst. Charlie Chaplin, Mack Swain, Georgia Hale

SZEKSPIR, TY OSZUŚCIE!

HBO GO

Obraz składa hołd słowu. Nie takiego filmu oczekiwaliśmy od Emmericha. Przyzwyczaił nas do widowisk bombastycznych w formie, lecz ubogich w treści. Widać, zapragnął odmiany, gdyż „opowieść o władzy i zdradzie" w elżbietańskiej Anglii rozmachem nie porywa (co nie znaczy, że jest chybiona). Swego czasu nakręcono komedię, w której Sherlock Holmes był żałosnym zapijaczonym aktorzyną wynajętym w charakterze słupa przez prawdziwego detektywa – doktora Watsona. W „Anonimusie" intryga jest podobna. Edward de Vere, XVII hrabia Oxford, włada piórem sprawnie, lecz nie wypada mu wystawiać sztuk pod własnym nazwiskiem. Książki i filmy o tej epoce zwykle piętnują fanatyzm katolików, tym razem czarnymi charakterami są ewangelicy. Pesymizm stał się przyczyną kasowej porażki „Anonimusa". Słowami można zdobyć kobietę, ale już nie królestwo. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. ROLAND EMMERICH
„ANONIMUS" („ANONYMOUS")
WIELKA BRYTANIA / USA / NIEMCY 2011

wyst. Rhys Ifans, Vanessa Redgrave, Sebastian Armesto

GRA TYGODNIA: „WORMS RUMBLE"

★★★★★★

Seria „Worms", w której sympatyczne robaki walczą ze sobą za pomocą całego arsenału uzbrojenia, doczekała się tak wielu odsłon i modyfikacji, że trudno o poczucie zaskoczenia. Tak było przez ostatnie lata, gdy gracze otrzymywali do rąk przeróżne wariacje na temat klasycznego modelu: dwie drużyny, wspólna mapa, system turowy. Aż do końca grudnia, gdy na rynek zawitała strzelanina w czasie rzeczywistym, w której kontrolujemy jednego podopiecznego. „Worms Rumble" to prosty, ale działający pomysł, okraszony kolorową, trójwymiarową grafiką. Na mapie walczy do 32 graczy. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcja/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/PS5*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Team 17 / Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

MOJA PÓŁKA

Jak uwierzyć w tamten świat

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Rekomendujący opowiadania Teresy Bochwic – Anna Nasiłowska i Piotr Müldner-Nieckowski – podkreślają, jako zaletę, prawdziwość opowiedzianych przez tę autorkę historii. „Boleśnie prawdziwych" – stwierdza Nasiłowska. Otóż wolałbym, żeby „Brylant" i inne opowiadania z tego tomu potraktowane zostały jako fikcja przynależna do jakiejś mrocznej, posępnej odmiany fantastyki. Interesującej, dobrze napisanej, niemającej jednak wiele wspólnego z rzeczywistością.

Jak bowiem uwierzyć w świat, w którym dzieci bawiące się w wojnę, ledwie – zdawałoby się – dorosły, a już napłodziły dzieci, które z kolei bawiły się w ogonek do sklepu mięsnego. I doskonale rozumiały ten kawał: „Gdzie stanie pomnik matki Polki? W kolejce. A jaki mieć będzie napis na cokole? – Pani tu nie stała".

W świecie tym nie dziwiła taka oto rozmowa z 15-latkiem z domu dziecka:

„– A kim chcesz zostać? – Paweł miał nadzieję, że chłopiec powie »kosmonautą« czy czymś w tym rodzaju, że te dzieci mają jakieś marzenia.

– Milicjantem. – Chłopiec uśmiechnął się szeroko i po raz pierwszy jego oczy nabrały wyrazu.

– Dlaczego? – zdziwił się Paweł. – Lubisz pilnować innych?

– Nie o to chodzi – odrzekł chłopiec. – Po piętnastu latach pracy można przejść na emeryturę. Stuprocentową".

Duża część tekstów Teresy Bochwic ma w pełni autobiograficzny charakter. Gdy pierwszy raz szła do szkoły w 1954 r., w jej klasie było 52 dzieci. Parę lat później, w mojej klasie, była nas 40; w Warszawie budowano szkoły, ale wyż demograficzny wciąż był niesamowity, jeśli zaś chodzi o inne sprawy, to wiele się nie zmieniało: „Wojna wciąż trwała w opowieściach i snutych przy każdej okazji pełnych emocji wspomnieniach rodziny, przyjaciół, nawet sąsiadów, w ruinach wszędzie w mieście i w widoku dzieci po chorobie Heinego-Medina, dziś polio, z nóżkami podwiązanymi metalowymi wzmocnieniami". W mojej klasie też były takie „powykręcane" dzieci.

FOT. WIKIPEDIA

I klimat był ten sam: „Myśmy mieli serdecznie dosyć nieustannego słuchania i czytania o wojnie, o Żydach, o zagładzie, o obozach koncentracyjnych itd. Bynajmniej nie z powodu wrodzonej zatwardziałości czy cynizmu albo braku zainteresowania. Nie wiem, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jak bardzo nawet lektury szkolne w owych czasach były zdominowane przez tego rodzaju literaturę, a filmów chyba trzy czwarte było o wojnie. Kiedy dzisiaj czytam np. o tym, że dotąd nie powiedziano tego, co trzeba, o zagładzie Żydów albo całej prawdy o bestialstwach niemieckich, otwieram oczy ze zdumienia". Ja też. I tak pozostajemy w tym niekończącym się zdziwieniu współczesnością, do której nasze wspomnienia pasują jak pięść do nosa. To dlatego na ogół mieliśmy niezły kontakt ze swoimi dziećmi, bo one też liznęły życia w tamtym świecie rodem ze złej bajki, ale już nie dogadujemy się z wnukami, dla których są to, rzeczywiście, bajki, tyle że o żelaznym wilku.

Oczywiście, chciałbym bardzo, żeby „Brylant i inne opowiadania" czytane były masowo i to właśnie przez młodych odbiorców. Żeby coś zrozumieli, żeby przestali wsłuchiwać się w podszepty tych, którzy wszystko wiedzą lepiej, a nie wiedzą nic, biorą się do redefiniowania polskości, a nikt im nie powiedział, czym Polska jest naprawdę. Ta książka dostarcza wiedzy, której na próżno szukać w podręcznikach historii, a i wzruszeń, te są zaś bezcenne. Tyle że po ten „Brylant" trzeba sięgnąć i w tym tkwi szkopuł.

Kilka słów o korzeniach autorki, opozycjonistki z lat PRL. Teresa Bochwic jest córką Anny Rudzińskiej, socjolożki uwięzionej w 1962 r. za kontakty z Jerzym Giedroyciem i paryską „Kulturą" i wnuczką posła na Sejm II RP, legionisty odznaczonego Virtuti Militari za bitwę pod Komarowem Bronisława Wojciechowskiego. Że w wychowaniu dziecka kluczową rolę odgrywa atmosfera domu rodzinnego, to oczywiste. „Pamiętam – pisze Teresa Bochwic – jak w przedszkolu widziałam portret Stalina trzymającego na rękach małą polską dziewczynkę z warkoczykami i pięknymi białymi kokardami. Dziadkowi, który zawsze mnie uczył, że Moskale są źli dla Polaków, powiedziałam triumfalnie, że nie, bo właśnie u nas jest taki portret, a na nim dobry Stalin. Wtedy dziadek powiedział: on wziął ją na ręce, żeby jej rozbić głowę o ścianę". ©℗

★★★★★★

TERESA BOCHWIC „BRYLANT. OPOWIADANIA PRAWDZIWE"
OW SPP, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Innymi światy

Bohater nowej powieści Susanny Clarke żyje w olbrzymim domu, którego fundamenty oblewa morze, a dach sięga chmur. To osobny świat, tajemniczy i intrygujący. W przestronnych salach stoją wielkie posągi, na posadzce znaleźć można zarówno śmieci, jak i kości – ale czyje? Kim wreszcie jest narrator, który choć potrafi świetnie nawigować w owym dziwnym świecie, to nie wie, ani co to za miejsce, ani skąd się tam wziął, ani kim są inni ludzie, którzy od czasu do czasu się tu pojawiają.

Autorka rewelacyjnej powieści „Jonathan Strange i pan Norrell" odwróciła w „Piranesim" schemat, wedle którego zagadki nadnaturalne rozwiązują przybysze z zewnątrz. Zwykle śledzimy nowych mieszkańców nawiedzonego dworu albo detektywów od zjawisk paranormalnych próbujących dowiedzieć się, o co naprawdę chodzi. Tutaj śledztwo prowadzi postać z wnętrza zagadki. I to jak bardzo z wnętrza! Sami się przekonacie.

Wybrana forma wymagała literackiej maestrii i perfekcyjnego panowania nad materiałem. Susanna Clarke sprostała wymaganiom. Próg wejścia w tę niezwykłą historię jest wysoki – przez pierwsze rozdziały jesteśmy zdezorientowani, niektórzy mogą poczuć się nieco zirytowani. Wiemy tylko tyle, ile wie narrator, a ten odszyfrowuje rzeczywistość dzięki skąpym zapiskom przez siebie prowadzonym oraz komunikatom znajdowanym w salach domu-świata. Im dłużej czytamy, tym historia bardziej nas przykuwa, bo kiedy z rozsypanych wskazówek zaczyna wyłaniać się całość fabuły, zaczynamy czytać łapczywie i przewracać szybko kartki: co dalej?

Piękna to historia, która łączy fantazję z filozofią, a żartem naprowadzającym na jedną z możliwych interpretacji jest nazwanie bohatera przez jedną z innych postaci „Piranesim", choć tak naprawdę zwie się zupełnie inaczej. Giovanni Battista Piranesi, XVIII-wieczny włoski archeolog i artysta, znany był między innymi z cyklu fantastycznych ilustracji „Więzienia niemożliwe". Clarke szkicując własny ich wariant, pyta o to, jak dalece umysł rządzi światem realnym, zastanawia się nad naturą rzeczywistości i wielością możliwych światów oraz nad tym, czy wszyscy musimy być szczęśliwi akurat w tym, w którym żyjemy. To jedna z najoryginalniejszych powieści ostatnich lat, do której zafascynowani czytelnicy – mam przeczucie – wracać będą nieraz. Owoc wielkiego talentu, wielkiej wrażliwości i melancholii. ©℗

★★★★★☆
SUSANNA CLARKE „PIRANESI" WYDAWNICTWO MAG 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Opowieści o życiu tych, których bliscy oddali życie w służbie krajowi i jego obywatelom. Między innymi Cezary Łazarewicz, Paweł Reszka i Piotr Siemion ukazują dramat rodzin żołnierzy, policjantów, strażaków i oddają hołd poświęceniu.

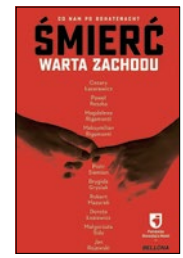

AUTORZY RÓŻNI „ŚMIERĆ WARTA ZACHODU" WYDAWNICTWO BELLONA

Po raz pierwszy po polsku i trochę za późno. O wielu bohaterach tej książki sprzed półwiecza mało kto pamięta. Przetrwały talent autora i jego pasja w obronie bardzo subiektywnej metody doboru dzieł, które uznał za klasyczne.

ITALO CALVINO „PO CO CZYTAĆ KLASYKÓW" PIW

Dalej myślą sięgnąć już nie można: jak skończy się Wszechświat i z jakich powodów? Zanim zaczniemy rozumieć skomplikowane procesy, warto poznać podstawowe pojęcia kosmologii. O jednym i drugim Mack pisze przystępnie.

KATIE MACK „KONIEC WSZYSTKIEGO" ZYSK I S-KA

„Od deklaracji terezińskiej do ustawy 447" – polski prawnik mieszkający w USA analizuje działania lobby żydowskiego w kwestii roszczeń bezspadkowych. Pożyteczne i alarmujące podsumowanie stanu rzeczy. ©℗

poleca Piotr Gociek

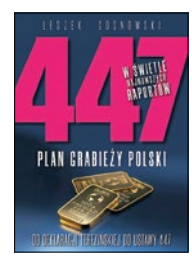

LESZEK SOSNOWSKI „447. PLAN GRABIEŻY POLSKI" FRONDA

KOMIKS TYGODNIA: „INSTYTUT BOMBOWYCH TEORII"

Urodzony w Szkocji rysownik i ilustrator Tom Gauld wśród swych ulubionych autorów wymienia Gary'ego Larsona. Rzeczywiście, duch wisielczego humoru z „Far Side Gallery" unosi się nad jego najnowszą książką, ale oczywiście Gauld to artysta osobny: też niegłupi i bardzo zabawny. W „Instytucie..." zebrano żarty i minikomiksy ukazujące się na łamach pisma „New Scientist", zatem nauka i naukowcy (a czasem zwierzęta, rośliny i cząstki elementarne) występują w roli głównej. Tom rekomendują pisarze tak różni jak Neil Gaiman i William Gibson – i w pełni się z nimi zgadzam. ©℗

poleca Piotr Gociek

TOM GAULD „INSTYTUT BOMBOWYCH TEORII" MARGINESY 2020

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Małżeńskie sprawy

Gabriela i Wojciech Gąsiorowie to małżeństwo absolwentów Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach. Ona jest wokalistką, pisze teksty i komponuje muzykę. On to basista, multiinstrumentalista i aranżer. Od kilkunastu lat obecni na scenie w różnych projektach, wspólnie jako GGDuo aktywni dotychczas głównie w Internecie. Na ich youtube'owym kanale największą popularnością cieszy się singiel „Moja cisza", który w ciągu trzech lat był odsłuchiwany ponad 3 mln razy.

Niedawno małżeństwo wydało pierwszą wspólną płytę. Na albumie, który także nazwano „Moja cisza", oprócz najpopularniejszego singla znalazło się 14 innych autorskich kompozycji, które w całości – od muzyki poprzez teksty do aranżacji i wykonania – są dziełem Gabrieli i Wojciecha. Muzycznie polegają tylko na sobie, mimo że na albumie wykorzystują kilka instrumentów, w tym gitary akustyczne, basowe, instrumenty klawiszowe, perkusyjne, saksofon, kalimbę. Są na płycie utwory znane bywalcom ich youtube'owego kanału, ale są i kompozycje zupełnie nowe. „To zbiór kolorowych opowieści, które powstały na przestrzeni 10 lat naszego wspólnego życia. Powstawały w różnych okolicznościach, miejscach, były nagrywane w różnym czasie i na różne sposoby… ale łączy je to, że wydarzyły się naprawdę!" – piszą.

Wszystkie utwory na płycie to zapis małżeńskich, a w zasadzie rodzinnych doświadczeń. „Gdyby Słońce wiedziało" poświęcone jest synowi Gabrieli i Wojciecha. Gabi śpiewa: „Gdyby Słońce wiedziało, ach gdyby wiedział wiatr / Co serce przeżywało, gdy przyszedłeś na ten świat […]. Życie darowane to zaledwie kilka chwil / Wiem, że kiedyś stąd wyjedziesz na tysiące mil / Lecz proszę, zapamiętaj te słowa, synu mój / Ten rodzinny dom zawsze będzie także Twój". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Przebudzenie

Muza i życiowa partnerka Serge'a Gainsbourga nagrała pierwszy od 12 lat album z premierowym materiałem. Jest to najbardziej emocjonalna i prawdopodobnie najlepsza z jej płyt. Birkin napisała w 1990 r. sztukę, która później przeistoczyła się w książkę, a na koniec w film. Piosenki, będące rodzajem osobistego pamiętnika, powstały właśnie z myślą o filmie. Inicjatorami nagrania albumu byli przyjaciele, kompozytorzy i producenci: Étienne Daho i Jean-Louis Piérot. Nie tylko sprawili, że Jane wróciła do studia, lecz także wspólnie stworzyli dzieło wybitne.

Birkin napisała 13 tekstów układających się w dramatyczną opowieść o „pustce, strachu przed miłością, duchach z przeszłości oraz wychodzeniu z impasu i powrocie do życia". Przykładowo, w trzeciej piosence „Papierosy" z bólem śpiewa o samobójczej śmierci najstarszej córki Kate Barry.

Daho i Piérot stworzyli melodie i aranżacje odnoszące się do twórczości byłych partnerów Birkin. Pierwszy mąż, John Berry, był słynnym kompozytorem muzyki filmowej (m.in. do 11 filmów o Jamesie Bondzie). Muzyka na płycie jest jednak czymś więcej niż zbiorem pastiszów. Bez wątpienia życie Jane zdominowali jej mężczyźni, ale też ona miała wyraźny wpływ na ich twórczość. Dlatego muzyczny pamiętnik artystki musiał być napisany nutami, które współtworzyły jej życie. Dzięki temu zabiegowi otrzymujemy atrakcyjną całość, która jest po prostu poruszająca. ©℗

★★★★★★

JANE BIRKIN
„OH! PARDON, TU DORMAIS…"
UNIVERSAL

★★★★☆☆

LESZEK CICHOŃSKI & FRIENDS
„THANKS JIMI SYMPHONIC"
LC

Największy propagator muzyki Hendriksa w Polsce wydał płytę koncertową z utworami mistrza zaaranżowanymi na zespół rockowy i orkiestrę symfoniczną. Śpiewają Malford Milligan i Jorgos Skolias. Brzmi to momentami porywająco, a lider wymiata zacnie na gitarze.

★★★★☆☆

TAYLOR SWIFT
„EVERMORE"
REPUBLIC

Pięć miesięcy po ukazaniu się introspekcyjnej płyty „Folklore" (album roku magazynu „Rolling Stone") otrzymujemy suplement. Swift jest tu bardziej wyluzowana. Bawi się narracjami, emocjonalnymi kolorami i używa wulgaryzmów. Płyta do kontemplacji. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

„Dziady" 2020 – noc pierwsza

Grzegorz Kondrasiuk

Czy w „Dziadach" Adama Mickiewicza cokolwiek jeszcze zostało dla „nas", dla wspólnoty?

„Dziady – Noc Pierwsza", reż. Piotr Tomaszuk, teatr Wierszalin. Premiera teatralna: 29 października 2016 r. Premiera realizacji telewizyjnej: TVP Kultura, 17 listopada 2020 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niepostrzeżenie Telewizja Polska zamieściła na swoim VOD świeżo zarejestrowane Mickiewiczowskie „Dziady" z teatru Wierszalin, w reżyserii Piotra Tomaszuka. Spektakl ten (w dwóch osobnych częściach, dwóch „Nocach") grywany był od paru lat na skromnej, macierzystej scence w Supraślu i w końcu doczekał się premiery na naprawdę szeroką skalę. Wydarzenie to przemknęło właściwie bez odzewu. Nie chodzi mi nawet o chór krytyków zestrojony w nabożnym podziwie czy wręcz przeciwnie – o ostre krytyków połajanki. Raczej o zamilczanie, poczucie niestosowności zajmowania się „Dziadami" w ogóle (a tymi „Dziadami" to już szczególnie) jako tematem niepoważnym, bo przecież nie o tym teraz rozmawiamy, a zresztą, jeśli już okrzyknęliśmy Tomaszuka „PiS-owcem", to nie ma sensu w ogóle o nim wspominać… A przecież uczono „nas", że „Dziady" to jest archetyp „naszej" kultury. Że ponoć każde pokolenie powinno mieć swoje „Dziady", że wystawianie „Dziadów" może wywołać dziejowy przełom. Znamy to na wyrywki: „Dziady" jako arcydzielny archetekst, poprzez którego pryzmat – najlepiej w teatrze – zwykliśmy oglądać stan zbiorowej tożsamości i tak dalej… To niemówienie o „Dziadach" wiele o „nas", o „naszym" dzisiaj, mówi, bo stoi za nim oczywiste pytanie: Czy właściwie w „Dziadach" Adama Mickiewicza cokolwiek jeszcze zostało dla „nas", dla wspólnoty?

„Noc Pierwsza" w opracowaniu Tomaszuka wychodzi od części II i IV, ale z tych ludowych, obrzędowych, wileńsko-kowieńskich „Dziadów" ostało się tekstu doprawdy niewiele. Prawie nic, ale jednocześnie – jak wiele, chciałoby się zakrzyknąć. Oto pojawia się na scenie reżyser-aktor, Guślarz-Piotr Tomaszuk: długowłosy, siwy, szalony, do roli tej niepotrzebujący kostiumu czy charakteryzacji. Słynne wołania w stronę zaświatów, to „ciemno wszędzie, głucho wszędzie" wypowiada półprywatnie, jak gdyby do siebie, a nie po to, by przywoływać „czyśćcowe duszeczki". Siada przy stole, przy świecy, odpala od niej zapałkę za zapałką, spala suche pęki włókien. I celebruje – może mistyk, może wariat zamknięty we własnym mieszkaniu. Smakuje sam akt wypowiadania, szuka tonu, własnej melodii w wibrującym, niskim, głębokim szeptaniu – i najwyraźniej nie przewodzi żadnej wspólnocie. Guślarz bez wspólnoty? A może raczej próbujący wspólnotę sobie przypomnieć, raz jeszcze ją wywołać? Może to jest trop, właściwy pomysł na współczesne „Dziady" – w których wszyscy jesteśmy, tu, w Polsce, Guślarzami, i sami z siebie wywołujemy czyśćcowe duszeczki, by się ich – na ogół bezskutecznie – pozbyć? Idę za daleko? Piszę zbyt patetycznie? Mniejsza, po prostu uważam tę scenę za znakomitą – właśnie przez jej prostotę, robienie teatru z tak niewielkiej ilości elementów, tak bardzo elementarnych i dotykalnych.

Inkantacje Guślarza są tu jeszcze jednym mickiewiczowskim monologiem, przywołuje on nie tylko duchy, ale i wszystkie inne postaci arcydramatu. Tomaszuk, uderzając w struny cymbałów, uruchamia akcję pomiędzy postaciami z IV części „Dziadów". W izbie księdza (Dariusz Matys) pojawia się Gustaw (Rafał Gąsowski) i przekonujemy się, że sceniczne życie Mickiewicza wciąż jest możliwe. Spektakl został zmyślnie przykrojony do wielkiego sporu kapłana z upiorem, Wiary i Negacji. Aktorzy grają go jak demony, niesieni tekstem – a raczej dają przez siebie przepłynąć frazom Mickiewicza, tym nieskazitelnym kadencjom swobodnie wędrującym przez wszelkie możliwe rejestry, od pobożnego przestrachu, przez zjadliwą ironię, bolesne wyznania i tak dalej – wiadomo przecież. Szybko mijają trzy mickiewiczowskie godziny, wyznania o miłosnym rozczarowaniu Gustawa brzmią stylowo i archaicznie zarazem i wielkim jest pytanie, jaki jest właściwie ich związek z rzeczywistością i czy to cokolwiek zmienia – jeśli żaden. Ale wtedy powraca zupełnie inna opowieść, pada wciąż aktualne pytanie o to, czy naprawdę odczarowano nasz świat, czy resztki wiary porwały nam ręce niewidocznych złodziei. Narasta polifoniczny śpiew świadkujących tym wszystkim scenom Dzieci/Duszyczek czyśćcowych, wywiedziony z prawosławnej modlitwy do Bogurodzicy. Migoczą obrazy pobożnego ludu, pielgrzymującego na kolanach do świętych obrazów. W centrum sceny znów pojawia się Guślarz, wprawia ten cały świat w wirowanie i korzystając z teatralnej magii, razem ze słowami: „A kysz!" w jednej sekundzie każe mu zniknąć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Ryszard Legutko

Brzydka twarz Unii

Napięcie między Unią Europejską a Polską, które obserwujemy od czasu objęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość w roku 2015, dobrze pokazało stan i mechanizmy dzisiejszej polityki europejskiej. Ważne jest, by patrzeć na tę politykę bez uprzedzeń i bez sentymentalizmu

FOT. ADOBE STOCK

Czego zatem dowiedzieliśmy się o dzisiejszej Unii Europejskiej z tego trwającego już ponad pięć lat napięcia?

1. Przede wszystkim odkryliśmy – i było to odkrycie bulwersujące – że Unia Europejska notorycznie lekceważy literę i ducha traktatów. Dwukrotne odrzucenie, w latach 2014 i 2018, przez służby prawne Rady Unii Europejskiej tzw. mechanizmu praworządności jako jawnie sprzecznego, między innymi, z artykułami 5 i 7 TUE, nie spowodowało cofnięcia się instytucji europejskich ani wielu rządów Europy Zachodniej. Obecna próba siłowego wprowadzenia tego mechanizmu przy okazji ustanawiania budżetu pokazuje, że rządzący Unią nie uznają barier w narzucaniu swojej woli. Charakterystyczne jest, że już nawet nie próbuje się prawnie uzasadniać czegoś, co w istocie jest bezprawiem. Obecnie mamy wyłącznie manifestację siły. Postępowanie UE w sprawie tzw. praworządności jest tylko kolejnym przykładem przyjętej praktyki łamania traktatów, a wszystko wskazuje na to, że ta praktyka będzie ogarniać coraz większe obszary życia europejskiego.

2. Główna przyczyna takiego stanu rzeczy jest jasna. Instytucje europejskie od wielu lat są rządzone przez jedną szeroką konstelację polityczną. Najbardziej widać to w Parlamencie Europejskim, gdzie alians Europejskiej Partii Ludowej, Socjalistów, Liberałów, Zielonych, a czasami dodatkowo i Komunistów, przejął całkowitą kontrolę nad życiem parlamentu, od zatrudniania sprzątaczek do obsadzania najważniejszych stanowisk. To oni decydują, czy zgodzić się na udział przedstawicieli innych grup w strukturach politycznych, czy otoczyć je kordonem sanitarnym. Są w stanie przegłosować każde stanowisko, jakie im odpowiada, i odrzucić w głosowaniu każde stanowisko dla nich niewygodne. Powstała klasyczna, niemal podręcznikowa tyrania większości, a więc jedno z najbardziej niebezpiecznych i perfidnych politycznych schorzeń życia politycznego.

3. Ta konstelacja polityczna objęła swoim posiadaniem wszystkie instytucje europejskie, nadając im jednoznacznie stronniczy, partyjny charakter. Dotyczy to Komisji i Rady, a także, niestety, Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który tę wytyczoną politycznie linię realizuje. Stąd bierze się rosnąca brutalizacja europejskiej polityki, a jej ofiarą padają podstawowe normy, na jakich budowano w świecie zachodnim dobry porządek polityczny. Złamano zasadę podziału władz i łamie się demokratyczne reguły. Te same siły polityczne mają więc władzę wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą. Komisja Europejska przyjmuje funkcję prokuratora, sędziego i egzekutora, przy akceptacji wszystkich głównych podmio-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

tów. Przy próbach przeciwstawienia się temu w procedurach odwoławczych ci, których się obwinia, stają się sędziami. Podważa się, a nawet stara obalić układ polityczny wyłoniony w wyniku demokratycznych wyborów w państwach członkowskich, o ile tylko ten układ nie jest chroniony przez rządzący w UE alians partii politycznych i opanowane przez nie instytucje. Owo polityczne przymierze europejskie antagonizuje więc, na przykład, polską sytuację wewnętrzną, wspierając opozycję – tak jakby wybory polskie nie miały znaczenia i wynik ich należało uczynić bezsilnym – a jednocześnie podważa instytucje państwa polskiego przez wywieranie nacisku i podburzanie przeciw nim Polaków. Doszło do faktycznego usankcjonowania mechanizmów niedemokratycznego ingerowania w demokratyczne procesy w państwach członkowskich.

4. W wyniku tych działań Unii postępuje centralizacja, realizowana prawem i lewem, a częściej lewem przez metodę faktów dokonanych, sankcjonowaną hasłami „harmonizacji" oraz „coraz bardziej jednoczącej się Unii". Wzmacnianie instytucji europejskich i wspieranie ich w przejmowaniu nowych kompetencji, choćby wbrew traktatom, prowadzi stopniowo do powstawania superpaństwa, lecz szczególnego rodzaju, a mianowicie takiego, którym de facto zarządzają państwa najsilniejsze. Instytucje europejskie dysponują wątłym mandatem demokratycznym, a więc mają również same z siebie niewielką władzę realną, niezależnie od tego, co traktaty przyznają im na papierze. Jeśli zdobywają tej realnej władzy więcej, to dlatego, że wielcy gracze im ją przekazują. Komisja Europejska nie wzmocniła się sama z siebie, lecz tylko z tego powodu, że koalicja głównych partii europejskich oraz najsilniejsze państwa jej tę władzę dały. W wyniku centralizacji Unia przemienia się w rządy silnych, co oznacza spychanie do roli podrzędnej krajów politycznie słabszych, zwłaszcza z Europy Wschodniej. Zapisy traktatowe, które stanowiły podstawową ochronę dla tych krajów, takiej ochrony już nie gwarantują. Kraje silne i instytucje europejskie mówią otwarcie – tak jak w przypadku polsko-węgierskiego weta – o chęci złamania woli opornych i grożą bezceremonialnym obejściem procedur. Gdyby do tego doszło, rządząca w Unii większość bez oporu taki gwałt zaakceptuje, a wszelkie odwołania od podjętych decyzji zostaną odrzucone.

5. Tyrania większości w Europie jest możliwa również z tego powodu, że spaja ją jedna ideologia, a jest to ideologia lewicowa. Prawa strona europejskiej polityki, przede wszystkim partie określane kiedyś jako chrześcijańsko-demokratyczne czy konserwatywne, skapitulowały przed lewicą i podporządkowały się jej programowi. Partie nominalnie prawicowe i centrowe, na przykład te grupujące się w Europejskiej Partii Ludowej, zarzuciły wszystkie idee, które w przeszłości odróżniały je od lewicy: ochronę państwa narodowego, zasadę pomocniczości, troskę o rodzinę i małżeństwo, przywiązanie do obyczaju, nawiązywanie do dziedzictwa chrześcijaństwa i do norm moralnych wywodzących się z klasycznej tradycji europejskiej, klasyczny model wychowania i wykształcenia, odrzucenie inżynierii społecznej. Nic z tego nie zostało i nawet najwprawniejsze oko nie dostrzeże różnicy między EPL a Socjalistami czy Liberałami. Europejska Partia Ludowa jest wyłącznie strukturą władzy, lecz ideowo całkowicie zależną od lewicy. Chętnie uczestniczy w ideologicznych krucjatach i nagonkach, włącza się w rewolucję moralną z jej neobolszewickimi praktykami, świetnie znajdując się w lewicowej inżynierii społecznej i polityce gwałcenia traktatów. Wybór na przewodniczącego EPL Donalda Tuska – człowieka niemal doskonale wolnego od jakichkolwiek zasad i powściągów – jest tylko symbolicznym wyrazem tego stanu rzeczy.

6. Tyrania większości spowodowała, że od pewnego czasu praktycznie zniknęła możliwość rzetelnej debaty nad stanem Unii i kierunkami zmian. Znajdujemy się w wielkim pudle rezonansowym, gdzie jeden i ten sam głos wypowiadający jeden i ten sam zestaw opinii rozbrzmiewa z wielu stron. Lewicowa ideologia nie znosi sprzeciwów, tak jak zresztą nigdy w swojej historii ich nie znosiła. Krytyków się potępia, obraża, marginalizuje i zastrasza, a Komisja Europejska szykuje kolejne narzędzia służące temu celowi. Jednocześnie Unia toleruje, a nawet popiera wszelkie formy zdziczenia obyczajów – choćby to, które ostatnio opanowało polskie ulice – byle tylko osłabiało ono konserwatywną tkankę europejskich społeczeństw. Obecnie Unia przygotowuje się do kolejnego kroku, planując wielką wielopoziomową i wieloetapową konferencję o przyszłości Europy, która to konferencja ma być gigantycznym spektaklem aprobaty dotychczasowych praktyk oraz przygotowaniem do kolejnego skoku federalistycznego. Konferencja jest pod całkowitą kontrolą rządzącej Unią koalicji politycznej i – jak można było się spodziewać – pomyślana jest zgodnie z dotychczasowymi praktykami Unii: ma poprzeć to, co i tak już zdecydowano, debaty będą pozorowane, a głosy krytyczne jako „antyeuropejskie", jeśli w ogóle się tam znajdą, to zostaną zignorowane.

Unia Europejska wymaga pilnej i zasadniczej reformy. Obecna mieszanka ideologicznego fanatyzmu, cynizmu oraz brutalnej polityki siły, osłonięta kłamliwą nowomową stanowi śmiertelne zagrożenie dla europejskiego projektu. Konkretne pomysły reformy Unii Europejskiej przedstawione zostaną podczas serii konferencji, które w stolicach europejskich organizuje Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w najbliższych miesiącach. Nadszedł czas na prawdziwą debatę, nie pozorowaną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ryszard Legutko jest filozofem, profesorem nauk humanistycznych i przewodniczącym frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR).

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Rafał A. Ziemkiewicz

Na salonach nic nie cieszy się takim popytem jak męczeństwo i tylko ten popyt jest w stanie wyjaśnić logicznie wszystkie prowokacje antypisu

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Pięć lat we własnym sosie

Po pięciu latach spędzonych w opozycji formacja lewicowo-liberalna jest w opłakanym stanie. Do tego stopnia, że nawet Andrzej Olechowski, swego czasu jeden z założycieli PO i człowiek pozbawiony jakichkolwiek powodów, by sympatyzować z obecną władzą, w wywiadzie dla antypisowskiego Onetu nie zostawia na głównej partii opozycyjnej suchej nitki, posuwając się do stwierdzenia, że „wdepnięcie" w jej rządy byłoby dla Polski perspektywą gorszą niż trwanie u władzy PiS.

Słabość opozycji politycznej jest oczywista: brak wizji, brak pomysłów, bierne reagowanie na działania władzy, według prostych odruchów „zawsze być na nie" i „im gorzej, tym lepiej". A do tego kompletna utrata kontaktu z nastrojami i oczekiwaniami społeczeństwa, która doprowadziła do zdominowania opozycji parlamentarnej przez ulicznych radykałów.

W parze z tym idzie jednak także słabość intelektualnego zaplecza. Tu również trwa równanie w dół, a poklask wzbudza licytowanie się w wulgarności, agresji i okazywaniu pogardy „tej drugiej, gorszej połowie Polski". Żadnych wątpliwości, żadnych refleksji, jedyną akceptowaną na salonach odpowiedzią na kolejne klęski jest stwierdzenie: „Bo byliśmy dla nich zbyt uprzejmi" i wynikające z tego szukanie jeszcze mocniejszych środków wyrazu na okazanie wyższości „europejskich" elit nad katolicką, polską ciemnotą.

ZANIK POCZUCIA OBCIACHU

Święta bardzo to obnażyły. Bardzo charakterystyczny był „zaangażowany" spot „Wolnych sądów". Rzecz nawet nie w tym, że choinka została tu obwieszona hasłami o „j...niu PiS" i użyta jako pretekst do politycznej agitki. Rzecz w tym, że agitka ta ma mniej więcej tyle wdzięku i intelektualnego szlifu, co żarty z „syjonistów" w PRL-owskim tygodniku „Karuzela" czy satyry na zachodnich imperialistów w sowieckim „Krokodylu". A przecież grafomańską rymowankę czyta znakomity aktor Krzysztof Gosztyła, jako aktorzy występują znani prawnicy, a całość firmuje Andrzej Saramonowicz, niegdyś sprawny twórca popularnych komedii.

Reakcja wspomnianych prawników na głosy krytyki, które podniosły się także ze strony zażenowanych takimi życzeniami przeciwników PiS, pokazała, że gwiazdom palestry udzielił się podobny zanik poczucia obciachu, jaki swego czasu tknął liderów strajku nauczycieli, którzy przebierając się na YouTube za krowy i śpiewając o strzelaniu pioruna w prącie, byli podobnie zachwyceni sobą i przekonani, że szampańska lekkość ich „antyreżimowych" żartów budzi powszechny entuzjazm. Brak tego entuzjazmu najwyraźniej zabolał nieformalnie rzecznikującego rebelii prawników mecenasa Wawrykiewicza, który w odpowiedzi na krytykę upowszechnił w mediach społecznościowych wzorcową apologię spotu z „Gazety Wyborczej" – apologię, zgodnie z którą krytykanci po prostu są w najlepszym razie „pożytecznymi idiotami" PiS, bo szkodzą w walce z „brutalnością policji, kolejkami do szpitali, oszukańczymi wyborami, kłamliwą propagandą i niszczeniem wolnych sądów". Zgodnie z wykładnią gazety – jakże jednoznacznie kojarzącą się pokoleniu, które pamięta jeszcze „sztukę zaangażowaną" czasów „realnego socjalizmu" – waga sprawy, o którą walczą wolne sądy, sama z siebie zapewnia służącemu tej walce dziełu godny szacunku poziom artystyczny i intelektualny.

BEZ WĘCHU, BEZ SMAKU

Sama „Gazeta Wyborcza" jest też doskonałym przykładem merytorycznego kolapsu liberalnej lewicy w Polsce rządzonej przez PiS. Analogicznie do

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

świata polityki, w którym Borys Budka i Włodzimierz Czarzasty wraz ze swymi partiami stali się tylko tłem i pudłem rezonansowym dla prymitywnej i wulgarnej baby z aborcyjnych zadym, także w mikroświatku michnikowszczyzny (czy może już – postmichnikowszczyzny?) funkcję działu politycznego przejął dodatek „Wysokie Obcasy". W żaden sposób nie zapobiegł temu fakt, że wszystkie dotychczasowe inicjatywy redakcji „kobiecego" dodatku szły pod prąd społecznym nastrojom (dla zdecydowanej większości Polek, jak również całego społeczeństwa, aborcja nie jest „OK" i może być akceptowana jako mniejsze zło, ale nie kiedy firmuje ją celebrytka, która zabiła swe dziecko, by uniknąć przeprowadzki). W te święta mieliśmy więc prowokacyjną okładkę z Matką Boską ucharakteryzowaną na zwolenniczkę aborcji, obrzydliwy artykuł o rodzącej w garażu Maryśce i pijanym Józku, zilustrowany świąteczną szopką i parę pomniejszych przekroczeń.

Opozycyjne salony zatraciły nie tylko smak, lecz także węch – jeśli można tym drugim słowem nazwać elementarną polityczną racjonalność. Pomijając już, że kolejne antykatolickie prowokacje i wykwity nienawiści do Kaczyńskiego, biskupów, policji oraz TVP są coraz większą żenuą i „cringe'em", nie sposób zrozumieć, czemu mają one służyć. Weźmy za przykład generalną zmianę linii propagandy proaborcyjnej, jaka dokonała się za sprawą „Wyborczej" i ustalających jej narrację w tej sprawie „Obcasów". W czasach Labudy i Sierakowskiej symbolem aborcji czyniono przypadki skrajnej biedy, rodzinnych patologii, gwałtów, najchętniej kazirodczych. Słowem, pokazywano aborcję jako mniejsze zło, smutną konieczność, i dla dużej części społeczeństwa, zwłaszcza wobec jego PRL-owskich przyzwyczajeń, było to przekonujące (w latach 90. sondażowe poparcie dla aborcji na życzenie wynosiło 70 proc., obecnie – 20 proc.). Teraz lewicowe „środowiska opiniotwórcze" usiłują wmówić, że „aborcja jest OK", że jest to przeżycie „fajne", którym można się chwalić i rozpamiętywać je z przyjemnością. Kolejne lewicowe działaczki opowiadają o swych aborcjach („odejściu skrzepów" – przepraszam, ale takim językiem rzeczniczki „praw reprodukcyjnych" się posługują) z dumą i podnieceniem, do jednej dołączył nawet „narzeczony", wyrażający smutek, że „tamtą aborcję" miała partnerka z kim innym, i nadzieję na kolejną już z nim. W połączeniu ze wspomnianą bohaterką roku, celebrytką, dla której aborcyjny wyjazd za granicę był mniejszym kłopotem niż przeprowadzka i wspominającej „cudowne uczucie ulgi", raczej odrzuca to potencjalnych politycznych sojuszników od lewicowo-liberalnego „hardkoru" opozycji, niż jest w stanie kogokolwiek do obozu anty-PiS przyciągnąć.

Równie przeciwskuteczne wydaje się radykalizowanie retoryki i zachowań, całe to „j...nie" i „wyp.....lanie", na którym zafiksowała się opozycja, epatowanie deklarowanym „wk...ieniem" działaczy i działaczek czy zapewnianie, że „to jest wojna". Zresztą przy jednoczesnym jojczeniu i labidzeniu, ilekroć deklarujący wojnę zadymiarze zetkną się z bodaj odrobiną elementarnej stanowczości. Fiasko masochistycznej akcji rzucania się starszych pań pod nogi uczestników Marszu Niepodległości, by potem paradować przez jeden dzień w kołnierzu ortopedycznym i udawać ciężko pobitą, niczego nikogo nie nauczyło, podobnie jak pośmiewisko, jakim stał się udający „ofiarę brutalności policji" Wojciech Diduszko. Trudno się opędzić od skojarzenia z Mrożkowskim „wybili, za wolność wybili" – z tą różnicą, że bohater Mrożka przynajmniej naprawdę zęba nie miał, a męczeństwo „bitych przez policję kobiet", „porwanych i przetrzymywanych w nieznanym miejscu" homoaktywistów czy „masowo popełniających samobójstwa zaszczuwanych dzieciaków" nieodmiennie okazują się wyssane z palca, jak „oblanie kwasem" Kuby Wojewódzkiego czy „skatowanie" Dawida Winiarskiego, który nazajutrz po swej męczeńskiej fotografii na fejsie pod kroplówką i ortopedycznymi wyciągami skakał już na kolejnej „manifie".

Na salonach nic nie cieszy się bowiem takim popytem jak męczeństwo i tylko ten popyt jest w stanie wyjaśnić logicznie wszystkie owe prowokacje. Profanując świętości, obrażając uczucia i dobry smak normalnych ludzi, niecierpliwie oczekują aktywiści anty-PiS jakiejś reakcji, by przedstawić ją jako prześladowanie. A jeśli już uda się zaliczyć mandat, wizytę policji czy wezwanie z prokuratury, to tworzący salon wybitni intelektualiści, profesorowie, artyści i celebryci doznają ataku rozkoszy graniczącej z orgazmem.

Być może jest w tym jakieś racjonalne wyrachowanie – opowieści o prześladowaniach pozwalają skutecznie wyłudzać zarówno od Zachodu, jak i od rozhisteryzowanego „żelaznego elektoratu" kolejne pieniądze na „walkę o demokrację", z których coraz liczniejsza rzesza aktywistów przyzwyczaiła się żyć równie wygodnie, jak niekoronowany, ale wyjęty spod wszelkiej krytyki król spryciarzy, „Margot", ze swoim „niebinarnym" haremem i milionowymi zbiórkami. Dominującą motywacją wydaje się jednak masochizm. Kultywowaniem w sobie poczucia krzywdy, doznawanej nieustannie od wspierających „reżim" katolików i „faszystów", krzepi „elity" poczucie swojej wyższości, której przewrotnym dowodem ma być właśnie to, że jest – a przynajmniej stara się, jak może, by być – nienawidzona przez „ciemnotę".

BEZBRONNI WOBEC SZALEŃSTWA

Wszystko to z miesiąca na miesiąc pogrąża się w emocjonalnym kolapsie. Obóz lewicowo-liberalny od zawsze odmawia programowo dyskusji, sporu, wymiany argumentów z kimkolwiek o poglądach odmiennych – teraz jednak coraz bardziej skupia się na tropieniu i tępieniu „nieprawilności" u siebie. „Funkcjonariuszy reżimu", „faszystów", „homofobów" etc. wskazują „liberałowie" już nie w mediach „PiS-owskich", ale własnych, w osobach takich jak Beata Lubecka czy Piotr Jedliński, o Rafale Wosiu nie mówiąc.

Przy czym, jak w każdej sekcie, ta doktrynerska gorliwość nie spotyka się z oporem, bo nad poczuciem zdrowego rozsądku czy bodaj instynktu samozachowawczego przeważa instynkt stadny i strach przed odrzuceniem. Jakieś półsłówko, ostrożne wyrażenie braku entuzjazmu – to wszystko, na co pozwolić sobie mogą nawet tak zasłużeni w szerzeniu antypisowskiej i antykatolickiej histerii „liderzy opinii", jak Waldemar Kuczyński czy Tomasz Lis. Reszta jest wobec szaleństwa bezbronna, zupełnie tak jak kiedyś „mienszewicy" i „eserowcy" byli całkowicie bezbronni wobec garstki eliminujących ich po kolei bolszewików, sparaliżowani zasadą „nie ma wroga na lewicy". Głos sprzeciwu wobec toczącego opozycyjne salony zbydlęcenia i sekciarstwa byłby „rozbijaniem jedności sił demokratycznych". A w dodatku groziłby wykluczeniem z jedynego świata, w którym, po pięciu latach kiszenia się we własnym sosie i wzajemnego podkręcania się w radykalizmie, nienawiści i pogardzie, „autorytety" opozycji żyć potrafią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Ofiary stanu histerii

Kolejka karetek z pacjentami przed SOR szpitala we Wrocławiu przy ul. Borowskiej, 8 października 2020 r. FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

Janusz Korwin-Mikke

Moje (i nie tylko moje – nie jestem jedynym człowiekiem trzeźwym na świecie) ostrzeżenia były puszczane mimo uszu. I oto doczekaliśmy się: zamiast 1,3 tys. ludzi dziennie umiera 2,4 tys. – i to nie na COVID-19

Zacznijmy od przedstawienia stanu faktycznego. Jesteśmy psychicznie wydelikaceni w stopniu przerażającym.

W latach 1918–1919 epidemia grypy A/H1N1 pochłonęła ok. 70 mln ofiar – i nie było nawet jednej dziesiątej tej paniki, która towarzyszy atakowi SARS-CoV-2 (1,6 mln ofiar). Doskonale pamiętam też epidemię grypy „azjatyckiej" w 1969 r. – nie było żadnej paniki ani lockdownów – było 25 tys. ofiar przy mniejszej populacji. Dzisiaj mamy 23 tys. (do marca dojdziemy do 30 tys.) – a cała Polska jest wprawiona w stan histerii.

W marcu 2019 r. tłumaczyłem: należy ludziom starszym i chorującym na płuca pomóc schować się w mysie dziury – a reszta kraju powinna funkcjonować normalnie. Umierało wtedy 20–30 osób dziennie. Gdyby „rząd" nic nie robił, umierałoby zapewne ok. 500 dziennie. Przez miesiąc.

Porównajmy dwa kraje – z innej półkuli, by uniknąć miejscowych aluzji: Stany Zjednoczone Brazylii i Stany Zjednoczone Ameryki. USA są niemal równo o połowę ludniejsze od Brazylii. JE Jair Mesjasz Bolsonaro, prezydent Brazylii, zakazał „totalnej walki z koronawirusem", wyrzucił ze stanowiska ministra zdrowia, który chciał robić jakieś lockdowny i kwarantanny. Wyzywano go od ludobójców. Obrazy z Brazylii, odpowiednio spreparowane przez głodne sensacji hieny dziennikarskie, budziły przerażenie na świecie...

Dla porównania w USA, kraju niegdyś wolnorynkowym i kapitalistycznym, za „walkę z koronawirusem" wzięły się prywatne korporacje, ale przede wszystkim wszechpotężne dziś państwo. Trzeba pecha, że (jak i w Polsce...) nadciągały wybory – więc JE Donald Trump, naciskany przez sforę lewackiej opozycji, prowadził naprawdę energiczną walkę...

Teraz efekty. W Brazylii z powodu COVID-19 rozstało się z tym światem 184 tys. ludzi. Po pomnożeniu dla porównania przez 1,5 otrzymujemy 276 tys.

A w USA zmarło 315 tys.

Co jeszcze ciekawsze: podczas drugiej fali ataku w Brazylii umiera dziennie 100–900 osób – a w USA 1,5–3,4 tys.

Dokładnie to samo jest w Europie. Cztery razy mniejsza od Polski Szwecja nie robiła w tej sprawie prawie nic (pewne ograniczenia jednak były) i przez trzy miesiące zmarło prawie 6 tys. Szwedów. W tej chwili umiera dziennie od 0 (zera) do 30 osób i przekroczyli już 7 tys. zgonów. Co ciekawe: mimo znakomitych wyników premier królestwa trzech koron ogłosił, że... strategia była zła i trzeba przyostrzyć! (oczywiście chodzi o postraszenie Szwedów, by się szczepili...).

Tymczasem w Polsce prezydent, parlament i zwłaszcza „rząd" ogłaszali lockdowny, kwarantanny, zamykali całe województwa i całe branże – by nie wspomnieć o egzekwowanym przez policję (!) obowiązku chodzenia w maseczkach (wielu Szwedów też je zresztą dobrowolnie nosiło). Efekt: mamy 23 tys. zgonów (trochę mniej na głowę niż w Szwecji), ale za to ostatnio przez dwa tygodnie Polska (na zmianę z Węgrami) utrzymywała się na pierwszym miejscu na świecie w liczbie zgonów na głowę (niekiedy ponad 600 zmarłych dziennie!) i niedługo Szwecję przegonimy.

ŁUKASZENKA MIAŁ RACJĘ

Ciekawym przykładem jest sąsiednia Białoruś. Działano tam jak w Szwecji i Brazylii – i liczba zgonów była znacznie mniejsza i nadal jest minimalna. JE Aleksandr Łukaszenka twierdził, że remedium są sauna i wódka. I w pewnym sensie miał rację...

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Chodzi o to, że koronawirus zabija przeważnie ludzi starszych. Przeciętny Szwed umiera, mając lat 80. – a Białorusin, z powodu nadmiernego picia wódki i gorszej opieki lekarskiej – ok. 60. Potencjalne ofiary koronawirusa na Białorusi po prostu zdążyły umrzeć na co innego!

Aha: w Polsce ludzie też żyją krócej niż w Szwecji. Jeśli wziąć na to poprawkę, to już przegoniliśmy Szwecję w liczbie zgonów na głowę.

Jak z tego widać, działania rządów nie mają większego wpływu na śmiertelność od nowej zarazy. Po prostu wszyscy muszą się z nią zetknąć i nabrać odporności – a część przy tym umrze. Starsi ludzie mogą zwiększyć swoje szanse, separując się, aż całość populacji adaptuje się do nowej sytuacji – i tyle. Ale to oni muszą robić – a nie „rząd" za nich.

Dla normalnego człowieka, wychowanego na Spencerze, Darwinie i Hayeku, jest to oczywiste. Jednak w d...kracji i socjalizmie panuje ciemnota i 99 proc. „obywateli", jeśli coś słyszało o którymś z tych gentlemanów, to to, że „człowiek pochodzi od małpy". Tyczy się to niestety również rządzących – gdyż pochodzą z wyborów, a wyborca nie znosi ludzi mądrzejszych niż on sam.

Proszę zauważyć, że według powszechnej opinii elektorat PiS jest znacznie bardziej – hm... prostoduszny od elektoratu PO – ale to politycy PO wręcz histerycznie domagali się od PiS-owskiego „rządu", by „robił w tej sprawie jak najwięcej", oskarżając go o wszelkie zaniedbania – czyli zmuszając do działań odwrotnych niż na Białorusi, w Brazylii i Szwecji! Konfederacja była traktowana jak grupa dziwaków i maniaków. A zimnokrwisty Skandynaw, prof. Andrzej Tegnell, autor „szwedzkiego cudu", do dziś jest traktowany nieco podejrzliwie (natomiast Bolsonaro jest teraz w Brazylii ludowym bohaterem, który sam przeciwstawił się bandzie intelektualistów i populistów!).

Dla usprawiedliwienia rządzących dodam, że byli oni oszukiwani przez swoich doradców. Szokiem dla mnie było, gdy główny doradca „rządu", profesor medycyny, oświadczył na naradzie u premiera, że „Szwecja już odchodzi od swoich metod, przeprasza i wprowadza ograniczenia". Było to na drugi dzień po tym, gdy Szwecja zmniejszyła ograniczenia na zgromadzenia (z 50 na 500 osób...). Do dziś nie wiem: świadomy oszust czy po prostu uwierzył (bo bardzo chciał wierzyć) jakiemuś pokątnemu dziennikarzynie?

Teraz uwaga ogólna. To, że poczynania parlamentów i rządów przynoszą skutki na ogół szkodliwe, czasem obojętne, zazwyczaj odwrotne do planowanych – jest oczywiste dla każdego wykształconego człowieka. Widać to najlepiej w ekonomii. Jeśli np. JE Donald Trump wprowadza cło na chińską tanią stal, to straty przemysłu samochodowego i nabywców samochodów muszą być większe niż zyski stalowników. Tyle że stalownicy zagłosują na Trumpa – a samochodziarze nie będą wiedzieli, że ich straty spowodowało to właśnie posunięcie; zresztą stracą po kilkadziesiąt dolarów, a stalownicy zarobią po parę tysięcy...

WIĘCEJ, ALE STRAT

Dlatego władze mają parcie na aktywizm. Żyjemy przy tym w d...kracji, czyli pod rządami idiotów – i 95 proc. wyborców przy każdej okazji domaga się od „rządu", by zrobił COŚ (w danej sprawie). I rządy muszą to robić, by wygrać następne wybory (a mogą przegrać, jeśli opozycja przekona wyborców, że ona by zrobiła więcej).

To, że to „więcej" oznacza w bilansie więcej strat, jest dla przeciętnego wyborcy nie do pojęcia. W d...kracji prawdziwie ludowej, jaką były Chiny za Mao Zedonga, nakazano ludności zabijać ptaki, które wydziobywały corocznie 8 proc. ziaren. Akcja była udana, ptaki wybito – tylko straty w zbiorach wyniosły 12 proc.; z powodu wszelkiego robactwa (uprzednio zjadanego przez ptaki...).

Straty wynikające z prowadzenia aktywnej polityki gospodarczej przez rządy wynoszą średnio 40 proc. („prawo Savasa" – ustalone empirycznie). Co oznacza, że na samej działalności objętej głosowanym niedawno budżetem Polska traci rocznie jakieś 180 mld zł – czyli rocznie ok. 24 tys. zł na pięciosobową rodzinę. Oczywiście, gdyby „rząd" i w pozostałych dziedzinach zastosował się do zasady „Laissez faire, laissez passer", która w XIX w. zapewniła ogromny postęp i wzrost bogactwa – to zysk byłby zapewne ze trzy razy wyższy. W obecnej sytuacji mamy dodatkowe straty (wcale nie takie wielkie – o czym pisałem!), które są spowodowane NIE przez SARS-CoV-2, tylko przez działania „rządu"!!!

Żyjemy w czasach niesłychanego bogactwa i można by machnąć ręką na te głupie 70 tys. zł na rodzinę rocznie – byle elity polityczne mogły brać wysokie pensje i łapówki (co muszą przecież usprawiedliwiać robieniem CZEGOŚ). Niestety: w tej sprawie chodzi o życie ludzkie.

Ostrzegałem w marcu i kwietniu, że wtedy na choroby poza-COVID-owe umierało mniej ludzi – ale za to za pół roku i rok będzie umierało znacznie więcej. Nic nie pomogło – jak zawsze zresztą. „Rząd" i parlament rozwijały w najgorsze przerażającą działalność polegającą na dezorganizacji opieki zdrowotnej, przekształcając normalne szpitale w „anty-COVID-owe", wprowadzając ograniczenia wizyt u lekarzy...

Rządzący w każdym państwie powinni już w szkole zapoznawać się z klasyczną książeczką śp. Fryderyka Bastiata „Co widać, a czego nie widać". W USA było widać zyski stalowników – a nie było widać strat samochodziarzy. Na drogach widać, że po podniesieniu wieku otrzymania prawa jazdy zmniejsza się liczba wypadków powodowanych przez młokosów, a nie widać, jak zwiększa się liczba wypadków przez dalsze 50 lat życia tego człowieka – dlatego że nauczył się jeździć za późno. Tu „widać" (zresztą słabo...) liczbę uratowanych chorych na COVID-19 – nie widać śmierci ludzi zmarłych na inne choroby.

AKTYWNOŚĆ RZĄDU

Moje (i nie tylko moje – nie jestem jedynym człowiekiem trzeźwym na świecie) ostrzeżenia były puszczane mimo uszu. I oto doczekaliśmy się: zamiast 1,3 tys. ludzi dziennie umiera 2,4 tys. – i to nie na COVID-19. Liczba zgonów z innych powodów (z reguły: brak odpowiedniej diagnozy i leczenia parę miesięcy temu) wzrosła o ponad 50 proc.!!! I będzie rosła dalej – bo „rząd" nie ustaje w swej (dosłownie) morderczej aktywności.

Chcę, by członkowie „klasy politycznej" uświadomili sobie, że są mordercami ok. 500 ludzi dziennie. Oczywiście: za głupotę się nie karze, więc unikną sądu – co najwyżej powtarzając: „Chcieliśmy dobrze – a wyszło jak zawsze...".

Nie – nie „jak zawsze". Tym razem nie zmarnowaliście paruset miliardów; tym razem zabiliście parędziesiąt tysięcy ludzi. Więcej, niż zginęło niewinnie na drogach podczas rządów III Rzeczypospolitej od 1989 r.!

Może ta świadomość wami wstrząśnie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, posłem Konfederacji.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Maciej Rosalak

Nie żywię nadziei, że ten tekst poznają sprawcy zbezczeszczenia figury Chrystusa na Krakowskim Przedmieściu. Nie zajmie ich też historia kościoła św. Krzyża. A jeśli któryś nawet to przeczyta, to czy będzie zdolny pojąć, jak dzieje tej świątyni i pomnika łączą się z najgłębszą treścią naszej polskiej historii? Czy zrozumie, co uczynił, profanując symbol drogi nie tylko Polakom-katolikom, lecz także całemu narodowi?

FOT. ADOBE STOCK

W drodze na Golgotę

Już z początkiem XVI w. stała w tym miejscu kaplica pod wezwaniem Świętego Krzyża, w 1525 r. zamieniona w niewielki kościółek. W 1615 r. rozbudowano go i po 11 latach stał się siedzibą parafii świętokrzyskiej. 1 grudnia 1653 r. objęli ją wraz z kościołem misjonarze św. Wincentego à Paulo. Po zniszczeniach dokonanych podczas potopu szwedzkiego zbudowano za czasów panowania Jana III Sobieskiego w latach 1679–1696 nowy kościół w stylu baroku, wedle projektu nadwornego architekta królewskiego Józefa Szymona Bellottiego.

Za czasów saskich późnobarokowe hełmy ustawiono (1737) na dwóch wyniosłych wieżach projektu Józefa Fontany. Fasadę zaprojektował jego syn Jakub (1756), a autorem fasadowych figur został Jan Jerzy Plersch. W 1704 r. po raz pierwszy właśnie w kościele św. Krzyża odprawiono „Gorzkie żale" – nabożeństwo pasyjne wprowadzone przez księży misjonarzy, występujące tylko w tradycji polskiej.

Ponad 300 lat świętokrzyski kościół trwa jak świadek i uczestnik wielkich, znaczących wydarzeń historycznych. Ołtarze, tablice, nagrobki upamiętniają wielkich Polaków, którzy tu spoczęli. Są między nimi Adam Kazimierz Czartoryski i Stanisław Małachowski. Przez trzy lata w dolnym kościele stała trumna ze zwłokami księcia Józefa Poniatowskiego, zanim w 1817 r. trafiła na Wawel. Ostatnią wolą Fryderyka Chopina tu znalazło spokój jego serce. Jest także serce noblisty – Władysława Reymonta. W tym narodowym sanktuarium umieszczono liczne epitafia i tablice upamiętniające m.in.: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Bolesława Prusa, gen. Władysława Sikorskiego. Żegnano tu przed pogrzebem: Stanisława Kostkę Potockiego, Edwarda Odyńca, Stanisława Moniuszkę, Karola Szymanowskiego, Pawła Jasienicę i innych.

W kościele św. Krzyża modlili się królowie – np. Jan III Sobieski przed wyruszeniem pod Wiedeń w 1683 r. Modlił się także nuncjusz apostolski abp Achilles Ratti – przyszły papież Pius XI – który nie uciekł jak inni dyplomaci przed bolszewikami z Warszawy w sierpniu 1920 r. W 1987 r. Jan Paweł II spotkał się w tym kościele podczas trzeciej pielgrzymki do ojczyzny z 1,5 tys. przedstawicieli środowisk twórczych. Homilia opierała się na słowach z „Promethidiona" Cypriana Kamila Norwida: „Bo piękno na to jest, by zachwycało do pracy – praca, by się zmartwychwstało".

MIMO MROKU ROZBIORÓW

1792 r. Stanisław August Poniatowski tu nadawał Ordery Świętego Stanisława, w pierwszą rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja odbyło się uroczyste posiedzenie Sejmu. Zwołano je zgodnie z Deklaracją stanów zgromadzonych sprzed roku:

„Dzień, w którym Konstytucyja ta przyjęta corocznie uroczyście obchodzony będzie, na pamiątkę tego i podziękowanie

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Bogu kościół pod tytułem Opatrzności ex voto Stanów wystawiony ma być. Na koniec wszystkich wszczynających rozruchy, szukających burzyć lub rozdwoić naród i robiących jakiekolwiek związki przeciw tej Konstytucyi za nieprzyjaciół ojczyzny deklarowano, na ukaranie zaś ich sąd sejmowy przeznaczono".

Niestety, tych, którzy „burzyć" chcieli dzieło 3 maja 1791 r., po roku przybyło i obchody przebiegały w atmosferze obaw przed zamachem stanu. Wbrew początkowym planom król udał się z zamku do kościoła św. Krzyża nie konno wierzchem, ale karocą, wśród szpalerów wojska. Prawo wejścia do świątyni mieli tylko posiadacze biletów: senatorowie i posłowie, duchowieństwo, ambasadorowie, wysocy urzędnicy państwowi i wybitni mieszczanie. Świeciły pustką miejsca dla posłów i senatorów właśnie zawiązujących konfederację targowicką oraz posła rosyjskiego.

Po marszałku Sejmu Wielkiego Stanisławie Małachowskim oraz marszałku wielkim koronnym Michale Mniszchu głos zabrał Stanisław August. Powiedział m.in.: „Cały Naród jednomyślnością swoją świadczy [...] ku utrzymaniu tej oto Ustawy Rządowej, a której dobroć uznaną wspierać, bronić i uwieńczyć wszyscy milionowi mieszkańcy królestwa są determinowani. Utrzymać ją, podać ją potomnym pokoleniom chcą, dlaczego? Bo pamiętają, że nie gwałt, nie przymus ją im przypisał, lecz własna chęć, z tego przekonanie, że prawdziwy i jedyny cel tworzenia tej nowej formy rządu nie był inny, tylko żeby wszyscy Narodu Polskiego współziomkowie równie byli uczestnikami udziału wolności i ubezpieczenia własności swojej".

Następnie zgromadzeni ruszyli na Jazdów, aby asystować przy wmurowaniu kamienia węgielnego pod Świątynię Opatrzności Bożej. Wieczorem Teatr Narodowy wystawił sztukę Juliana Ursyna Niemcewicza „Kazimierz Wielki", a pokaz sztucznych ogni wzbudził entuzjazm mieszkańców. Po raz ostatni mogli się tak cieszyć w swym mieście jako stolicy Rzeczypospolitej.

1850 r. Wypełniając ostatnią wolę umierającego brata Fryderyka Chopina (1849), jego siostra Ludwika przywiozła do Warszawy jego serce. Przekazała je do parafialnego kościoła rodziny Chopinów – kościoła św. Krzyża. W 1880 r. odsłonięto ufundowaną przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne tablicę poświęconą genialnemu pianiście i kompozytorowi z cytatem z Ewangelii „Gdzie skarb twój, tam serce twoje". Nad nim umieszczono popiersie wykonane przez Leonarda Marconiego.

Urnę z sercem Chopina, ewakuowaną podczas powstania warszawskiego do Milanówka, ponownie wmurowano w kościelny filar 17 października 1945 r. Uroczystości transmitowało na żywo Polskie Radio. Przedstawiciel stołecznej rady narodowej Wiktor Grodzicki oświadczył: „To prawda, stoimy wśród ruin, ale Chopin, gdyby ożył, z zapałem mógłby zagrać na tych ruinach swego poloneza. Byłby dumny ze swego narodu". Natomiast proboszcz parafii św. Krzyża ks. Leopold Pietrzyk powiedział w homilii: „Wraca serce Chopina na należne sobie miejsce, wraca to płomienne serce do stolicy, za którą ongiś tak gorąco na obczyźnie tęskniło i w której po śmierci spocząć pragnęło. Wraca więc, to gorąco kochające swą Polskę serce, na to miejsce, które mu tu nad Wisłą ongiś wybrał naród. Kościół św. Krzyża otrzymuje je dziś od narodu z powrotem".

1858 r. Figura Chrystusa dźwigającego krzyż stanęła przed kościołem na Krakowskim Przedmieściu w 1858 r. Pomysł ustawienia rzeźby na balustradzie schodów świątyni wysunął hr. Andrzej Zamoyski. Zamówienie złożył u rzeźbiarza Andrzeja Pruszyńskiego, twórcy licznych posągów i grobowców na warszawskich cmentarzach oraz epitafium Fryderyka Chopina we wnętrzu kościoła św. Krzyża. Artysta przedstawił Chrystusa upadającego pod krzyżem w drodze na Golgotę. Tak powstała w Warszawie pierwsza rzeźba polskiego artysty podczas carskiej niewoli. Początkowo była z cementu, który dość szybko kruszył się i pękał. Stanowiła łatwy cel dla wandali. W 1887 r. kilku pijaków po raz kolejny uszkodziło rzeźbę.

Oburzenie opinii publicznej spowodowało decyzję o odlaniu figury z brązu. „Wędrowiec" ogłosił zbiórkę funduszy, a wykonania odlewu podjął się w Rzymie sławny wówczas nasz rzeźbiarz Józef Pius Weloński. Rzeźba stanęła u wejścia do świątyni 2 listopada 1898 r. Nowy cokół z czarnego granitu, ze złoconym napisem „Sursum Corda", projektował Stefan Szyller. A cementową figurę Chrystusa umieszczono na grobowcu Lubomirskich w Kruszynie pod Wieluniem. Dzisiaj stoi przed tamtejszym kościołem parafialnym pod wezwaniem św. Macieja Apostoła.

1861 r. Od końca lutego 1861 r., gdy podczas manifestacji patriotycznej padło pięciu poległych, i masowej masakry demonstrantów na pl. Zamkowym 8 kwietnia, miejscem wyrażania uczuć narodowych stały się głównie kościoły. Gdy duszpasterstwo – z abp. Antonim Fijałkowskim na czele – nie chciało się zgodzić na zakazywanie wiernym śpiewania pieśni narodowych, a pogrzeb zmarłego 5 października pasterza stał się ogromną manifestacją niepodległościową, car Aleksander II wprowadził 14 października stan wojenny z surowymi zakazami okazywania patriotyzmu. 15 października – w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki – kościoły znów brzmiały wezwaniem „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie…".

Aby aresztować wszystkich znajdujących się tam mężczyzn, wojsko otoczyło wtedy trzy kościoły. Katedrę św. Jana oraz bernardyński kościół św. Anny sołdaci potwornie zdewastowali, bijąc stawiających opór Polaków. Trzeci był kościół św. Krzyża, który jednak wiernym udało się opuścić tylnym wyjściem. Na znak protestu przeciw brutalnemu atakowi i zbezczeszczeniu świątyń konsystorz archidiecezjalny zamknął wtedy warszawskie kościoły, a rabini – synagogi. Kościoły otworzył 13 lutego 1862 r. nowy, nastawiony początkowo ugodowo arcybiskup warszawski Zygmunt Szczęsny Feliński, ale odrzucił życzenie Rosjan, by nie święcić sprofanowanych przez żołdaków świątyń. Rekoncyliacji katedry św. Jana sam dokonał. Latem 1863 r. Rosjanie go internowali na 20 lat w Jarosławiu nad Wołgą.

1881 r. Pogrom Żydów w Boże Narodzenie 1881 r. wywołał wielkie poruszenie w Warszawie. Nikt czegoś podobnego tu nie pamiętał. Wstrząśnięte były znaczące pisarki tamtych czasów, Maria Konopnicka i Eliza Orzeszkowa. Obie dały wraz swym spostrzeżeniom oraz odczuciom – pierwsza w „Mendlu Gdańskim", druga w listach do Tomasza Teodora Jeża. Zwłaszcza list pisany poza kordonem rosyjskim i carską cenzurą oddaje dramatyzm wydarzeń.

Oto widzimy jakichś obcych osobników w „rubachach", niemówiących po polsku, o zakazanych gębach, którzy pojawili się w mieście przed katolickimi świętami. To oni spowodowali potworny ścisk i zamęt na schodach prowadzących do kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, gdy wierni opuszczali świątynię po mszy. Wśród jęków tratowanych i bitych ludzi usłyszano okrzyki: „To Żydzi winni! Bij Żyda!". W ciągu trzech dni zamieszek życie straciło kilkudziesięciu ludzi. Rabowano i demolowano żydowskie sklepy i domy. Niektórzy z przerażonych obywateli żydowskiego pochodzenia szukali ratunku

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

w mieszkaniach polskich znajomych i przyjaciół. Z tych opisów wyraźnie wyziera obraz prowokacji spowodowanej przez – jak piszą panie – „kacapów". Ale też przerażenie i oburzenie, że prowokacja trafiła na tak podatny grunt wśród warszawskiej ludności.

Istotnym źródłem konfliktów w XIX w. stała się „czerta osiedłosti" – strefa osiedlenia. Carowie wyznaczali ją od połowy XVIII w., aby ziemi „świętej Rusi" nie deptały niegodne stopy starozakonnych. Po dokonaniu zaboru rozległych terenów Rzeczypospolitej postanowili nie wpuszczać stamtąd Żydów do Rosji, jak również tam ich z Rosji deportować. Konflikty były łatwe do przewidzenia, zwłaszcza w miarę przemian gospodarczych. Swoistą formą rozładowania społecznych napięć i odwrócenia uwagi od nadużyć i wad caratu stały się w Rosji organizowane „od góry" czarnosecinne pogromy...

WŚRÓD DRAMATÓW WIEKU XX

1944 r. W czarnych dymach pożarów i wybuchów Jezus szedł tu na Golgotę w pierwszym miesiącu powstania warszawskiego. Na początku następnego miesiąca Niemcy wysłali do zdobytej i bronionej przez powstańców świątyni dwa wypełnione materiałem wybuchowym goliaty. Ich eksplozja zrujnowała wnętrze kościoła, a na zewnątrz zniszczyła fasadę i obaliła odlany z brązu posąg. Upadł on na plecy tak, jakby wśród ruin wypalonych kamienic i gruzów zalegających Krakowskie Przedmieście wysunięta dłoń nadal miała wskazywać krzepiący serca i umysły napis. Znane, symboliczne zdjęcie przypomina słowa z „Gorzkich żalów" o „Jezu, co idąc na kalwaryjską górę, upada srogim krzyża ciężarem zmordowany…".

Tak wspominał to wydarzenie ks. Stefan Wyszyński, który podczas powstania warszawskiego pełnił w Laskach pod pseudonimem Radwan III funkcję kapelana Grupy Armii Krajowej „Kampinos":

„[…] wkrótce po upadku Powstania Warszawskiego… do wojskowego szpitala frontowego koło Izabelina wróciła grupa oficerów niemieckich – lekarzy, którzy tam pracowali. Jeden z nich zatrzymał mnie, gdy biegłem od jednego chorego do drugiego. Wyciągnąwszy z kieszeni jakąś fotografię, gwałtem niemal kazał mi ją oglądać. Rzuciłem okiem. Niezwykłe wydało mi się to spotkanie i swoisty przymus żołnierza niemieckiego. Spieszyło mi się bardzo, mnóstwo chorych i cierpiących czekało. A on swoje: Zobacz – powiada – zobacz. Przyglądam się więc – i cóż widzę? Chrystus z frontonu kościoła Świętego Krzyża w Warszawie, leżący na bruku ulicznym. Zdjęcie zrobione od strony Kopernika. Chrystus, leżący na bruku warszawskim, dłonią – przedziwnym zbiegiem okoliczności zachowaną – pokazywał w kierunku kościoła. Dłoń ta kierowała się na napis, który pozostał nietknięty na cokole: »Sursum Corda«. Patrzyłem, ale jeszcze nie mogłem zrozumieć żołnierza: Czego ode mnie chciał? Co go w tym uderzyło? W pewnym momencie z ust jego wyrywają się słowa, od których niemal odzwyczaiło się nasze ucho, dawno już ich nie słyszeliśmy: »Ist noch Polen nicht verloren – Jeszcze Polska nie zginęła«. Zdumiałem się. Po chwili podeszło bliżej jeszcze kilku oficerów. Spojrzałem na nich pytającym wzrokiem… Jeden z nich zawołał: »Sursum corda! Sursum corda!«… Było to na kilka miesięcy przed wyjściem [tej] »zwycięskiej armii« z powalonej Warszawy. Zdarzeniem tym byłem dogłębnie wstrząśnięty. Niewątpliwie i ja to wiedziałem. Niewątpliwie i ja tak wierzyłem. Ale nie przypuszczałem, że w chwilach smutku i tragizmu naszego Narodu będę miał taką pociechę – i to z pomocą ludzi, których uważaliśmy za nieprzyjaciół. Tymczasem ich właśnie uderzyło to »Sursum corda«. Na warszawskim bruku zburzonego miasta, zamienionego w popioły i zgliszcza – pozostał Chrystus. Obalony wprawdzie, niemocny, leżący na swym krzyżu, ale dłonią pokazujący zburzonej stolicy niebo, aby nie przestała wierzyć, iż może się odrodzić. »Jednego tylko potrzeba – nadziei! Sursum corda, w górę serca!«".

1945 r. Zniszczoną figurę Chrystusa 22 października 1944 r. Niemcy wywieźli z Warszawy, jednak wraz z pomnikiem Mikołaja Kopernika porzucili w przydrożnym rowie w Hajdukach Nyskich. Poznali ją polscy żołnierze i obydwa pomniki wróciły do Warszawy. Posąg Chrystusa ponownie stanął przed kościołem 19 lipca 1945 r., poświęcony w obecności „prezydenta RP" Bolesława Bieruta i przedstawicieli „rządu ludowego" przybyłych na odsłonięcie pomnika Mikołaja Kopernika.

1968 r. Spowitą kłębami dymu figurę Chrystusa na Krakowskim Przedmieściu widziałem 11 marca 1968 r. ZOMO-wcy i ORMO-wcy towarzysza Moczara okładali wtedy pałami nas, studentów Uniwersytetu Warszawskiego, a w przerwach pałowania obrzucali petardami z gazem łzawiącym. Młodzież chroniła się wtedy w świątyni. I tylko Chrystus dźwigał w tym dymie na Golgotę swój krzyż, wolną dłoń unosił w błogosławieństwie nad śnieżnym błotem asfaltu, a złoconym napisem wołał bezgłośnie: SURSUM CORDA!

1979 r. Gdy odnowiony posąg postawiono na swoim miejscu tuż po wojnie, za nim odbudowywano barokową fasadę oraz liczne ołtarze wspaniałego wnętrza. Rekonstrukcję ostatniego z nich, zbudowanego wedle projektu Tylmana z Gameren, ukończono dopiero na początku XXI w., w ćwierćwiecze pontyfikatu Jana Pawła II. Papież nazwał go wtedy Ołtarzem Ojczyzny, a kościół św. Krzyża uhonorował godnością bazyliki mniejszej. Znacznie wcześniej, 2 czerwca 1979 r., podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, mówił w słynnej homilii na pl. Zwycięstwa:

„Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu".

Słowa papieskiej homilii wygrawerowane zostały na Ołtarzu Ojczyzny w bazylice św. Krzyża.

1980 r. Ze świątyni tej rozpoczęto we wrześniu 1980 r. nadawanie w każdą niedzielę mszy świętych na antenie Polskiego Radia. Był to efekt podpisania porozumień sierpniowych i zwycięstwa ruchu solidarnościowego. Przypomnijmy, że od 1927 r. Polskie Radio nadawało takie transmisje z katedry poznańskiej. Przerwa nastąpiła oczywiście podczas okupacji, a następnie od 1949 r., kiedy epoka stalinowska osiągnęła u nas apogeum, a walka z Kościołem rzymskokatolickim i religią stawała się coraz bardziej brutalna.

2020 r. W drugim półroczu A.D. 2020 mury polskich świątyń są brudzone niestosownymi napisami, wierni i duchowni prowokowani oraz atakowani, a obiekty kultu narażone na zbezczeszczenie i profanację. Spotkało to również figurę Chrystusa sprzed kościoła św. Krzyża. Sprofanowano nawet oblicze Zbawiciela – czego nie uczynili ani zaborcy carscy, ani okupanci hitlerowscy i komunistyczni – zakładając na nie jakąś obmierzłą maskę. Jeden z posągów świętego polskiego papieża zbezcześcili zaś, smarując mu ręce krwawą czerwienią. Po prostu słów brakuje…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

As tajnych służb

Złamanie szyfru Enigmy. Afera Sosnowskiego i afera Żychonia. Skomplikowana gra wywiadowcza prowadzona w Europie w przededniu wojny. Wybuch światowego konfliktu i ucieczka najwyższych przedstawicieli władz Rzeczypospolitej z kraju.

Szokujące okoliczności francuskiego puczu, czyli „przekazania" władzy z rąk sanacji w ręce ekipy Władysława Sikorskiego. Walki frakcyjne w polskich służbach i zaciekły konflikt między piłsudczykami i sikorszczykami. Ostateczna klęska Polski i gorzkie emigracyjne losy naszych oficerów.

To tylko garść tematów z pasjonującej książki prof. Grzegorza Łukomskiego. Tytułowa „Szara eminencja polskiego wywiadu wojskowego" to płk Stefan Mayer. Człowiek, który – w większym lub mniejszych stopniu – był zaangażowany we wszystkie wymienione wyżej sprawy.

Mayer zawsze był w centrum wydarzeń i jego ocena sytuacji była bardzo interesująca. Co nie oznacza, że zawsze miał rację. Weźmy choćby taką opinię pułkownika z 1940 r., którą zapamiętał Stefan Mękarski:

„Toczą się nocne rodaków rozmowy. Płk Mayer podnieca się łatwo i szybko. Dyszy i krzyczy z emocji. Owszem, polubiłem Mayera. Kwalifikuje ostro ludzi z MSZ-u z reżimu pomajowego. Twierdzi, że na podstawie pierwszorzędnych materiałów ostrzegał w czas bonzów z MSZ-u przed lisami polityki niemieckiej. Nie wierzyli – naiwność ich była bezgraniczna. Zamiast do Ribbentropa, Beck powinien był pojechać do Moskwy, zagrać kartą rosyjską i klęknąć przed Stalinem, aby go potem za rok, za dwa zdradzić. Za mało cynizmu posiadała polityka Becka. O Śmigłym wyrażał się z politowaniem".

Jak więc widać, Mayer miał pogląd podobny do poglądu współczesnych realistów. Tylko że zamiast za taktycznym sojuszem z Berlinem opowiadał się za taktycznym sojuszem z Moskwą. Oczywiście było to mrzonką. Stalin w 1939 r. nie miał Polsce nic do zaoferowania. Na stole były tylko dwie opcje: anglo-francuska i niemiecka. Co nie zmienia faktu, że przemyślenia płk. Mayera warte są odnotowania.

Podobnie jak poglądy samego prof. Łukomskiego, który pisze o głębokim regresie kultury Europejskiej w XX w. i skurczeniu się kulturowej przestrzeni polskości. Smutne, ale prawdziwe. ©℗

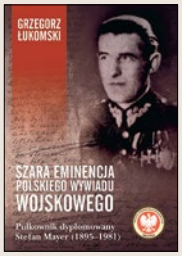

★★★★★★

GRZEGORZ ŁUKOMSKI „SZARA EMINENCJA POLSKIEGO WYWIADU WOJSKOWEGO. PUŁKOWNIK DYPLOMOWANY STEFAN MAYER (1895–1981)"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pech króla Olbrachta

W polityce potrzebne jest szczęście, a ludzie go pozbawieni nigdy nie osiągają sukcesów. Doświadczył tego Jan Olbracht, który chociaż był jednym z najbardziej utalentowanych synów Kazimierza Jagiellończyka, to po prostu miał pecha.

Urodzony 27 grudnia 1459 r. Jagiellon miał zadatki na niezłego wodza i faktycznie lubił wojnę, a jeszcze za życia ojca miał okazję się wykazać, broniąc południowych kresów państwa przed najazdami Tatarów. Nie miał też zwyczaju oszczędzać się w boju i pod tym względem bardziej przypominał Piastów niż Jagiellonów. Uważał bowiem, że miejsce wodza jest w pierwszej linii i był ostatnim polskim władcą wyznającym podobne poglądy. Jego następcy, jeżeli brali bezpośredni udział w walce, to raczej z konieczności niż osobistego wyboru.

Olbracht nie wyglądał też jak typowy Jagiellon. Był potężnie zbudowany i nie miał charakterystycznej dla tej rodziny wąskiej głowy i twarzy. Bardziej przypominał Habsburgów, chociaż jeżeli wierzyć kronikarzom, to miał ciemną karnację. Wcześnie też zaczął łysieć, co upodobniało go do rodzonego dziadka, Jagiełły.

Bez wątpienia był jednak silną osobowością i nie wykazywał się typowo jagiellońską dobrodusznością i opanowaniem. Król był człowiekiem gwałtownym i niecierpliwym, co raczej nie mogło pomóc w prowadzeniu skutecznej polityki. W zamian jednak cechowała go ogromna energia, a do tego opowiadano, że był głodny sławy.

Niestety, wyprawa na Mołdawię w 1497 r. zakończyła się klęską i do dzisiaj funkcjonuje zwrot, że „za króla Olbrachta wyginęła szlachta". Monarcha podniósł się jednak po porażce, chociaż stosował dość specyficzne metody. Przez pół roku szalał w Krakowie na hucznych imprezach, a że miał wiele słabości do płci pięknej, to zaraził się syfilisem, który kilka lat później miał pozbawić go życia. W ten sposób stracił okazję do pełnej rehabilitacji w oczach historyków, gdyż jako jedyny polski władca zamierzał zrobić raz na zawsze porządek z zakonem krzyżackim. Skoro wielki mistrz odmawiał hołdu, do czego był zobowiązany, to Olbracht zaplanował wyprawę wojenną, a następnie przesiedlenie zakonników na Podole, by tam walczyli z poganami. Natomiast Prusy Książęce miały zostać przyłączone do Polski.

Jagiellon miał zadatki na niezłego wodza i faktycznie lubił wojnę

Niestety, śmiertelna choroba zabrała króla, gdy osobiście kierował w Toruniu przygotowaniami do wojny. Natomiast jego następcy byli już ludźmi innego pokroju, a Rzeczpospolita nigdy w pełni nie zapanowała nad Prusami, co w przyszłości miało przynieść fatalne skutki. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Uwaga, kamikadze!

Piotr Zychowicz

Ofiara złożona przez japońskich pilotów samobójców okazała się nadaremna. Taktyka kamikadze była spektakularna, ale nieskuteczna

Yasunori Aoki wstał przed świtem. Czuł się wypoczęty. Miał jasny umysł. 22-letni podporucznik przez chwilę śledził wzrokiem muchę, która latała po jego pokoju, wykonując fantazyjne piruety.

– Jakie masz szczęście, że żyjesz – powiedział.

On, Yasunori Aoki, miał tego dnia umrzeć. Już wcześniej przygotował kosmyk włosów i ścinki paznokci, które miały zostać przesłane jego bliskim. Teraz usiadł przy biurku i napisał krótki pożegnalny list do rodziców i rodzeństwa. Zmówił modlitwę za ocalenie ojczyzny.

W tym czasie w hangarze mechanicy kończyli szykować jego samolot typu Shiragiku. Do każdego skrzydła przymocowano 250-kilogramową bombę, a w kabinie – dodatkowy zbiornik wypełniony po brzegi paliwem lotniczym. Samolot został zamieniony w pocisk o potężnej sile rażenia.

Wieczorem w bazie lotniczej odbyła się pożegnalna, zakrapiana sake kolacja. Potem uroczysta odprawa. Błyskały flesze aparatów. Dziennikarze filmowali młodych lotników na potrzeby kroniki filmowej. Część z nich założyła na głowy opaski hachimaki. Złapali się za ręce i zaśpiewali pieśń „Rocznik kwiatów wiśni".

Godzinę później – w świetle zachodzącego słońca – w powietrze wzbiła się eskadra samolotów. „Jak pięknie!"

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Lotniskowiec USS „Bunker Hill" trafiony przez kamikadze 11 maja 1945 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

– pomyślał Aoki. Był 27 maja 1945 r., właśnie trwała jedna z najkrwawszych, najbardziej zaciętych bitew drugiej wojny światowej. Bitwa o Okinawę. Aoki był jednym z lotników kamikadze, który miał wbić się w kadłub amerykańskiego okrętu i posłać go na dno. Zginąć bohaterską śmiercią za cesarza i ojczyznę.

W samolocie znajdowało się dwóch lotników – Aoki i pilot o nazwisku Yokoyama. Po kilkugodzinnym monotonnym locie nad oceanem młodzi Japończycy wreszcie dostrzegli cel. Oni również zostali jednak dostrzeżeni. Nagle znaleźli się w piekle bitwy. Obok samolotu przelatywały z wyciem smugowe pociski działek przeciwlotniczych. Z rykiem siników przeleciał nieprzyjacielski myśliwiec. Rozległy się serie z broni maszynowej.

– Nurkuj! – krzyknął Aoki do pilota, wskazując na prujący fale nieprzyjacielski niszczyciel.

Samolot obniżył lot i w oszałamiającym tempie pruł w stronę rufy niszczyciela. Potężny kształt zbliżał się błyskawicznie. Aoki skrzyżował ramiona i spokojnie oczekiwał na śmierć. Na kolosalną eksplozję, która miała spowodować, że w ułamku sekundy przestanie istnieć. Po prostu wyparuje.

– Banzai!!!

Rozległ się ogłuszający huk, młody oficer poczuł potężne szarpnięcie. Ku swojemu bezbrzeżnemu zdumieniu Aoki odkrył, że żyje. Samolot nie eksplodował! Unosił się na falach Pacyfiku. Maszyna powoli nabierała wody i zaczęła dziobem w dół nurkować pod powierzchnię. Dwaj Japończycy wyszli z kokpitu na skrzydła.

Co poszło nie tak? Czy Yokoyamie w ostatniej chwili drgnęła ręka? Czy instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy niż chęć śmierci za cesarza Hirohito? A może pilot popełnił jakiś błąd? Po prostu nie trafił w cel?

Nie było czasu na zastanawianie się. Trzeba było ratować życie. Japończycy nadmuchali kamizelki ratunkowe i wskoczyli do wody. Nad ranem obaj zostali wyłowieni przez amerykański okręt i dostali się do niewoli. Aoki nie mógł znieść hańby i dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo.

Za pierwszym razem chciał udusić się własną krwią. Wystawił więc język na zewnątrz i zaczął z całej siły uderzać się w podbródek. Udało mu się jednak tylko paskudnie pokaleczyć. Druga próba polegała na uduszeniu się kawałkiem grubego, marynarskiego sznura. Aokiego w ostatniej chwili odratował amerykański wartownik.

W ten sposób ppor. Yasunori Aoki przeżył. I po latach mógł opowiedzieć o swoim doświadczeniu jako lotnika kamikadze. Członka Specjalnego Korpusu Uderzeniowego o kryptonimie Boski Wiatr. Aoki był jednym z niewielu członków tej samobójczej formacji, którym udało się przetrwać wojnę. Po latach udzielił wywiadu amerykańskiemu dziennikarzowi, który opisał jego przeżycia w książce „Wschodzące słońce. Schyłek i upadek Cesarstwa Japonii" (wyd. Napoleon V).

AKT ROZPACZY

Czym była taktyka kamikadze? Amerykanie uważali ją za przejaw azjatyckiego fatalizmu i dzikiego fanatyzmu Japończyków. Nie dostrzegali przy tym, że wielu żołnierzy US Army również z pełną świadomością poświęcało życie na polach bitew. Żołnierze ci byli za to pośmiertnie odznaczani zaszczytnymi orderami i stawiani za wzór.

Słynny kodeks honorowy bushidō, którym kierowali się japońscy samuraje, miał wiele wspólnego z kodeksem honorowym europejskich rycerzy. Żeby daleko nie szukać, wystarczy przypomnieć bohatera „Trylogii" Jerzego Wołodyjowskiego, który wysadził się wraz z Ketlingiem w Kamieńcu Podolskim. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uważa tej powieściowej postaci za „azjatyckiego fanatyka".

W przededniu drugiej wojny światowej setki młodych Polaków zgłaszały zaś chęć odegrania roli żywych torped, które miały wbijać się w kadłuby okrętów Kriegsmarine. Ówczesna polska prasa pisała o tych młodych ludziach z zachwytem i podziwem dla ich poświęcenia i patriotyzmu. Atak samobójczy nie jest bronią „dzikich". Jest bronią słabych.

Taktyka kamikadze – którą Japończycy zaczęli stosować dopiero jesienią 1944 r. – nie miała więc nic wspólnego z „orientalnym barbarzyństwem". Była po prostu aktem rozpaczy. Skutkiem fatalnej sytuacji, w jakiej znalazło się cesarstwo. Początkowe sukcesy w walce z Amerykanami nie mogły zmienić niekorzystnego bilansu sił.

Przewaga przemysłowa Stanów Zjednoczonych była miażdżąca. Podczas gdy Japonia dusiła się gospodarczo w wyniku amerykańskiej blokady morskiej, gospodarka USA z każdym dniem wchodziła na coraz wyższe obrony. Z taśm produkcyjnych zjeżdżały kolejne tysiące samolotów, ze stoczni wypływały kolejne setki okrętów.

Japońskie zakłady zbrojeniowe tymczasem stały z powodu braku surowców. Cesarstwo pogrążało się w tragicznym kryzysie paliwowym. Brakowało części

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

zamiennych. Nawet dla najbardziej zatwardziałych optymistów w japońskim dowództwie stało się jasne, że klęska jest nieunikniona.

Właśnie wówczas jeden z oficerów wpadł na pomysł samobójczych ataków lotniczych. „Jeden samolot – jeden okręt" – głosiło hasło programu kamikadze. Gdyby każdy samolot wyładowany materiałami wybuchowymi posyłał na dno jeden okręt wroga, można byłoby odwrócić losy wojny!

Wystarczy policzyć, jaki jest koszt wyprodukowania pojedynczego samolotu, a jaki – okrętu. Oczywiście Japonia w każdym ataku traciłaby jednego pilota lub dwóch, ale Amerykanie w tym samym ataku straciliby kilkuset marynarzy. To musiałoby zmusić Waszyngton do ustępstw i negocjacji pokojowych! – rozumowali japońscy sztabowcy.

Był jeszcze jeden motyw. Otóż w wyniku ciężkich walk z lat 1941–1944 Japonia straciła niemal wszystkich wyszkolonych i doświadczonych lotników. Z powodu braku benzyny, maszyn i czasu nie było zaś możliwości wyszkolenia kolejnych. Aby przygotować pilota do tak prostego zadania jak wbicie się maszyną we wrogi okręt, wystarczyło zaś tylko podstawowe, krótkie szkolenie.

W prawdziwym życiu jest jednak na ogół tak, że im piękniej coś wygląda w teorii, tym gorzej wypada w praktyce. Kamikadze nie byli wyjątkiem. Wbrew mitom i legendom taktyka samobójczych ataków okazała się nieskuteczna. Japońska Wunderwaffe nie zadziałała.

W cel trafiło zaledwie 18 proc. pilotów kamikadze. Reszta – czyli 82 proc. – nigdy nie zdołała dolecieć do swoich celów.

Maszyny spadały do morza, rozbijały się podczas dokonywania manewrów lub wskutek usterek technicznych. Mało doświadczeni, za to bardzo zestresowani piloci nie trafiali w cele. Tak jak Yokoyama.

Najwięcej samolotów zostało jednak zestrzelonych. Początkowo ataki kamikadze wywoływały przerażenie w szeregach alianckich marynarzy, ale z czasem nauczyli się oni je skutecznie odpierać. Wystarczyło zachować zimną krew i strzelać z dział do nadlatującego skrzydlatego pocisku.

Samoloty kamikadze, z których wymontowano całą broń, były bezradne wobec myśliwców przechwytujących nieprzyjaciela. Amerykańskie samoloty patrolowały przestrzeń wokół okrętów i starały się zawczasu zestrzeliwać nadlatujących samobójców.

Japończycy byli bez szans. Z każdym tygodniem wojny japońscy piloci mieli coraz mniejsze umiejętności. Doszło do tego, że Amerykanie „walki" z japońskimi samolotami porównywali do… strzelania do indyków.

Jedyną skuteczną taktyką był zmasowany atak kilkudziesięciu samolotów kamikadze i liczenie na to, że dwie lub trzy maszyny jakimś cudem przedrą się przez zaporę ogniową nieprzyjaciela. Cuda takie zdarzały się jednak coraz rzadziej.

NADAREMNA OFIARA

W atakach kamikadze Japończycy stracili 3,8 tys. pilotów. Zatopili oni lub wyeliminowali z dalszej walki około 50–60 alianckich okrętów, zabijając 7 tys. Amerykanów, Brytyjczyków i Australijczyków. A więc – zważywszy na wielkie oczekiwania – wynik bardziej niż skromny.

Wspomniałem już, że zaledwie 18 proc. kamikadze trafiało w cele. Nawet wówczas amerykańskim okrętom na ogół nie działa się jednak poważna krzywda. Zaledwie 8,5 proc. celnych uderzeń kończyło się zatopieniem.

Oczywiście pilotom kamikadze zdarzały się również sukcesy. Takie jak zatopienie lotniskowca eskortowego „St. Lo" w trakcie bitwy w zatoce Leyte w październiku 1944 r. Albo rozbicie niszczyciela „Callaghan" w lipcu 1945 r.

Wielkim osiągnięciem był udany atak na lotniskowiec „Bunker Hill" w maju 1945 r. w trakcie bitwy o Okinawę. W wyniku dwóch celnych trafień kamikadze na pokładzie zginęło 400 Amerykanów. Uszkodzenia lotniskowca były tak rozległe i poważne, że „Bunker Hill" został wyeliminowany z dalszych działań wojennych.

Japończycy taktykę kamikadze zastosowali na największą skalę właśnie na wodach Okinawy. Wówczas na amerykańską flotę inwazyjną spadały całe fale samolotów. W sumie blisko 1,5 tys. maszyn kierowanych przez samobójców! Zatopiły one lub poważnie uszkodziły 30 okrętów. W przeważającej większości były to jednak pomniejsze jednostki. Kamikadze nigdy nie udało się zatopić pancernika. Cel taki pozostał w sferze marzeń.

Wspomniane sukcesy nie mogą więc zmienić ogólnej oceny taktyki kamikadze. Broń tę należy uznać za nieskuteczną. Największe sukcesy – zarówno jeżeli chodzi o liczbę, jak i wielkość zatapianych wrogich okrętów – Japończycy odnosili w latach 1941–1943. A więc zanim w niebo wzbili się pierwsi piloci samobójcy.

Kamikadze nie odmienili więc losów wojny. Mimo bohaterstwa i poświęcenia tych młodych patriotów Japonia nie pokonała Stanów Zjednoczonych. Mało tego, dzięki kamikadze wojna nie potrwała nawet o jeden dzień dłużej. Ze względu na niecodzienną metodę walki piloci samobójcy stali się sławni, ale – z punktu widzenia całej wojny na Pacyfiku – ich działania były tylko epizodem.

Jedynym poważnym skutkiem zastosowania tej taktyki była więc ludzka tragedia. Strata kilku tysięcy młodych, patriotycznie nastawionych Japończyków, których zabrakło po wojnie, w trakcie odbudowy ojczyzny z potwornych wojennych zniszczeń. Użycie kamikadze było błędem, który tylko powiększył straszliwą hekatombę narodu japońskiego podczas drugiej wojny światowej.

Tym samym docieramy do najsmutniejszej części naszej opowieści. Teoretycznie kamikadze byli ochotnikami. W praktyce wyglądało to już różnie. Część pilotów rzeczywiście zdecydowała się złożyć ofiarę życia, ale wielu młodych chłopców zmuszono do podjęcia się samobójczej misji. Znane są przypadki wpychania czy wręcz wnoszenia pilotów do kokpitów samolotów gotowych do startu.

Nie bez znaczenia była również silna presja ze strony otoczenia – oficerów i innych pilotów. Wielu młodych Japończyków uznało, że lepiej jest zginąć, niż odrzucić propozycję udziału w misji kamikadze. A co za tym idzie – zostać uznanymi za tchórzy, którzy splamili dobre imię swojej rodziny. Wielu pilotów było przecież zaledwie 19-, 20-latkami.

Właśnie dlatego w kabinach samolotów wysyłanych na straceńcze misje często leciało dwóch lotników. Na pierwszy rzut oka taki pomysł wydaje się absurdem. Po co poświęcać dwóch pilotów, skoro w zupełności wystarczyłby jeden? Otóż chodziło o to, aby piloci nawzajem się kontrolowali.

Pozostawiony samemu sobie młody pilot w ostatniej chwili mógł przecież zrezygnować z misji i ratować życie. Tak, nie wszyscy kamikadze – jak głosi legenda – lecieli z uśmiechem na spotkanie śmierci.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Kodeks Dobrych Praktyk

Chcesz poznać najlepsze sposoby wsparcia dla Twoich pracowników i ich rodzin? Szukasz rozwiązań, które zachęcą rodziny z dziećmi do korzystania z usług Twojej firmy? Nasz Kodeks to kompendium praktyk prorodzinnych dla firm.

Karta Praw Matki

Jesteś w ciąży i chciałabyś odnaleźć się w gąszczu przepisów? Jesteś młodą mamą na urlopie wychowawczym i chciałabyś podjąć pracę zarobkową, ale nie wiesz, czy możesz? Na wszystkie wątpliwości odpowie Karta Praw Matki.

System Certyfikacji Firma Przyjazna Rodzinie

Wyróżniamy przedsiębiorców, którzy wspierają swoich pracowników i ich rodziny. Na Twoich towarach, na drzwiach Twojego lokalu lub sklepu, na stronie internetowej może widnieć prorodzinny znak jakości. Pokaż klientom, że prowadzisz firmę przyjazną rodzinie.

Dołącz do programu certyfikacji

www.firmaprzyjaznarodzinie.pl

Pobierz Kodeks Dobrych Praktyk

DLA RODZINY

Organizator:

rodzina blisko

Partnerzy:

Po pierwsze Rodzina!
PROGRAM PEŁNOMOCNIKA RZĄDU DO SPRAW POLITYKI DEMOGRAFICZNEJ NA ROK 2020
Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

KONFEDERACJA KOBIET RP

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Dynastia osmańska, zwana także ottomańską, wywodzi swe imię od Osmana I, który w 1299 r. objął rządy w niewielkim państwie, założonym na północy Anatolii. Podwaliny pod przyszłą potęgę położył jednak jego syn Orhan (na portrecie), który jako pierwszy tytułował się „chanem"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Złego słowa na Turcję

Teresa Stylińska

Gdy Osmanom uchylono zakaz pobytu w Turcji, członkowie dynastii, wiedzeni sentymentem, zaczęli pojawiać się w ojczyźnie. Niektórzy tu zostali. Władze erdoğanowskiej Turcji istotnie okazują Osmanom zauważalną życzliwość. Czy na coś liczą?

Turecka publiczność bawiła się znakomicie. – Mam wspaniały tytuł, ale bogactw żadnych. Mój dziadek urodził się w pałacu Dolmabahçe, miał złotą kołyskę, a ja, żeby ją zobaczyć, muszę płacić 30 lir – Naz Osmanoglu, angielski aktor i komik, sypał ze sceny dowcipami. Po raz pierwszy w życiu występował w Turcji – i opowiadał o sobie.

Obecni na sali dobrze wiedzieli, kim jest Nazim Ziyaeddin Osmanoglu – potomkiem dynastii, która rządziła Turcją przez ponad 600 lat. Nie przeszkadzało im wcale, że aktor, który wychował się w Dubaju i Wielkiej Brytanii, a turecki zna słabo, mówił po angielsku. I bardzo śmieszyły ich takie na przykład żarty:
– Objąć tron? A cóż w tym trudnego? Musiałbym tylko zamordować 16 osób z mojej rodziny i sprawa załatwiona.

Naz zajmował wówczas 17. miejsce w kolejce do tronu czy, ściślej mówiąc, do zaszczytnego stanowiska głowy Domu Osmanów. Głową rodziny, a zatem – w teorii – pretendentem do tronu zostaje zawsze najstarszy z rodu, zgodnie z zasadami sukcesji ustanowionymi u progu XVII w. przez sułtana Ahmeda I.

Od czasu tego występu Naz – który w Anglii cieszy się sporą popularnością – przesunął się o jedno miejsce w górę. Stało się to po śmierci 92-letniego księcia Osmana Bajazyda Osmanoglu, który w 2017 r. zmarł w Nowym Jorku w wieku 92 lat. Jego miejsce na czele rodu zajął 90-letni dziś książę Dündar Ali, który – gdyby imperium nadal istniało – byłby jego 45. sułtanem. Dla porównania, w brytyjskiej rodzinie królewskiej analogiczne, 16. miejsce w kolejce do tronu zajmuje Savannah Phillips, wnuczka księżniczki Anny, a więc prawnuczka królowej Elżbiety.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Książę Dündar, który urodził się i całe życie spędził w Damaszku, od paru lat mieszka w Turcji. Skorzystał z propozycji władz, które uważały, że zaawansowany wiekiem potomek sułtanów, świeżo owdowiały i bezdzietny, nie powinien być sam w kraju, gdzie toczy się wojna. Obecne władze tureckie bardzo wspierają dawną dynastię – i to różni sytuację Osmanów od sytuacji innych królewskich rodzin bez tronu.

ORIENT EXPRESSEM NA WYGNANIE

Osmanowie nie są jedyni. W Europie aż się roi od dynastii pozbawionych tronu. Jest więc portugalska dynastia Braganza, obalona w 1910 r. Są potomkowie austriackich Habsburgów, niemieckich Hohenzollernów i rosyjskich Romanowów, odsuniętych po pierwszej wojnie. Są włoscy Sabaudowie i liczne dynastie bałkańskie, wypędzone ze swych krajów po drugiej wojnie. Najpóźniej, bo dopiero w 1974 r., do tego grona dołączyła rodzina królewska z Grecji. Żeby obraz był pełny, dorzućmy potomków rodów panujących w dawnych niemieckich królestwach i księstwach, od Bawarii do Hesji, którzy po zjednoczeniu Niemiec przestali być władcami w dawnym rozumieniu.

Nawet na tak wyrównanym tle Osmanowie pod paroma względami są wyjątkowi. Po pierwsze, wygnani zostali en bloc i w trybie natychmiastowym – cała wielka rodzina, 156 osób jednocześnie. 3 marca 1924 r. zniesiono w Turcji kalifat, a nowe władze nakazały rodzinie sułtańskiej niezwłoczne opuszczenie kraju. Szehzade, książęta pochodzący w linii prostej od sułtanów, musieli wyjechać w ciągu jednej doby. Kobietom i mniej znaczącym mężczyznom dano tydzień.
– O to właściwie mam największy żal – mówił po latach książę Osman Bajazyd. – Dlaczego dano nam tylko 24 godziny?

Orient Express, najsłynniejszy pociąg świata, jest bohaterem wielu barwnych opowieści. Ta karta w jego dziejach też mogłaby być barwna, gdyby nie to, że dla jej bohaterów była tak bardzo tragiczna. Osmanowie, wyposażeni przez nowe władze w kwotę tysiąca funtów każdy, dotarli jednak do celu, czyli do Paryża, skąd – to po drugie – rozproszyli się po całym świecie, od Ameryki przez Francję do Egiptu i Syrii. Część z nich jednak – to po trzecie – gdy tylko stało się to możliwe, wybrała powrót do Turcji. Nie do dawnych pałaców, bo te przejęło państwo, ale do zwykłych domów.

Tak oto Stambuł, stolica imperium, znowu w swych murach gości Osmanów. A raczej rodzinę Osmanoglu, czyli Osmanowiczów – bo takie nazwisko przyjęli na wygnaniu potomkowie Sulejmana, Orhanów, Selimów i Mehmedów. Nazwisko było potrzebne, by w dalekim świecie Osmanowie mogli starać się o obywatelstwo i wieść normalne życie, ale także po to, by podkreśliło wspólnotę ich losu i korzeni.

JAK WAM NIE WSTYD!

Kiedy patrzy się na zbiorowe fotografie członków dynastii osmańskiej, trudno nie doszukiwać się śladów ich przodków. Ostre rysy wojowników z dalekich stepów Azji? Turban czy może fez? Turecka szabla u boku? Żony, córki i siostry w bajecznych, powłóczystych sukniach (do jakich, powiedzmy to otwarcie, przyzwyczaili widzów kostiumolodzy „Wspaniałego stulecia" i „Sułtanki Kösem")? Gdyby portretowani wywodzili się z którejś z dynastii europejskich, obraz wytwornych ludzi z wyższych sfer nie byłby tak intrygujący.

A przecież po przymusowym wyjeździe wielu z nich wiodło nadzwyczaj skromne życie. Niektórzy mieli pewne zasoby pieniężne i jakoś dawali sobie radę, ale byli też tacy, o których mówiono, że przymierają głodem. Chociaż jednak nie brakowało ofert pomocy, szczególnie od bogatych muzułmańskich władców z Bliskiego Wschodu czy Indii, duma nie pozwalała Osmanom ich przyjąć.

Do tych, których życie ciężko doświadczyło, należał ojciec wspomnianego Osmana Bajazyda – książę Ibrahim Tevfik, wnuk sułtana Abdulmedżida I. Tevfik był utalentowanym pianistą, miał propozycje, nawet z paryskiej Salle Pleyel, i mógł z powodzeniem utrzymywać się z gry na fortepianie. Ale występy paraliżowały go tak bardzo, że nie był w stanie grać. Na domiar złego jego małżeństwo się rozpadło. W 1931 r. Tevfik zmarł.

A inni? Ertugrul Osman, poprzednik Osmana Bajazyda na czele rodu, zajmował się inżynierią górniczą. Mehmed Orhan, poprzednik Ertugrula, był taksówkarzem i pracownikiem cmentarza. Cem, brat Osmana Bajazyda, wybrał służbę w armii amerykańskiej. Mehmed Ziyaeddin, ojciec aktora Naza, był pilotem w Dubaju. Ratunkiem bywała praca taksówkarza. Wielu, zwłaszcza w nowszych czasach, zajęło się biznesem.

Ułożenie życia ułatwiały oczywiście małżeństwa i koneksje. Najznakomitszy związek zawarła sułtanka Nesliszah, wnuczka Mehmeda VI, ostatniego sułtana, i Abdulmedżida II, ostatniego kalifa (został nim po 1 listopada 1922 r., gdy sułtanat zniesiono, a Mehmed VI opuścił Turcję). Nesliszah poślubiła następcę tronu Egiptu, Muhammada Abdela Moneima – co miało ten nieoczekiwany skutek, że po rewolucji Gamala Abdela Nasera po raz drugi znalazła się na wygnaniu. W 1957 r. skorzystała więc z możliwości, jaką przed kobietami z dynastii otworzył rząd Adnana Menderesa, i wróciła do Turcji.

Nesliszah w Stambule czuła się szczęśliwa. Opuściła Turcję jako zaledwie trzyletnia dziewczynka, dopiero teraz więc mogła poznać i podziwiać to, co zostawili po sobie jej przodkowie. Wystąpiła więc o obywatelstwo. Straciła cierpliwość w chwili, gdy urzędnicy, którzy wiedzieli, kim jest, zapytali ją o wyznanie. „Jak wam nie wstyd! – powiedziała. – Obaj moi dziadkowie byli kalifami".

IMPERIUM TRZECH KONTYNENTÓW

Wielkie dynastie władają wielkimi imperiami i mają wielką przeszłość, ale choć konkurencja na tym jedynym w swoim rodzaju polu jest bogata, Osmanowie nie mają się czego obawiać. W dodatku „Wspaniałe stulecie" przetarło im drogę do masowej wyobraźni, w której od lat niepodzielnie króluje Henryk VIII ze swoimi sześcioma żonami. Angielski monarcha, wraz ze swą córką Elżbietą i z królową Szkotów Marią Stuart, jest nie do pokonania, ale Sulejman Wspaniały, najwybitniejszy z władców osmańskich, ma chyba szansę dotrzymać mu kroku. Wrażenie robi ciągłość rodu. Siedemset lat jego istnienia, w tym 623 na tronie, 36 sułtanów – to nie byle co. Przez trony Francji czy Anglii przewinęło się w tym czasie po kilka dynastii.

Dynastia osmańska, zwana także ottomańską, wywodzi swe imię od Osmana I, który w 1299 r. objął rządy w niewielkim państwie, założonym na północy Anatolii przez przybyłe z Azji plemiona tureckie. Podwaliny pod przyszłą potęgę położył jednak jego syn Orhan. Orhan jako pierwszy tytułował się „chanem", stworzył korpus janczarów i umocnił się tak bardzo, że cesarz Bizancjum oddał mu za żonę swą córkę Teodorę.

Kolejne stulecia to czas podbojów. W rękach Turków znalazły się Bałkany,

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Nesliszah poślubiła następcę tronu Egiptu, Muhammada Abdela Moneima. Po rewolucji Gamala Abdela Nasera po raz drugi znalazła się na wygnaniu FOT. DOMENA PUBLICZNA

Peloponez i północna Afryka, wyspy egejskie i śródziemnomorskie, Kaukaz i Bliski Wschód. I, co najważniejsze, spełniło się marzenie pokoleń: zdobyto Konstantynopol. Tak powstało imperium położone na trzech kontynentach – do czasu.

Ostatnich 150 lat rządów Osmanów to czas upadku i rozkładu, z drugiej zaś strony rozpaczliwych prób reformowania, modernizowania i ratowania państwa. To się w końcu uda – tyle że nie Osmanom, a pewnemu zdolnemu oficerowi, którego w republice, gdy wprowadzono nazwiska, uhonorowano mianem „Atatürk" – ojciec Turków. I choć to on jako prezydent Turcji skazał Osmanów na wygnanie, potomkowie sułtanów nie mają o to żalu. Bo – jak zauważył Ertugrul Osman w wywiadzie dla tureckiej telewizji – gdyby nie on, nie byłoby nie tylko imperium, ale Turcji w ogóle.

Z PASZPORTEM TURECKIM

Osman Bajazyd, urodzony w Paryżu trzy miesiące po wyjeździe Osmanów z Turcji, był pierwszym dzieckiem, które przyszło na świat na emigracji. Wychował się we Francji, tam studiował malarstwo, choć nie do końca, bo zwątpił w swój talent.

Czy słusznie? Natura hojnie wyposażyła Osmanów w talenty artystyczne – świetne uzupełnienie starannego wykształcenia. Co więcej, dzieła wielu okazały się nadspodziewanie trwałe. Wiersze Sulejmana Wspaniałego i jego ojca Selima Groźnego, obrazy Abdulmedżida II, muzyka komponowana przez Selima III I Mahmuda II są do dziś czytane, oglądane i słuchane.

W czasie wojny Osman Bajazyd wraz z matką, która poślubiła amerykańskiego biznesmena, i bratem Cemem przedostał się do Ameryki. Trochę służył w armii, trochę pracował w firmie ojczyma. Na koniec trafił do nowojorskiej biblioteki publicznej, gdzie jego znajomość sześciu języków okazała się nieoceniona. Przepracował tam 34 lata. Był, według przyjaciół, duszą towarzystwa, a przy tym człowiekiem nadzwyczaj skromnym.

– Chciałem, by przysłano po niego limuzynę, ale on sobie tego nie życzył i wziął taksówkę – wspomina pisarz Ibrahim Pazan, autor książek o Osmanach, który organizował pierwszą wizytę Osmana Bajazyda w Stambule.

Pierwszym wysokiej rangi przedstawicielem władz, który zdecydował się na spotkanie z głową wygnanego rodu, był Recep Tayyip Erdoğan. Było to w 2004 r., Erdoğan od roku był premierem, dopiero więc wkraczał na drogę, która doprowadzi go do prezydentury i przebudowania Turcji. Księcia Ertugrula odwiedził w jego niewielkim i skromnym nowojorskim mieszkaniu. – Był zdumiony, że mój mąż nie ma obywatelstwa tureckiego – wspomina Zeynep, żona Ertugrula, pochodząca z afgańskiej rodziny królewskiej. Dwa miesiące później książę był już posiadaczem tureckiego paszportu.

Recep Erdoğan nie kryje uwielbienia dla imperium. Czyni to jednak z pompą i zadęciem, od jakich Osmanowie stronią. Czy Erdoğan odmówiłby skorzystania z limuzyny? Albo czy postąpiłby jak książę Ertugrul, który wraz z grupą turystów zwiedzał pałac Dolmabahçe, słowem nie zdradzając, kim jest ani tego, że rezydencję sułtanów zna doskonale, bo spędził w niej całe swe dzieciństwo?

Gdy uchylono zakaz pobytu w Turcji (w 1952 r. dla kobiet, w 1974 dla mężczyzn), członkowie dynastii, wiedzeni sentymentem, zaczęli pojawiać się w ojczyźnie. Niektórzy tu zostali. Dziś już, choć bez ostentacji, zaczynają udzielać się publicznie. Są zapraszani na uroczystości, np. w rocznicę zdobycia Konstantynopola, i na konferencje, takie jak sympozjum w stulecie śmierci Abdulhamida II, sułtana-reformatora. Wielu, jeśli nie większość, wywodzi się od niego, bo Abdulhamid miał kilkanaście żon oraz faworyt i adekwatną do tego liczbę dzieci i wnuków.

Władze erdoğanowskiej Turcji istotnie okazują Osmanom zauważalną życzliwość. Czy na coś liczą? Recep Erdoğan to wytrawny polityk, ale w tej jednej kwestii odkłada być może na bok rachuby polityczne. Gdyby szukać tego, co jest dlań ważne i bliskie, na wysokim miejscu byłyby imperium i Stambuł – nierozdzielnie. A skoro tak, to również Osmanowie. Nie przypadkiem nie tak dawno temu prezydent oznajmił, że „republika to kontynuacja imperium".

A Turcy, choć wcale nie pragną restytucji sułtanatu, darzą swą dynastię prawdziwą estymą. Za imperium, za minioną świetność, za brak roszczeń do tronu. I za stosunek do republiki, przeciwko której Osmanowie nigdy nie wystąpili.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ADOBE STOCK

SZWAJCARIA Z „MAŁŻEŃSTWAMI"

Szwajcarscy parlamentarzyści przegłosowali zmianę zasad. „Małżeństwa" osób tej samej płci będą teraz legalne w tym kraju (prawdopodobnie, zanim ustawa wejdzie w życie, obywatele będą jeszcze mieli szansę wypowiedzieć się o tym w referendum). Nowelizacja prawa zakłada jednocześnie, że ktoś, kto będzie czuł się akurat bardziej mężczyzną niż kobietą (i odwrotnie), po prostu to w urzędzie oświadczy i w dokumentach będzie mógł używać płci, jaką sobie sam uzna, że chce mieć.

STALIN Z HONORAMI

Rada miasta Bratysławy postanowiła uporządkować listę honorowych obywateli. Co się okazało? Że do niedawna honorowym obywatelem stolicy Słowacji był… Józef Stalin (tytuł przyznano mu w 1946 r.). Za jednym zamachem przy odbieraniu honorów sowieckiemu zbrodniarzowi radni z Bratysławy pozbawili też takiego tytułu Klementa Gottwalda – pierwszego komunistycznego prezydenta Czechosłowacji.

PREZYDENT PŁACI ZA BRAK MASKI

Prezydent Chile Sebastián Piñera dał się namówić na selfie z nieznajomą na plaży. Spacerował, ona go rozpoznała, on się zgodził. Jednak na zdjęciu – które wyciekło potem do mediów – głowa państwa i jego wielbicielka stoją blisko siebie bez obowiązkowych maseczek. Za to wykroczenie prezydent Piñera został więc ukarany grzywną w wysokości 3,5 tys. dol. I tak łagodnie, bo w Chile za łamanie takich przepisów grożą nawet kary więzienia.

PANDEMICZNY AUTOŚLUB

Nie można organizować imprez ślubnych. Bo pandemia. W Malezji jednak w uroczystości wzięło udział 10 tys. osób. Nowożeńcy zamiast wynajmować salę, zorganizowali punkt drive-thru. Tam przyjmowali życzenia, a potem podjeżdżającym gościom pracownik restauracji wręczał „ślubny" obiad na wynos. Cała impreza trwała trzy godziny. Nikt nie utknął w korku – bo odbieranie życzeń i rozdawanie obiadów przebiegało sprawnie.

ZASYPANY PRZEZ PŁUG ŚNIEŻNY

W amerykańskim Owego (stan Nowy Jork) niejaki Kevin Krasen miał podwójnego pecha. Najpierw na drodze stanowej 17C zepsuł mu się samochód, a potem jeszcze przejeżdżający pług śnieżny przykrył jego auto ponadmetrową warstwą śniegu. Policjanci dokopali się do niego przez przypadek – gdy chcieli odsłonić skrzynkę na listy, by zorientować się w numerze domu, pod który zostali wezwani. 58-latek był w stanie hipotermii, spędził w przysypanym aucie 10 godzin. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pokolenie pochylonych głów

JACEK PRZYBYLSKI

Równowartość niemal 60 tys. zł wydał sześcioletni George Johnson w swej ulubionej grze na maminym iPadzie. Zakupione monety pomagały mu przechodzić kolejne poziomy. Gdy przerażona pani Johnson odkryła, że jej konto zostało obciążone tak wielką kwotą, skontaktowała się z Apple. Sześciolatek nie wiedział zaś, że choć gra to kreskówka, a bohater fikcyjny, to wydawane pieniądze są prawdziwe. Firma odmówiła jednak zwrotu pieniędzy. Rodziny nie stać teraz na spłatę rat realnego kredytu hipotecznego, a George, gdy dorośnie, będzie miał spory dług wobec rodziców.

Media opisały już setki przypadków, gdy rodzice musieli pokryć ogromne długi, które w e-świecie zaciągnęły dzieci (BBC informowało o chłopcach, którzy wydali na „piłkarzy" równowartość 2,7 tys. zł w grze oznaczonej jako odpowiednia od trzeciego roku życia). To jednak nie utracone pieniądze są tu najstraszniejsze, ale ogromna liczba rodziców dających tablety i smartfony do zabawy coraz młodszym maluchom. I to mimo że psychologowie od lat ostrzegają przed zgubnymi skutkami udostępniania ekranów dzieciom poniżej siódmego, a zwłaszcza poniżej drugiego roku życia. „Pokolenie pochylonych głów" cierpi więc na zaburzenia rozwojowe, depresję, zaburzenia lękowe, osłabienie odporności czy ograniczenie wyobraźni. Wiele dzieci z generacji „iGen" pada też ofiarami cyberprzemocy i uzależnień: od fonoholizmu przez efekt FOMO (lęk przed przegapieniem) do problemów z hazardem.

Matka George'a stwierdziła, że jej syn zaczął zachowywać się jak narkoman. „Jakby mój sześciolatek robił sobie kreskę z kokainy, i to coraz szerszą i szerszą" – mówiła „Daily Mail". Do postanowień na Nowy Rok można więc wpisać: ograniczę dostęp do smoczka XXI w. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Pustka nad Sekwaną

Olivier Bault

Francuscy konserwatyści nie mają na kogo głosować. Emmanuel Macron i jego zwolennicy nie muszą się bać

Obrazy z protestów francuskich katolików, modlących się przed zamkniętymi kościołami, obiegły świat. Nie pierwszy raz katolicy znad Sekwany zwracają na siebie uwagę. W 2013 r., kiedy socjaliści chcieli zredefiniować małżeństwo i umożliwiać adopcję dzieci parom homoseksualnym, marsze w obronie rodziny zgromadziły w Paryżu ponad milion osób. Wszyscy komentatorzy byli zgodni, że katolicy stanowią najważniejsze, najbardziej dynamiczne źródło kontestacji przeciw rewolucji społeczno-obyczajowej, fundowanej przez neomarksistowską lewicę. Konserwatywna prawica policzyła się i nabrała pewności siebie. „Homomałżeństwa" przeszły, lecz do wyborów prezydenckich w 2017 r. postulat zniesienia nowego prawa miał jeszcze swojego reprezentanta w osobie Marine Le Pen. W obozie centroprawicy prawybory jesienią 2016 r. niespodziewanie wygrał były premier François Fillon z programem otwarcie liberalno-konserwatywnym (liberalny w sferze gospodarki, konserwatywny w sferze wartości). Nad lewicą zawisło widmo drugiej tury z udziałem Fillona i Le Pen. To, że do tego nie doszło, lewica zawdzięczyła wyjątkowo sprawnemu i szybkiemu, skoordynowanemu działaniu lewicowych mediów oraz prokuratorów mianowanych przez prezydenta Hollande'a, przy jednoczesnym masowym medialnym wsparciu udzielonemu pupilowi odchodzącego prezydenta, Emmanuelowi Macronowi.

Walec medialnej propagandy robi jednak swoje i Francuzi w większości zaakceptowali „małżeństwa" osób tej samej płci oraz możliwość adopcji dzieci przez te osoby. Na tym polu, w przeciwieństwie do kwestii np. imigracji, prawica przegrała walkę idei. Dzisiaj bitwa przeniosła się na pole legalizacji prokreacji in vitro dla par lesbijskich i samotnych kobiet. Odpowiedni projekt ustawy „bioetycznej" został przyjęty w drugim czytaniu przez Zgromadzenie Narodowe podczas nocnego głosowania pod koniec lipca i czeka teraz na głosowanie w Senacie. W styczniu – kiedy odbyła się w stolicy Francji ostatnia wielka manifestacja przeciw kolejnej odsłonie społecznej rewolucji lewicy, realizowanej tym razem przez Emmanuela Macrona – według badania opinii publicznej Instytutu Ifop 51 proc. Francuzów chciało, aby rząd wycofał lub zawiesił projekt ustawy bioetycznej.

BEZ WYBORU

Tymczasem, pomimo (malejącego mimo wszystko) oporu francuskiego społeczeństwa przed lewicowo-liberalną ideologią w sferze obrony rodziny – w odróżnieniu od kwestii związanych z coraz mniej akceptowaną masową imigracją – po porażce obozu konserwatywnego w 2017 r. konserwatyści nie mają już na kogo głosować. Tak zwana Konwencja Prawicy zorganizowana we wrześniu 2019 r. przez środowiska bliskie Marion Maréchal, czyli siostrzenicy Marine Le Pen, miała być pierwszym krokiem, aby temu zaradzić przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi w 2022 r. Rok temu w wywiadzie dla „Do Rzeczy" lider Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej Jean-Frédéric Poisson zapowiadał przygotowanie wspólnego manifestu konserwatywnej prawicy, który miałby „stopniowo stać się wspólnym programem prawicy, jak to było ok. 40 lat temu, kiedy powstawał wspólny program lewicy we Francji". Zapewniał, że dopiero wówczas wyłoniony zostanie wspólny kandydat prawicy, jednak miało się to dokonać bez udziału dwóch głównych formacji prawicowych – Republikanów (LR) i Zjednoczenia Narodowego (RN), gdyż „jesteśmy obecnie świadkami spektakularnego odpływu członków LR i nie mniej spektakularnego exodusu liderów RN, których kierownictwo partii wyrzuca za zbyt prawicowe lub konserwatywne poglądy albo którzy są zdegustowani i sami odchodzą".

Manifest do tej pory nie powstał, zapowiedziana na 2020 r. nowa konwencja prawicy, na której miał zostać przyjęty, nie odbyła się, a lider ideowej, lecz mało znaczącej i mało rozpoznawalnej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (która zmieniła w tym roku nazwę na „VIA – Głos narodu") samodzielnie ogłosił w lipcu swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich 2022 r.

Jednocześnie w partii Marine Le Pen zaobserwowano w ostatnich miesiącach kolejne działania, których celem jest odsunięcie bardziej konserwatywnych

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Ludzie w Cambrai protestują przeciw obostrzeniom z transparentem: „Chcemy mszy", 22 listopada 2020 r. FOT. PASCAL ROSSIGNOL/REUTERS/FORUM

działaczy od ośrodków podejmowania decyzji. W lipcu europosłowie Nicolas Bay i Gilbert Collard, uważani za przedstawicieli konserwatywnego skrzydła RN, zostali wykluczeni z komisji partii, której zadaniem ma być wyznaczenie kandydatów na nadchodzące wybory regionalne. Tymczasem francuskie media donoszą o powrocie do RN polityków bliskich linii Floriana Philippota. Ten polityk, zadeklarowany gej, w oczach którego sprawa „małżeństw" homoseksualnych jest tak samo ważna jak sprawa uprawy drzewek bonsai, do 2017 r. był głównym orędownikiem skrętu RN w lewo i pomysłu skupienia się na sprawach suwerenności oraz powrotu do franka francuskiego.

Popularny mer miasta Béziers Robert Ménard – inicjator wcześniejszej, nieudanej próby zjednoczenia konserwatywnej prawicy – odnosząc się do samej Marine Le Pen, stwierdził w czerwcu, że jej kandydatura daje Macronowi gwarancję wygranej w 2022 r. Podobnie uważa większość francuskich komentatorów.

Mający większość w Senacie i stanowiący największą grupę opozycyjną w Zgromadzeniu Narodowym centroprawicowi Republikanie (LR) również nie są żadną alternatywą dla francuskiego wyborcy o konserwatywnych poglądach. W ostatnich wyborach europejskich wyborca ten nie dał się zresztą zwieść kolejny raz. Pomimo że na czele listy stanął katolik, o którym można rzeczywiście powiedzieć, że ma prawicowe, konserwatywne poglądy, były tam także osoby, którym światopoglądowo było na pewno bliżej do liberalnej lewicy w stylu Emmanuela Macrona. Centroprawica dostała tylko 8,5 proc. głosów i zajęła dopiero czwarte miejsce za partiami Marine Le Pen, Emmanuela Macrona i Zielonych.

Szef grupy LR w europarlamencie – konserwatysta François-Xavier Bellamy – w głosowaniach często odstaje od partyjnych kolegów, głosujących razem z większością ludowców wraz z liberałami i lewicą. Gdy np. grupa posłów PiS i innych posłów grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów zaproponowała 25 listopada wprowadzenie do raportu o stanie praw podstawowych w UE w 2019 r. poprawki o prawie do życia od poczęcia, Bellamy jako jedyny europoseł LR głosował za tym. Pozostali zagłosowali przeciw (w RN dwóch głosowało za, dwóch przeciw, a reszta wstrzymała się od głosu). Podobnie było nazajutrz, gdy doszło do głosowania nad rezolucją, w której żąda się liberalizacji prawa aborcyjnego w Polsce i wzywa Komisję i Radę UE do wstrzymania funduszy dla Polski na podstawie nieistniejącego jeszcze mechanizmu „praworządności". W grupie LR tylko Bellamy zagłosował przeciw (podobnie jak wszyscy europosłowie RN).

BEZ KANDYDATA

Rozdarta centroprawica nawet nie wie, kto mógłby być jej kandydatem za półtora roku. Gdy rok temu na czele partii LR stanął mało wyrazisty Christian Jacob, uzgodniono wcześniej warunek, że szef partii nie będzie mógł kandydować na prezydenta. Teraz Jacob chce przełożyć wybór przyszłego kandydata na prezydenta na czas po czerwcowych wyborach regionalnych.

Pod koniec lipca jeden z czołowych przedstawicieli lewicowego skrzydła LR, mer Nicei Christian Estrosi, miał „lepszy pomysł": niech centroprawica po prostu dogada się z urzędującym prezydentem i poprze jego ponowną kandydaturę w 2022 r.!

Przed ostatnimi wyborami europejskimi wydawało się jeszcze, że konserwatywny elektorat mogliby reprezentować gaullista Nicolas Dupont-Aignan i jego partia Debout la France (Wstań Francjo). Przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2017 r. jako jedyny z przegranych kandydatów pierwszej tury (w której uzyskał 4,7 proc. głosów) poparł w drugiej turze kandydaturę Marine Le Pen przeciw Emmanuelowi Macronowi. Na kilka miesięcy przed wyborami europejskimi sondaże przewidywały, że jego lista, na której znajdował się także lider Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej Jean-Frédéric Poisson, mogłaby wyprzedzić listę LR z wynikiem ok. 8 proc. Ostatecznie Dupont-Aignan bezceremonialnie pozbył się Poissona i kilku innych zbyt konserwatywnych kandydatów, a jego lista nawet nie przekroczyła progu wyborczego. Dlatego dziś jego apele, aby wyłonić wspólnego kandydata w prawyborach prawicy, obejmujące partię Marine Le Pen, nie brzmią zbyt poważnie. Poza tym sama Marine Le Pen już ogłosiła w styczniu, że będzie kandydowała z ramienia RN.

Popularna wśród francuskich konserwatystów Marion Maréchal woli na razie zajmować się wyższą szkołą nauk politycznych, którą założyła w Lyonie. Wiadomo też, że w żadnym wypadku nie chce stanąć do boju przeciw swojej ciotce Marine Le Pen.

Zasugerowany przez mera Béziers Éric Zemmour jest popularnym publicystą, a nie politykiem, i pomysł jego kandydatury nie brzmi zbyt poważnie. W tym podzielonym krajobrazie francuskiej prawicy, w którym nawet najbardziej konserwatywni liderzy LR nie chcą słyszeć o możliwości współpracy z partią Marine Le Pen, ani w obrębie dwóch głównych partii prawicowych, ani poza nimi, nie wyłania się żadna opcja, z którą francuscy konserwatyści mogliby wiązać nadzieje podobne do tych sprzed czterech lat.

Pomimo niespecjalnie popularnych reform społeczno-obyczajowych, pomimo niechęci większości Francuzów do polityki masowej imigracji, która nigdy nie była tak liczna jak za obecnej prezydentury (do Francji przybywa rocznie ponad 400 tys. nowych imigrantów), pomimo rosnącego poczucia braku bezpieczeństwa związanego z przestępczością i terroryzmem islamskim oraz pomimo niegasnących niepokojów ulicznych, Emmanuel Macron i jego zwolennicy mogą czuć się bezpiecznie. Z taką prawicą nie można przegrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

POLEXIT debata DO RZECZY ZA I PRZECIW

Alternatywa dla Unii

Tomasz Cukiernik

Tylko wypracowanie alternatywnej wobec członkostwa w Unii Europejskiej strategii da Polsce szanse na równorzędne negocjowanie z Brukselą

W książce Cezarego Borowego pt. „Spowiedź Hana Solo. Byłem przemytnikiem w Indiach" autor poza ciekawymi wątkami przemytniczymi z lat 80. wprowadza też treści dotyczące brytyjskich rządów w Indiach. W tych wątkach wielokrotnie krytykuje kolonializm, pokazuje jego złe strony i drenaż hinduskiej gospodarki przez Wielką Brytanię. Pokusił się także o komentarz, że co do konstrukcji finansowej, tamte relacje przypominały „Unię Europejską na opak". Jednym słowem, widzi źdźbło w oku bliźniego, a w swoim nie dostrzega belki. Wie, że Indie były drenowane, a nie widzi, że tak samo wyzyskiwane są przez Zachód nowe kraje członkowskie.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Nie od wczoraj politycy z zachodnich państw Unii Europejskiej traktują Polskę w sposób protekcjonalny, z wyższością, patrząc na nas z góry, jak na dzikusów, których należy ucywilizować. Zawsze byliśmy tą gorszą częścią Europy, jeśli w ogóle do Europy nas zaliczano. Zachód nami pogardzał i robi to do tej pory. Krzyżacy chcieli nas chrystianizować, mimo że chrześcijaństwo przyjęliśmy 400 lat wcześniej. W czasie pierwszej wojny światowej Anglicy byli przeciwko polskiej niepodległości i gdyby nie prezydent USA Woodrow Wilson, nigdy byśmy jej nie uzyskali. Londyn zawsze popierał przestrzeń życiową, jaką mogą sobie zarządzać Niemcy na wschodzie Europy oraz w Rosji, i tam zostawiali im wolną rękę, żeby nie wtrącali się do brytyjskich kolonii. Anglicy i Francuzi nie kiwnęli palcem w 1939 r. Podczas drugiej wojny światowej Polacy byli dla nich niewygodni, bo mówili prawdę o ZSRS i komunizmie. W 1944 r. Zachód bez mrugnięcia okiem sprzedał nas w Jałcie. A teraz Polska jest popychadłem w ramach Unii Europejskiej. – Zmarnowali dobrą okazję, aby siedzieć cicho – powiedział w 2003

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ADOBE STOCK

r. prezydent Francji Jacques Chirac, jeszcze zanim polska wstąpiła do UE, na wieść, że nasz kraj dołączył do grupy państw popierających wojnę w Iraku. Z kolei w listopadzie br. premier Holandii Mark Rutte „wyrażał zniecierpliwienie" wobec Polski i Węgier, które swoim weto wstrzymały unijny pakiet budżetowy.

W 2015 r. Polska i Węgry były wielokrotnie sztorcowane w sprawie imigrantów, aż do poniżenia premier Beaty Szydło, która musiała się tłumaczyć przed PE. Na tapecie była też sprawa wycinki drzew w Puszczy Białowieskiej, procedury dotyczące powoływania sędziów, a teraz opowiada się bajki o łamaniu tzw. praworządności, szantażując odebraniem dotacji, jeśli nie będą spełniane wyimaginowane żądania niemające umocowania w traktatach. Pomijając to, że lepiej, żeby w ogóle nie było ani dotacji unijnych, ani całego unijnego budżetu, Bruksela stosuje podwójne standardy zgodnie z powiedzeniem: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie". Co wolno Francji i Niemcom, tego nie wolno Polsce i Węgrom. Francja przez dziewięć lat (sic!) z rzędu łamała unijne zasady fiskalne, utrzymując sektor finansów publicznych w deficycie na poziomie ponad 3 proc. PKB, i nikomu w Paryżu nie spadł włos z głowy. Bruksela nie przejmuje się tym, że Polsce blokowany jest handel z Rosją, a Niemcy mimo embarga dokańczają projekt Nord Stream 2.

Polska z coraz to bardziej abstrakcyjnych powodów jest gnębiona przez eurokratów, którzy w sytuacji realnego łamania praworządności we Francji nic sobie z tego nie robią. W styczniu Parlament Europejski odrzucił wniosek Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w sprawie przeprowadzenia debaty na temat praworządności we Francji, co było związane z użyciem siły wobec prawników w paryskim sądzie i brutalnymi pacyfikacjami protestujących ludzi. Także – jak zauważa francuski polityk Philippe de Villiers w swojej książce pt. „Kiedy opadły maski" – w 2017 r. rządy państw Europy Zachodniej potępiły Marsz Niepodległości, podczas gdy „rozjuszony nacjonalizm ukraiński nikomu nie przeszkadza, póki jest skierowany przeciw Rosji, podobnie jak nacjonalizm albański nie przeszkadzał nikomu, póki był skierowany przeciw Serbii".

Judit Varga, minister sprawiedliwości Węgier, oceniła, że unijny raport na temat praworządności jest stronniczy ze względu i na metodologię, i na źródła. „Niestety nawet w czasach pandemii panują podwójne standardy w UE. Są równi i równiejsi. Pokazuje to przykład Belgii, gdzie w związku z wybuchem epidemii rząd mniejszościowy przejął władzę, mimo że nie posiadał większości mandatów parlamentarnych. Belgijski parlament, kosztem części swoich prerogatyw, przyznał temu rządowi nadzwyczajne uprawnienia. Wtedy jednak żaden wysoko postawiony polityk ani żadna instytucja UE nie skrytykowali tego posunięcia. Kiedy zaś rządy Polski czy Węgier podejmują działania w oparciu o krajowe prawo, PE mówi o łamaniu unijnych traktatów" – powiedziała wPolityce.pl Jadwiga Wiśniewska, europosłanka PiS.

RECEPTA

Problem Polski polega na tym, że nie mamy wypracowanej i przygotowywanej – choćby potencjalnej – alternatywy dla członkostwa w Unii Europejskiej, która zwiększałaby swobodę manewru. Brak alternatywy powoduje, że jesteśmy spętani i możemy być szantażowani przez Brukselę. Eurokraci to widzą i wykorzystują. Według propagandy, którą nam wciskano przed referendum unijnym, jedyną pozaunijną opcją są Białoruś, Władywostok, no i białe niedźwiedzie. To oczywista nieprawda. Alternatywa – mniej lub bardziej realna – zawsze istnieje, tylko trzeba ją zauważyć. Są nią: podpisywanie dwustronnych

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

umów gospodarczych (robi tak wiele państw, np. Szwajcaria, Australia, Japonia czy Chile), budowa Trójmorza, współpraca gospodarcza w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku czy przyłączenie się do właśnie uruchomionego (15 listopada 2020 r.) bloku państw Regional Comprehensive Economic Partnership (państwa ASEAN oraz Chiny, Japonia, Korea Południowa, Australia i Nowa Zelandia). To największa strefa handlowa na świecie. W państwach bloku mieszka 2,2 mld ludzi, którzy wytwarzają 30 proc. światowego PKB. Pod względem PKB to niemal dwa razy większy rynek niż Unia Europejska (pięć razy więcej ludności niż w UE) i tam właściwie już jest centrum gospodarcze świata. Do bloku być może dołączą Indie ze swoją trzecią największą gospodarką na świecie. W tym kontekście Unia Europejska powoli staje się zaściankiem. Powinniśmy zacząć zdawać sobie z tego sprawę.

W dzisiejszych czasach odległość nie ma znaczenia. Nowa Zelandia swoje bogactwo po drugiej wojnie światowej zbudowała na eksporcie do leżącej na drugim końcu świata Wielkiej Brytanii. Teraz mamy nieporównywalnie lepsze możliwości porozumiewania się na odległość i znacznie tańszy transport. Duża odległość nie oznacza, że nie można z kimś korzystnie handlować, wzajemnie u siebie inwestować i na tym się bogacić. To właśnie na handlu, i to na handlu z odległymi rejonami świata, zbudowano i Singapur, i Hongkong, i Koreę Południową, i Japonię, i Chiny.

Według różnych szacunków Polska na uczestnictwie we wspólnym rynku zyskuje od 7,1 do 10,6 proc. PKB. Forum Obywatelskiego Rozwoju podaje, że w latach 2014–2020 było to średniorocznie ponad 40 mld euro. Jednakże regulacje unijne kosztują gospodarki państw członkowskich od 4 proc. do nawet ponad 10 proc. PKB. I koszty te będą rosły. Oczywiście łatwiej jest handlować z kimś, kto jest blisko, tym bardziej że rynek Unii Europejskiej jest duży i atrakcyjny. Bogate społeczeństwo może więcej kupić. To jest bardzo korzystna sytuacja. Jeśli jednak odbywać się to będzie kosztem niewspółmiernej eksploatacji naszej gospodarki i Polaków jako siły roboczej, to trzeba szukać innej opcji, a nawet jeśli jej nie realizować, to pokazywać, naszym tzw. partnerom zachodnioeuropejskim, że ją mamy.

Żeby tak było, trzeba myśleć strategicznie i perspektywicznie na dekady do przodu, a nie wyłącznie o kolejnych wyborach. Będąc członkiem UE, Polska nie może prowadzić niezależnej polityki, nie może korzystać z dobrodziejstw, które dawałyby porozumienia z krajami trzecimi, więc uniemożliwia nam się tę opcję. Podcina nam się też skrzydła przewagą kapitałową Zachodu oraz blokowaniem polskich firm przez regulacje unijne czy krajowe w państwach członkowskich. W efekcie nie możemy w pełni korzystać z rynku unijnego. Na przykład w życie wchodzi pakiet mobilności uderzający w polską branżę transportową czy regulacje dotyczące delegowania pracowników niekorzystne dla polskich firm. Podobnie będzie z unijną płacą minimalną, która obniży naszą konkurencyjność, czy z planowanym systemem punktowania żywności Nutri-Score, który uderzy w polskie wyroby tradycyjne, o katastrofalnej unijnej polityce energetyczno-klimatycznej nie wspominając. Pytanie retoryczne: Jaką regulację na forum Unii Europejskiej wywalczyła Polska, która byłaby korzystna dla naszej gospodarki, a niekorzystna dla gospodarek Europy Zachodniej?

BRAĆ PRZYKŁAD Z NIEMIEC

Straszą nas odebraniem dotacji, a nawet już zaczęli to robić, albo polexitem. Ceną za dotacje – jak się okazuje – są jednak wtrącanie się w politykę wewnętrzną, dalsza utrata suwerenności i narzucanie ideologii sprzecznej z naszą tradycją i kulturą. Przykładem jest nie tylko indoktrynacja ideologią LGBT, lecz także takie działania jak przyjęcie 26 listopada przez PE rezolucji uznającej wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji za „ograniczenie praw kobiet", a co więcej, domagającej się od Rady Europejskiej interwencji w sprawie Trybunału. Tak samo my powinniśmy straszyć Brukselę tym, że mamy alternatywę, że UE nie jest jedyną opcją na tym świecie i da się funkcjonować poza nią. Najważniejsze, żeby w ogóle mieć inną opcję i móc pokazać, że ona rzeczywiście istnieje, bo wtedy mamy zupełnie inne stanowisko negocjacyjne, dzięki któremu można ugrać znacznie więcej. Chodzi o to, żeby być przygotowanym na taki scenariusz, niekoniecznie musi dojść do jego realizacji.

Poza tym polexit i nawiązanie bliższych relacji z państwami trzecimi nie musi wcale oznaczać, że stosunki gospodarcze z UE zostaną zniesione. Na tym straciłyby też kraje Unii. Niemcy, które zainwestowały grube miliardy i korzystają na przejmowaniu gospodarek Europy Wschodniej, nigdy na to nie pozwolą. Co więcej, alternatywę należałoby mieć także na wypadek rozpadu Unii, czego nie można wykluczyć.

Skandalem jest natomiast prowadzenie jednostronnej polityki. Wcześniej było (przymusowe) nastawienie na Moskwę w kwestiach i gospodarczych, i politycznych, i bezpieczeństwa. Teraz mamy nastawienie na Brukselę w kwestiach gospodarczych, a w kwestiach bezpieczeństwa – na Waszyngton. Absolutnie nie mówię, że należy rezygnować z sojuszu z USA, bo w aktualnej sytuacji jest to prawdopodobnie opcja najkorzystniejsza. Nie sugeruję też, że należy rezygnować z integracji gospodarczej w ramach UE. Wręcz przeciwnie – Polska powinna móc korzystać z wolnego dostępu do nieco ponad 400 mln konsumentów, ale na uczciwych i równoprawnych zasadach. Bez wtrącania się Brukseli w politykę wewnętrzną, bez unijnych podatków, bez euroobligacji i bez szkodliwych dla naszej gospodarki euroregulacji.

Ponowne przerzucenie całej gospodarki na całkiem nowe tory, to proces skomplikowany, długotrwały i może być bolesny. Lepiej go uniknąć. Musimy jednak być na to przygotowani, bo jak stwierdził prof. Roger Scruton, brytyjski filozof: „Unia Europejska zawsze była używana instrumentalnie przez jedne państwa jako maszyna do forsowania własnych interesów i osiągania przewagi nad innymi państwami, uznawanymi za rywali". Szczególnie jest to widoczne w przypadku Niemiec i Francji. I jeśli chcemy korzystać na członkostwie, to musimy robić to samo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Polexit – za czy przeciw?

Wcześniej w tej sprawie na łamach „Do Rzeczy" pisali:

- Paweł Lisicki – „Czego naprawdę się boimy?" („Do Rzeczy" nr 48, 23 listopada 2020 r.)
- Rafał A. Ziemkiewicz – „Chcesz pozostać w Unii, szykuj polexit" („Do Rzeczy" nr 48, 23 listopada 2020 r.)
- Piotr Semka – „Nie wszystko jest takie proste" („Do Rzeczy" nr 49, 30 listopada 2020 r.)
- Tomasz Sommer – „Unia przekupuje nas funduszami" („Do Rzeczy" nr 50, 7 grudnia 2020 r.)
- Marek Jurek – „Nowa geopolityka" („Do Rzeczy" nr 51, 14 grudnia 2020 r.)

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Dobrze, że są NBP i złoty

Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Polska gospodarka jak dotąd radzi sobie chyba najlepiej w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o ekonomiczne skutku pandemii koronawirusa. Gdyby spojrzeć całościowo na takie wskaźniki jak stopa bezrobocia, dynamika PKB czy produkcja przemysłowa, to można się tylko w tym wniosku utwierdzić. Fakty są takie, a stoją za nimi twarde dane, że kryzys w nas uderzył, ale nie powalił, i mimo wszystko jesteśmy na dobrej drodze do powrotu na ścieżkę stabilnego wzrostu gospodarczego.

Jest tak głównie dlatego, że już przed wybuchem pandemii byliśmy europejskim prymusem jeśli chodzi o wyniki makroekonomiczne. W ciągu kilku ostatnich lat polska gospodarka rosła szybko i stabilnie, bezrobocie zjechało do rekordowo niskich poziomów, a płace realne w ciągu dwóch lat poprzedzających wybuch pandemii zwiększały się w tempie ok. 5 proc. To wszystko, wraz ze znakomitą kondycją sektora bankowego oraz brakiem poważniejszych nierównowag makroekonomicznych, pozwoliło naszej gospodarce funkcjonować w tym roku możliwie nieźle, biorąc pod uwagę realia. Szok, jakiego doznała, miał charakter wstrząsu egzogenicznego, nie wynikał zatem z wewnętrznych trudności makroekonomicznych o charakterze strukturalnym.

Dużo i pozytywnie mówi się w kontekście walki z kryzysem o różnych tarczach uruchamianych zarówno przez rząd, jak i zależne od niego podmioty. I jest w tych pochwałach sporo racji. Chociaż poszczególne edycje tych tarcz nie były doskonałe i wzbudzały wiele kontrowersji, to jednak nie ulega wątpliwości, że efektywnie przyczyniły się do zamortyzowania gospodarczych skutków pandemii. Bez nich mielibyśmy do czynienia z gigantyczną katastrofą, której przejawem byłby skokowy wzrost bezrobocia, głęboki spadek PKB i zupełny krach finansów państwa. Na razie nic takiego nie miało miejsca, a najgorsze prognozy się nie sprawdziły. Na uruchomienie szybkiego wsparcia dla przedsiębiorstw pozwoliła niezła sytuacja finansów publicznych, którą udało się uzyskać przed pandemią mimo rosnących wydatków państwa na politykę społeczną.

Cichym bohaterem zdarzeń z ostatnich miesięcy jest także Narodowy Bank Polski, w tym szczególnie jeden z jego organów – Rada Polityki Pieniężnej. Błyskawiczna reakcja naszego banku centralnego przejawiająca się obniżeniem stopy procentowej, skupem na rynku wtórnym obligacji gwarantowanych przez Skarb Państwa czy zmniejszeniem rezerw obowiązkowych dla banków przyniosła spodziewane efekty. Mało się mówi o tych działaniach NBP, a warto o nich wiedzieć i docenić to, że mamy własny i niezależny bank centralny, który w razie potrzeby reaguje tak, aby pomóc przede wszystkim polskiej gospodarce. Co ciekawe, mimo tych wszystkich działań nie załamał się kurs złotego, nie wystrzeliła także inflacja, która aktualnie znajduje się w dopuszczalnym pasmie odchyleń od celu.

Skuteczność polityki NBP pokazuje, jak ważne jest posiadanie własnej waluty, szczególnie w trudnych warunkach kryzysu lepiej mieć możliwość skorzystania z narzędzi polityki pieniężnej i kursowej. Bez tego trudno mówić o skutecznej polityce gospodarczej. Stąd jeszcze raz warto docenić fakt, że posiadamy własną walutę. Chociaż od lat trwa nachalny lobbing wciskający Polskę w objęcia strefy euro, to udaje nam się zachować złotego i korzystać z dobrodziejstw z tego wynikających. Oby tak zostało.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Gorączka złota

Jacek Przybylski

Polacy pokochali złoto. W tym roku sprzedaż sztabek i monet drastycznie wzrosła. Przybyło też nad Wisłą inwestorów kupujących złoto „papierowe" i „cyfrowe"

Złoto i nieruchomości to zdaniem wielu najpewniejsze inwestycje w niepewnych czasach. I chociaż na obu można też sporo stracić, to w roku pandemii koronawirusa strach i niepewność sprawiły, że kurs złota na światowych giełdach mocno poszybował w górę.

Pod koniec lipca 2020 r. cena złotego kruszcu pobiła rekord wszech czasów, czyli 1921 dol. (z 2011 r.) za uncję, a w sierpniu za maleńką sztabkę o wadze zaledwie 31,1 g trzeba było zapłacić już 2070 dol.

Od rekordowych poziomów w sierpniu kurs zanotował jednak istotną korektę. Po kolejnych wiadomościach o sukcesach związanych ze szczepionkami obniżył się do poziomu ok. 1800 dol. Wielu inwestorów zaczęło się wówczas zastanawiać, czy przypadkiem hossa na złocie nie dobiegła już końca. Część inwestorów zaczęła więc przerzucać kapitał w kierunku akcji, obawiając się przeceny złotego kruszcu do poziomu 1600 dol. za uncję. To oczywiście możliwe (trzeba pamiętać, że jeszcze wiosną 2019 r. jedna błyszcząca sztabka kosztowała zaledwie 1250 dol.).

BLASK OD DOLARA

Analitycy niemieckiego Commerzbanku uważają jednak, że rok 2021 będzie czasem ponownych wzrostów cen złota. Według opublikowanych w połowie grudnia prognoz cena jednej uncji powróci w okolice 2000 dol., a w czwartym kwartale może nawet dojść do 2300 dol.

Ceny 2300 dol. za uncję spodziewają się również analitycy banku inwestycyj-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ADOBE STOCK

nego Goldman Sachs. „Nasza średnioterminowa prognoza na złoto jest bycza" – napisali w listopadowej analizie, przekonując, że zapowiadana wcześniej wysoka inflacja w końcu się pojawi, do czego przyczynią się m.in. rosnące ceny ropy oraz innych surowców.

Zdaniem wielu ekspertów złoto ma drożeć głównie w związku z tym, że drukarki banków centralnych nadal pracują rozgrzane do czerwoności, a koronawirusowe problemy nie będą skłaniać rządów do ich schłodzenia. Tak zwana stymulacja fiskalna oraz luźna polityka monetarna w najbliższych miesiącach nie tylko nie zostanie więc poskromiona, lecz także może być jeszcze rozszerzona, co powinno w końcu doprowadzić do deprecjacji głównych światowych walut. Innymi słowy: zakrojony na szeroką skalę dodruk pieniądza przy wyjątkowo niskich stopach procentowych doprowadzi do wysokiej inflacji i znacznego spadku siły nabywczej fiducjarnego pieniądza.

Nawet najlepsza szczepionka nie jest bowiem w stanie zneutralizować gigantycznych długów, które nieroztropni politycy zaciągają ponad miarę, aby tylko pochwalić się wyborcom kolejnymi edycjami ogromnych tarcz „antykryzysowych".

Złoto ma też wspierać prognozowana słabość amerykańskiego dolara, ponieważ – przynajmniej w teorii – złoto i dolar wykazują negatywną korelację. Nie brakuje więc analityków, którzy wskazując na to, że amerykańska Rezerwa Federalna nie jest w stanie drukować złota, wieszczą szybkie wzrosty ceny szlachetnego kruszcu nawet do 2500–3000 dol. za uncję.

ZŁOTA POLSKA

Wynikające z polityki banku centralnego śmiesznie niskie oprocentowanie lokat (na poziomie ok. 0,6 proc) w połączeniu z najwyższą w Europie inflacją (ok. 3 proc. w skali roku) sprawiło, że mocno zwiększony popyt na złoto w roku 2020 widoczny był również nad Wisłą.

Wkrótce po wybuchu pandemii – w marcu i kwietniu – sztabki złota sprzedawały się w Polsce lepiej niż świeże bułeczki. Większość lżejszych sztabek oraz monet bulionowych błyskawicznie zniknęła z półek i internetowych witryn, a większe – warte dziesiątki tysięcy złotych – sprzedawały się na pniu. Krajowym mennicom nie brakowało również klientów, którzy w złoto lokowali setki tysięcy czy miliony złotych, a na dostawę gotowi byli poczekać sześć, osiem, a czasem nawet 20 tygodni. Przez kilka tygodni marże tych dilerów, którzy posiadali fizyczne złoto, podskoczyły do kuriozalnych poziomów. Na szczęście złoty towar szybko udało się uzupełnić i marże wróciły do normy.

Z ostatniego raportu spółki Mennica Skarbowa wynika, że w ciągu pierwszych trzech kwartałów bieżącego roku spółka sprzedała ok. 1,5 tony złota, co oznacza wzrost w porównaniu z tym samym okresem ubiegłego roku aż o 70 proc. Mennica Skarbowa ma już kilkanaście stacjonarnych salonów sprzedaży, w których można kupić sztabki o różnej wadze, a także monety bulionowe, srebro czy diamenty. Jak jednak poinformowała spółka w grudniowym komunikacie prasowym, coraz więcej złota Polacy kupują przez Internet. Największą popularnością w sklepie internetowym Mennicy Skarbowej cieszą się sztabki i monety bulionowe o wadze 1 uncji (31,1 grama), a także sztabki 100-gramowe.

Według optymistycznych prognoz analityków cena jednej uncji złota w 2021 r. może sięgnąć nawet 2500–3000 dol.

Ogromny wzrost sprzedaży złotych monet, sztabek etc. odnotowała również spółka Mennica Polska. W pierwszych dziewięciu miesiącach 2020 r. w odniesieniu do porównywalnego okresu roku 2019 przychody Mennicy Polskiej w segmencie produktów menniczych były wyższe prawie o 60 proc. (465 mln zł w 2020 r. versus 294 mln zł w 2019 r.). – W ostatnich miesiącach mamy do czynienia z wyjątkowo wysokim zainteresowaniem inwestorów lokowaniem środków w żółtym kruszcu. Popyt na złoto w Mennicy Polskiej tylko w pierwszym półroczu br. wyniósł 900 kg. Obecnie możemy mówić już o poziomie 1,4 tony – zauważył Grzegorz Zambrzycki, prezes zarządu i dyrektor naczelny w Mennicy Polskiej w wydanym w październiku komunikacie podsumowującym wyniki firmy.

Wielu Polaków zainwestowało również w fundusze inwestycyjne, pozwalające czerpać zyski z rosnącej ceny królewskiego metalu. Podejmując tego typu decyzję, trzeba jednak zawsze pamiętać, że nie ma żadnej gwarancji, że złoto będzie nadal drożeć w szybkim tempie ani że jego ceny nagle nie spadną.

Złoto w sztabkach i monetach ma jednak tę przewagę nad komputerowym zapisem, że jest niezależne nie tylko od polityki fiskalnej jakiegokolwiek rządu, lecz także od jakiejkolwiek innej instytucji.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Nie trzeba ich koniecznie sprzedawać dilerowi, od którego kupiło się złoto. Można je trzymać do emerytury, przekazać wnukom lub wywieźć poza granice kraju. To właśnie dlatego krugerrandy są też bardzo lubiane przez różnego rodzaju mafiosów (a przynajmniej tak wydaje się filmowym reżyserom i scenarzystom, dzięki którym monety bite w Republice Południowej Afryki od 1967 r. weszły już z tego powodu do popkultury).

WYROCZNIA ZE ZŁOTEM

Od kilku tysięcy lat inwestycje w królewski metal były traktowane jako sposób na ochronę wartości zainwestowanego w nie kapitału. Złoto na przestrzeni lat zachowuje bowiem siłę nabywczą, stosunkowo łatwiej niż oszczędności w banku jest je także ochronić przed rosnącą chciwością rządów.

Również teraz kilka złotych monet bulionowych w bankowej skrytce lub domowym sejfie pozwala niektórym Polakom spokojniej spać. Dla wielu osób – bardziej niż sposób na szybki zarobek – złoto stanowi bowiem nadal formę polisy ubezpieczeniowej, chroniącej majątek przed największymi kryzysami, takimi jak rewolucja, wojna, hiperinflacja czy upadek systemu bankowego. Część ekspertów wierzy, że kolejne wielkie fale koronawirusa doprowadzą do dalszego zadłużania bez większego przełożenia na wzrost gospodarczy, co z kolei będzie skutkować resetem całego systemu monetarnego i powrotem do pieniądza opartego na złocie. Obecnie to mało realny scenariusz, ale w czasach postpandemicznych nie można go zupełnie wykluczyć.

Teoretycznie w każdej chwili złoto może jednak stracić status „waluty ostatniej szansy". Przed lokowaniem majątku w królewski metal długo ostrzegał guru światowych inwestorów Warren Buffett. – W Afryce lub innym miejscu kopiemy głęboki dół, z którego wydobywamy złoto i płacimy za wydobycie, następnie wypławiamy złote sztaby i płacimy za to, kopiemy inny dół, żeby schować złoto w tym dole i płacimy ludziom, aby go pilnowali. Nie używamy złota do niczego. Gdyby widzieli to Marsjanie, to byliby bardzo zdziwieni – przekonywał jeden z najsłynniejszych inwestorów świata.

W ostatnich miesiącach swoje zdanie na temat złota zmienił jednak nawet on sam. Wyrocznia z Omaha po wybuchu pandemii wyprzedawała walory takich amerykańskich banków, jak Wells Fargo, JPMorgan czy Goldman Sachs, a ponad pół miliarda dolarów zainwestowała w akcje Barrick Gold, jednego z największych producentów złota na świecie.

BITCOIN – CYFROWE ZŁOTO?

Jednocześnie trzeba pamiętać, że inwestor trzymający pieniądze w złocie nie dostaje żadnych odsetek (choć obecnie w praktyce nie dostaje ich również z lokat bankowych). Złoto pozwala jednak zdywersyfikować portfel akcji i obligacji i w razie realizacji naprawdę fatalnego scenariusza uratować chociaż część posiadanego majątku.

Część inwestorów zamiast w złoto woli lokować kapitał w sztabki i monety ze srebra albo w kryptowaluty

Z drugiej strony, jeżeli wirus nie będzie dramatycznie szybko mutował, a dzięki szczepionce nastąpi błyskawiczne ożywienie światowej gospodarki, to cena żółtego metalu może szybko spaść. Mogłoby do tego dojść głównie wówczas, gdyby jednocześnie z odrodzeniem się gospodarek po pandemii doszło do istotnego wzrostu rentowności amerykańskich obligacji, przy których nieoprocentowane złoto zaczęłoby wyglądać blado. A także, gdyby inwestorzy jeszcze więcej kapitału zamiast w sztabki i monety bulionowe kierowali w stronę bitcoina.

Wartość słynnej kryptowaluty wzrosła w tym roku ponad trzykrotnie, a cena jednego tokena przełamała w ostatnich tygodniach barierę 20 tys. dol. (w dniu zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" wynosiła ponad 22 tys. dol.). Według niektórych ekspertów, jak Scott Minerd z Guggenheim Investments szalony dodruk pieniądza przez banki centralne w połączeniu z niedoborem bitcoina może wynieść cenę jednego tokena nawet na poziom 400 tys. dol.

Z kolei wspomniany wyżej Warren Buffett już w 2018 r. nazwał bitcoiny i inne kryptowaluty „trutką na szczury do kwadratu". – Kryptowaluty niczego nie dostarczają. Kiedy kupujesz nieproduktywne aktywa, możesz liczyć tylko na to, że następna osoba zapłaci więcej niż ty, bo jeszcze bardziej wierzy w to, że zaraz znajdzie się kolejny inwestor – zauważył „mędrzec z Omaha", który konsekwentnie w swojej karierze odróżniał spekulację od inwestowania.

Żądni zysku nabywcy bitcoina zdają się zapominać o wielkim krachu na tym rynku sprzed zaledwie dwóch lat i jak zaczarowani wierzą, że zrobią interes życia na XXI-wiecznych „cebulkach tulipanów". Czy ta wiara może zagrozić notowaniom złota? Zdania wśród ekspertów są podzielone. Według cytowanych przez agencję Bloomberga analityków amerykańskiego banku JPMorgan Chase & Co. „wzrost kryptowalut w głównym nurcie finansów odbywa się kosztem złota".

Z kolei według analityków Goldman Sachs szybko rosnąca popularność cyfrowej waluty nie zagraża jednak królewskiemu metalowi. „Złoto i cyfrowe złoto mogą współistnieć" – napisali w wydanej rekomendacji specjaliści z Goldman Sachs, starając się rozwiać obawy niektórych inwestorów, którzy uważają, że bitcoin zastępuje obecnie złoto jako preferowane zabezpieczenie przed inflacją. „Nie postrzegamy rosnącej popularności bitcoina jako egzystencjalnego zagrożenia dla statusu złota jako waluty ostatniej szansy" – przekonują eksperci tego znanego na całym świecie banku inwestycyjnego.

Część inwestorów zamiast złota czy kryptowalut woli kupować srebro, które stało się – obok bitcoina – jednym z największych hitów inwestycyjnych roku 2020. Podobnie jak w przypadku królewskiego metalu sprzyjają mu tani dolar, ryzyko szybko rosnącej inflacji, niska rentowność obligacji oraz niestabilność rynków finansowych. A dodatkowo jest metalem dużo częściej niż złoto wykorzystywanym w przemyśle – w przypadku królewskiego metalu przemysłowe wykorzystanie szacuje się na ok. 10 proc., tymczasem przez ostatnie lata większość popytu na srebro wynikała z zapotrzebowania przemysłu – jest ono wykorzystywane m.in. w elektronice, w stopach lutowniczych, w medycynie czy w panelach słonecznych. Z danych polskich mennic wynika, że w 2020 r. odnotowały one rekordową sprzedaż srebra pod postacią monet bulionowych i srebrnych sztabek. Wielki kryzys jest więc wielu Polakom coraz mniej straszny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska najlepsza w Europie?

Premier Morawiecki, zapytany niedawno, czy w obliczu narastających kłopotów firm – kłopotów spowodowanych bardzo kosztownym dla gospodarki sposobem reagowania przez rząd na COVID-19 – rozważa powstrzymanie się od nakładania w najbliższym czasie nowych podatków i rezygnację z podnoszenia wymiaru już istniejących, odparł, że nie rozważa, gdyż pieniądze podatników są państwu niezbędne, by… ratować podatników. I, jak wiadomo, tych podatków – całkiem nowych, jak handlowy, cukrowy, mocowy, małpkowy – a także tych starych, które zostaną podniesione, nie brakuje.

Przy tej samej okazji premier pochwalił się opinią Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który uznał nasze tarcze antykryzysowe za największe w Europie, gdy weźmie się pod uwagę relację do PKB. I buńczucznie zapewnił: „Państwo polskie ma i będzie miało środki na ratowanie najbardziej zagrożonych branż, a właśnie w ogromnej większości z podatków polskich podatników ratujemy gospodarkę i branże, które są w najgorszym położeniu".

Czyż jednak taki sposób myślenia nie dowodzi raczej, że władze Polski – w związku z COVID-19 – popełniły i nadal popełniają nie jeden, ale dwa, a może i trzy błędy? Pierwszy z nich to wybranie przez rząd (to fakt: nie tylko przez nasz rząd) – zwłaszcza w drugiej, jesiennej fazie batalii z COVID-19 – zbyt niszczącej dla gospodarki formy walki. Być może z powodu przespania lata, gdy państwo powinno zostać przygotowane do walki z koronawirusem bez potrzeby zamykania tak wielu branż, te koszty znów są ogromne, więc znowu pociągają za sobą konieczność fundowania wielkiego wsparcia. Koszty zwielokrotniane przez towarzyszący zmaganiom chaos – czego symbolem jest zamknięcie cmentarzy dopiero w wieczór poprzedzający 1 listopada.

Drugim błędem jest sama wysokość tej pomocy. W końcu na rzekomą pochwałę ze strony MFW można równie dobrze spojrzeć jak na tęgą przyganę, że nasze tarcze antykryzysowe są zbyt duże jak na możliwości polskich podatników, bo to w końcu oni – jak wreszcie przyznał premier Morawiecki – będą musieli za wszystko zapłacić. I będą te tarcze spłacać przez całe dekady swego życia w coraz wyższych podatkach.

I wreszcie trzeci błąd: dlaczego rząd, zamiast fundować dotacje dla poturbowanych przez własne decyzje branż, po prostu nie obniżył im – choćby przejściowo – podatków? Tak jak to zrobił z czasowo uchylonymi składkami do ZUS. Takie rozwiązanie zawsze jest tańsze, zawsze mniej demobilizuje i zawsze mniej zachęca do nieuczciwości (śledztw w sprawie wyłudzeń dotacji będzie z pewnością coraz więcej). No tak… Ale gdyby rząd po prostu obniżył podatki, to jak mógłby się chwalić „największymi tarczami antykryzysowymi w Europie"? Jak mógłby się chlubić, że tak bardzo „pomaga gospodarce"? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Będzie trzęsło

Bardzo bym chciał napisać Państwu na końcu tego koszmarnego 2020 i początku nowego 2021 r. coś optymistycznego i niemalkontenckiego. Niestety, byłbym wtedy z Państwem skrajnie nieuczciwy.

Tego nie chcę, więc muszę uprzedzić: będzie gorzej. Nie piszę tu nawet o scenariuszach prawdopodobnych, ale bynajmniej nie pewnych. Na przykład o takim, że w praktyce masowo stosowane szczepionki na SARS-CoV-2 okażą się dawać odporność raptem na trzy miesiące, co sprawi, że nigdzie nie uda się zaszczepić wystarczająco wielu osób, aby przerwana została epidemia. Lub takim, że za moment pojawi się jakaś kolejna mutacja wirusa, wobec której szczepionki za miliardy euro okażą się całkowicie nieskuteczne. To wszystko stać się może, ale bynajmniej nie musi.

Pewne rzeczy jednak staną się na pewno. Na pewno w dramatycznym stanie będą polskie finanse publiczne i na pewno z tego powodu fiskus zacznie głębiej sięgać nam wszystkim do kieszeni. Już teraz docierają do mnie opowieści z różnych miejsc w Polsce, że administracja skarbowa radykalnie wzmogła swoją aktywność, starając się ściągnąć wszelkie zaległości, także drobne i nie idąc z przedsiębiorcami na żadne układy. Nawet z tymi stojącymi pod ścianą.

I to jest drugi pewnik: wiosną nastąpi fala upadłości, likwidacji firm i zwolnień. Ostatecznie swój żywot zakończy wiele zamkniętych przez rząd biznesów, przede wszystkim w sferze odpowiadającej za nasze życie społeczne. Za tym zaś pójdą wielkie zakupy na tej fatalnej wyprzedaży. Warto obserwować, co będą kupować spółki Skarbu Państwa, a co wielkie międzynarodowe koncerny. W obu przypadkach za grosze.

W dramatycznym stanie będą finanse publiczne i fiskus zacznie głębiej sięgać nam wszystkim do kieszeni

Trzeci pewnik to to, że fala rozejdzie się po całej gospodarce jak po jeziorze po wrzuceniu kamienia w wodę. Dla przykładu: upadłość jednego centrum handlowego uderza w najemców, firmy konserwujące infrastrukturę, firmy sprzątające, transportowe, a nawet w banki, bo jeśli upadła firma miała kredyt obrotowy lub inny – a zwykle ma – to przestaje go spłacać i bank musi sobie to odpisać z bilansu. A przecież skądś te pieniądze musi ściągnąć. I to z kolei uderzy w klientów tego banku.

Wszystko to stanie się przy oślim wręcz uporze władzy, by utrzymać wszystkie socjalne przywileje. Trzymajmy się mocno, bo będzie trzęsło. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Co przyniesie rok 2021?

Rok 2021 przyniesie dalszy rozwój usług świadczonych zdalnie. Banki będą udoskonalać systemy, które w bezpieczny sposób pozwolą załatwić większość spraw bez wychodzenia z domu. Zaoferują także nowe rozwiązania, które wychodzą daleko poza sferę finansową

Korzystanie z usług finansowych już nigdy nie będzie takie jak przed pandemią. Ci, którzy jeszcze rok temu nie byli do końca przekonani do rozwiązań on-line, wraz z pojawieniem się koronawirusa, ze względów bezpieczeństwa, stanęli przed koniecznością zmiany przyzwyczajeń.

Klienci banków polubili zdalne bankowanie zatem Alior Bank nieustannie pracuje nad usprawnieniem usług i wdrażaniem technologii, które ułatwiają klientom indywidualnym i biznesowym zarządzanie finansami. W ciągu ostatnich miesięcy bank wprowadził wiele zmian zwiększających funkcjonalność bankowości internetowej oraz i mobilnej.

Obecnie bez wychodzenia z domu, można nie tylko otworzyć konto czy założyć lokatę, lecz także np. wziąć pożyczkę na selfie. Możliwe jest to dzięki autorskiemu rozwiązaniu FOTO ID, które pozwala na szybką i sprawną weryfikację klienta za pomocą telefonu komórkowego.

Bank wprowadził również do oferty rozwiązania oparte na otwartej bankowości i usługach wynikających z unijnej dyrektywy PSD2. Dzięki temu klienci za pomocą bankowości internetowej Alior Online i aplikacji mobilnej Alior Mobile mają podgląd swoich rachunków osobistych w innych bankach. Mogą również za pośrednictwem tych systemów zlecać przelewy ze swoich kont w innych polskich bankach.

TECHNOLOGIA WYPIERA GOTÓWKĘ

Dzięki rozwojowi technologii już dziś większość nieskomplikowanych usług bankowych ma charakter samoobsługowy i realizowana jest między innymi za pośrednictwem bankowości elektronicznej. Jednocześnie zauważalnie rośnie liczba placówek bez obsługi gotówkowej. Zgodnie z dostępnymi danymi po III kwartale 2020 r. na polskim rynku istniało już 430 takich oddziałów, czyli prawie 160 więcej niż rok wcześniej.

W czasie epidemii koronawirusa Polacy chętniej korzystają z płatności bezgotówkowych, płacąc już nie tylko kartami, lecz także smartfonami i inteligentnymi zegarkami. Przegląd wpływu pandemii COVID-19 na strukturę transakcji klientów Alior Banku pokazał, że np. w trakcie tegorocznych wakacji liczba osób aktywnie korzystających z kart i BLIKA wzrosła o ponad 6 proc. (rok do roku). **W zaistniałej sytuacji epidemiologicznej płatności bezgotówkowe zdecydowanie zwiększają bezpieczeństwo klientów w porównaniu z tradycyjną gotówką, dlatego instytucje finansowe aktywnie promują tę formę rozliczeń.**

Polacy podczas pandemii COVID-19 poszukują także rozwiązań, które pomagają im zarządzać finansami – coraz chętniej korzystają więc z kart kredytowych. Jak wynika z danych udostępnionych przez Alior Bank, w ostatnim czasie wzrosła sprzedaż kart kredytowych, jeszcze rok się nie skończył a już jest zauważalny wzrost o 92 proc. w stosunku do roku 2019. Jednocześnie bank rozszerzył możliwość korzystania przez klientów z rat w karcie kredytowej poprzez bankowość internetową i mobilną. Dzięki temu możliwe jest samodzielne rozłożenie zadłużenia na raty po zalogowaniu się do bankowości internetowej i mobilnej.

WIĘCEJ NIŻ BANK

W ramach realizacji strategii biznesowej **Alior Bank konsekwentnie pracuje nad stworzeniem w aplikacji Alior Mobile szeregu usług pozabankowych.** Dzięki temu klienci banku już teraz mogą w dowolnym miejscu i czasie zapłacić za bilety komunikacji miejskiej i parkingowe oraz przejazd autostradą. W przyszłości planowane są kolejne wdrożenia, które ułatwią klientom codziennie życie. Chociaż jest coraz mniej powodów, aby odwiedzać oddziały, to jednak nie ma obaw, że placówki bankowe znikną z przestrzeni publicznej. Wciąż bowiem istnieje grupa klientów, która woli załatwiać swoje sprawy w oddziale oraz szuka interakcji z pracownikiem banku.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

ALIOR BANK

APLIKACJA MOBILNA

CAŁE KONTO W **ALIOR MOBILE**

- **Konto przez VideoSelfie**
- **Płatności mobilne, w tym BLIK**
- **Bilety komunikacji miejskiej i parkingowe**
- **Wiele banków w jednej aplikacji**
- **Logowanie odciskiem palca i Face ID**

www.aliorbank.pl/aplikacja

Szczegółowe zasady zawarte są w Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, Regulaminie korzystania z Kanałów Elektronicznych dla klientów indywidualnych i Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA. Dokumenty te dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl. Zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych konto oznacza rachunek płatniczy. Aplikację Alior Mobile możesz pobrać bezpłatnie na swój telefon ze sklepu App Store (iOS) lub Google Play™ (Android™). Android i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Zakup biletów realizowany jest przez Mobile Traffic Data Sp. z o.o. za pośrednictwem Systemu moBILET. Stan na 10.12.2020 r.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Jak banki wspierają firmy?

Zdalny proces kredytowy, samoobsługowy moduł w bankowości internetowej BusinessPro – to tylko niektóre z wielu rozwiązań, które Alior Bank proponuje przedsiębiorcom, aby ułatwić im prowadzenie firmy w czasie pandemii

Klienci biznesowi coraz chętniej korzystają z kanałów zdalnej komunikacji z Alior Bankiem - z jednej strony wynika to z wygody, jaką one dają, z drugiej zaś to efekt trwającej od miesięcy pandemii koronawirusa. Dlatego Alior Bank konsekwentnie usprawnia usługi i wdraża technologie, które ułatwiają przedsiębiorcom prowadzenie codziennego biznesu i relacje z bankiem.

CYFROWE ROZWIĄZANIA PRIORYTETEM

Zarówno dotychczasowi, jak i nowi klienci z segmentu mikrofirm mogą uzyskać finansowanie aż do 200 tys. zł, online, bez konieczności wizyty w oddziale. Tak nowatorskie rozwiązanie jest możliwe dzięki zastosowaniu autorskiej metody weryfikacji klienta. Mikrofirmy do załatwienia wszystkich formalności związanych z kredytem wykorzystują platformę Autenti i Foto ID. Procedurę FOTO ID bank udostępnia klientom, którzy posiadają telefon komórkowy z dostępem do Internetu. Osoba, która wyrazi zgodę na weryfikację z zastosowaniem tej technologii, otrzyma na swój numer telefonu jednorazowy link, a podczas rozmowy telefonicznej pracownik banku przekaże jej kod autoryzacyjny. W kolejnych krokach klient robi zdjęcia dowodu osobistego oraz nagrywa film, wykonując kilka poleceń losowo dobranych przez system. Dzięki temu bank sprawdza dokument tożsamości i potwierdza, że klient wykonuje identyfikację samodzielnie i świadomie. Technologia FOTO ID wykorzystywana jest do zdalnej weryfikacji tożsamości osób fizycznych powiązanych relacją z klientem biznesowym oraz do potwierdzania tożsamości współmałżonka, od którego wymagana jest zgoda na zaciągnięcie zobowiązania przez przedsiębiorcę. Małe, średnie i duże przedsiębiorstwa mogą również uzyskać finansowanie czy odnowić istniejące zaangażowanie, bez konieczności wizyty w oddziale, w oparciu o podpis kwalifikowany.

Stale rozszerzamy gamę produktów i usług dostępnych zdalnie, bo zdajemy sobie sprawę, że takie rozwiązania są dla klientów szybsze, wygodne i bezpieczne. Udostępniliśmy nowy moduł w bankowości elektronicznej BusinessPro, który umożliwia przedsiębiorcom zamawianie wybranych produktów i usług bankowych on-line o każdej porze, z dowolnego miejsca na świecie. W Centrum Produktów klienci mogą już np. składać wnioski on-line o firmowe karty debetowe, a także o otwarcie rachunku pomocniczego, płacowego oraz lokacyjnego wraz z nadaniem wybranym użytkownikom systemu uprawnień do nowo otwartego rachunku. System umożliwia także współpracę z bankiem poprzez szybkie i bezpieczne kanały komunikacji. Autoryzacja wniosku w samoobsługowym module w bankowości internetowej odbywa się za pośrednictwem kodu SMS.

Alior Bank udostępnia również klientom korporacyjnym oraz z sektora MŚP bezpieczną obsługę dokumentów za pośrednictwem rozwiązań cyfrowych. Usługa ta umożliwia zdalne podpisywanie umów ramowych, kredytowych, umów produktów transakcyjnych, aneksów, dokumentów finansowych firmy oraz dyspozycji posprzedażowych. Zdalna obsługa przedsiębiorców jest możliwa dzięki wykorzystaniu podpisu kwalifikowanego.

OFERTA DOSTOSOWANA DO PLANÓW POMOCOWYCH

Wspieramy przedsiębiorców w utrzymaniu płynności finansowej, ponieważ zależy nam, aby w jak najmniejszym stopniu odczuli skutki zakłóceń w gospodarce. Dostosowaliśmy ofertę do planu pomocowego BGK. Dzięki temu klienci mogą szybciej uzyskać finansowanie obrotowe. Firmom z segmentu MŚP proponujemy gwarancję de minimis. Natomiast Gwarancję Biznesmax w formie pomocy de minimis kierujemy do firm innowacyjnych i proekologicznych. Gwarancja z Funduszu Gwarancji Płynnościowych to specjalne rozwiązanie dla średnich i dużych firm prowadzących pełną księgowość. W ofercie pojawiła się również linia gwarancyjna dla faktoringu w ramach Funduszu Gwarancji Płynnościowych BGK, dzięki której firmy łatwiej uzyskują finansowanie w formie faktoringu niepełnego i odwrotnego. Z gwarancji mogą skorzystać klienci, którzy ubiegają się o tę formę finansowania z przeznaczeniem na zabezpieczenie płynności firmy utraconej w wyniku pandemii COVID-19.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Wprowadziliśmy też katalog ułatwień w procesowaniu spraw klientów narażonych na ekonomiczne skutki pandemii i umożliwiliśmy firmom odraczanie spłaty rat kredytów.

Klienci z segmentu mikrofirm oraz małych i średnich przedsiębiorstw mogli składać w Alior Banku wnioski o subwencję w ramach Tarczy Finansowej Polskiego Funduszu Rozwoju dla Firm i Pracowników za pośrednictwem bankowości internetowej. Bank będzie również wspierać przedsiębiorców w dostępie do subwencji w ramach Tarczy Finansowej 2.0.

AKTYWNI ZYSKUJĄ WIĘCEJ

Przedsiębiorcom, którzy zdecydują się na wybór iKonta Biznes i Rachunku 4x4, bank proponuje premię za aktywne bankowanie w ramach promocji „1500 zł dla firm". Maksymalna kwota premii możliwa do wypłacenia wynosi 125 zł miesięcznie, czyli nawet 1,5 tys. zł rocznie. Lista aktywności, za które klient otrzymuje premię, obejmuje m.in. przelewy do ZUS i US, przelewy SEPA, przelewy zagraniczne, transakcje kartą debetową, korzystanie z oferty kas fiskalnych czy transakcje walutowe w ramach usługi Autodealing.

Poza premiami na przedsiębiorców współpracujących z Alior Bankiem czekają też inne miłe niespodzianki. W listopadzie Alior Bank jako pierwszy na rynku udostępnił specjalny katalog nagród dla firm w programie Mastercard® Bezcenne® Chwile. Oferta skierowana jest do przedsiębiorców z segmentu mikrofirm, którzy aktywnie korzystają z kart płatniczych Mastercard.

Właściciele kart mogą je zarejestrować w programie Mastercard® Bezcenne® Chwile w prosty sposób z poziomu bankowości internetowej Alior On-line lub w placówce banku. Dzięki uczestnictwu w tym programie klienci otrzymują nagrody za transakcje on-line i realizowane w punktach stacjonarnych. Użytkownicy kart kredytowych Mastercard Business LOTOS mogą natomiast otrzymać rabat na paliwo na stacjach Lotos – do 20 gr./l

BEZPIECZNA I WYSOKA JAKOŚĆ OBSŁUGI

Także dla osób, które nawet w czasach pandemii preferują bezpośredni kontakt z doradcą, wprowadziliśmy specjalne rozwiązanie. Klienci banku mają możliwość rezerwacji wizyty w oddziale poprzez system Booksy, co poza dużą wygodą i brakiem konieczności oczekiwania w kolejce, zwiększa również ich bezpieczeństwo. Obecnie z platformy korzystają osoby, które chcą wybrać się do dowolnej placówki własnej Alior Banku w Krakowie, Szczecinie, Warszawie i we Wrocławiu. Wkrótce rozwiązanie będzie dostępne w innych miastach.

Aby jeszcze bardziej usprawnić obsługę firm, powołaliśmy centralny zespół do realizacji dyspozycji posprzedażowych, który szybko i sprawnie kontaktuje się z klientami telefonicznie, za pośrednictwem e-malia lub platformy komunikacyjnej w systemie bankowości internetowej BusinessPro.

Marek Sołtysiak jest dyrektorem zarządzającym Pionem Produktów Klienta Biznesowego w Alior Banku.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ADOBE STOCK

Pneumokok jak koronawirus

Z prof. Adamem Antczakiem, kierownikiem Kliniki Pulmonologii Ogólnej i Onkologicznej UM w Łodzi
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Cały świat mówi dziś o szczepieniach przeciwko koronawirusowi. Dyskusja w tej kwestii zdominowała dyskusję o wszystkich szczepieniach. Są ważniejsze niż inne?

PROF. ADAM ANTCZAK: Nie, szczepienia przeciw COVID mają zupełnie inny charakter, to szczepienia pandemiczne. Chodzi o masowe zaszczepienie populacji, aby była odporna i udało się wygasić pandemię. To nie jest alternatywa dla szczepień zalecanych, które również powinno się wykonywać.

Zachęcałbym już dziś do szczepień przeciwko innym chorobom. Nadal można się zaszczepić przeciwko grypie (pojawiają się kolejne transze szczepionek). Jesienią dostarczono do Polski ok. 300 tys. szczepionek przeciw pneumokokom dla osób dorosłych. To bardzo dużo; mam nadzieję, że wszystkie zostaną wykorzystane. Pneumokoki to bakterie, które najczęściej atakują człowieka. Niestety, przebycie zakażenia pneumokokowego (nawet w postaci zapalenia płuc czy sepsy pneumokokowej) nie daje trwałej odporności.

Są obowiązkowe szczepienia dzieci przeciw pneumokokom. To nie wystarczy?

Szczepienia dzieci są bardzo ważne, zmniejszyły liczbę zakażeń w tej grupie wiekowej, a dzięki temu jest też mniej zakażeń w całej populacji, ponieważ dzieci są wektorem zakażeń, a zaszczepione nie zakażają. W przypadku koronawirusa mówi się o tym, że dzieci mogą zakażać, nie będąc chorymi; tak samo jest w przypadku pneumokoków. Jednak bardzo ważne są też szczepienia osób dorosłych, z grup ryzyka. Są trzy grupy ryzyka. Pierwsza ze wskazań demograficznych: osoby 65+, ponieważ u nich zakażenia pneumokokami są bardziej niebezpieczne, częściej powodują powikłania i prowadzą do zgonu. Druga grupa to osoby mające choroby współistniejące (bez względu na wiek, czyli także w wieku poniżej 65 lat). Grupy ryzyka ciężkiego zakażenia pneumokokowego są takie same jak ciężkiego przebiegu COVID-19: cukrzyca, przewlekła choroba nerek, choroba serca, przewlekła obturacyjna choroba płuc, przewlekłe choroby wątroby, anemia sierpowata, choroba nowotworowa, palenie papierosów. Takie osoby powinny być bezwzględnie szczepione przeciw pneumokokom. Gdy występują współchorobowość i wiek 65+, czynniki ryzyka nasilają się. Trzecia grupa ryzyka jest ze wskazań społecznych: to osoby mieszkające lub pracujące w dużych skupiskach, np. mieszkające w akademikach, DPS-ach.

Czym grożą zakażenia? I czy są one częste?

U dorosłych dominującą postacią zakażenia jest zapalenie płuc. W 2019 r.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

ok. 60 tys. osób dorosłych było w Polsce hospitalizowanych z powodu zapalenia płuc. W przypadku pneumokokowego zapalenia płuc jedna na 20 osób może umrzeć. Co roku blisko tysiąc osób ma ciężką inwazyjną chorobę pneumokokową, czyli bardzo ciężkie zakażenie, związane z 50-procentowym ryzykiem zgonu. Pneumokoki mogą też spowodować zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, ciężkie zapalenie ucha środkowego, zapalenie otrzewnej. Inne powikłanie to tzw. zespół austriacki, czyli jednoczesne pneumokokowe zapalenie płuc, zapalenie osierdzia i zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Nawet jeśli przeżyjemy ciężkie zakażenie, to musimy pamiętać o odległych następstwach zapaleń płuc, takich jak marskość płuca, ropień płuca, ropień opłucnej. Są też powikłania, których nawet nie połączylibyśmy z zapaleniem płuc, np. zespoły otępienne. Bardzo poważne są powikłania sercowo-naczyniowe: u osób, które przeszły zapalenie płuc (w szczególności 65+), częściej dochodzi do zawałów serca i udarów mózgu, a także niewydolności serca i zaburzeń rytmu serca. Powikłania mogą więc skrócić życie (niekoniecznie od razu), być źródłem cierpienia. Temu wszystkiemu można zapobiec: profilaktyka za pomocą szczepionek jest jedną z najskuteczniejszych interwencji w medycynie.

Dziś mówi się dużo o późnych powikłaniach COVID. Konsekwencje zakażeń pneumokokami są tak samo groźne?

Niczym się nie różnią. Powikłania COVID nie są dla nas żadnym zaskoczeniem ani niczym nowym, natomiast przerażenie budzi ich skala. Powikłania sercowo-naczyniowe w zapaleniach płuc są znane od dawna, tylko nie uświadamiane społecznie. Powszechnie myśli się, że gdy pacjent przeżył zapalenie płuc, kończy to sprawę. A często jest to dopiero początek problemów. COVID jest wyjątkowo ciężkim zakażeniem przebiegającym z uszkodzeniem naczyń, w związku z tym powikłań jest więcej. Natomiast nie jest to nowość.

Wspomniał pan o zespole otępiennym, możliwym zarówno po COVID, jak i po zakażeniu pneumokokami.

To też nie jest nieznana sprawa. Zdarza się, że pacjent trafiający do szpitala z powodu zakażenia zostaje uratowany, ale wraca do domu zupełnie inny, ma np. zespół otępienny. To możliwe zarówno po COVID-19, jak i po zakażeniu pneumokokami.

Powikłania po COVID nie są dla nas żadnym zaskoczeniem ani niczym nowym, natomiast przerażenie budzi ich skala

2020 to szczególny rok. Wiele osób z czynnikami ryzyka wie, że powinno się izolować. Ryzyko zakażenia m.in. pneumokokami jest mniejsze. Czy w takim razie warto teraz się szczepić, czy poczekać, aż minie COVID-19?

Warto się szczepić. Fakt, że dziś utrzymujemy dystans społeczny, nosimy maski, dezynfekujemy ręce, ma ogromne znaczenie w ograniczaniu zakażeń. Zakażeń innych niż COVID jest obecnie znacznie mniej, co nie znaczy, że ich nie ma. Podczas epidemii inne drobnoustroje nie pojechały na wakacje, są nadal i wywołują choroby. Lepiej, jeśli te infekcje (COVID, grypa, pneumokoki) nie nałożą się. Pandemia kiedyś się skończy (oby jak najszybciej), ale wszystkie drobnoustroje z nami pozostaną. Nie czekajmy ze szczepieniami.

Dlaczego lekarze tak rzadko mówią osobom starszym o konieczności dodatkowych szczepień?

W Polsce nie ma wysokiej kultury szczepień, mamy pod tym względem opóźnienie, mozolnie odrabiane. Przyczyną niechęci do szczepień jest też niski poziom zaufania do instytucji publicznych, a także do medycyny. Nie jest to uzasadnione ani rozsądne. Szczepienia są bardzo bezpieczne. Teraz jest duża dyskusja wokół szczepień przeciw koronawirusowi, jednak znacznie więcej ryzykujemy, wychodząc na ulicę czy jadąc samochodem, niż przyjmując szczepionkę. Oczywiście szczepionki mają działania niepożądane, mogą się one zdarzyć, jednak niezwykle rzadko. Dużo rzadziej niż powikłania po chorobie.

To prawda, że szczepienia mogą chronić nie tylko przed daną chorobą, przeciwko której się szczepimy?

Tak. Wiemy, że osoby zaszczepione przeciwko pneumokokom rzadziej zakażały się COVID-19. Szczepionki wzmacniają układ odpornościowy. Jest to ingerencja w układ odpornościowy, pożądana ingerencja, która wzmacnia naszą odporność. Układ immunologiczny staje się silniejszy i bardziej kompetentny, dlatego łatwiej daje sobie radę z innymi patogenami. Jednym z mitów wokół szczepień jest to, że osłabiają układ odpornościowy. Jest wręcz odwrotnie: wzmacniają go.

Zdarza się, że po przyjęciu szczepionki pojawia się ból w miejscu ukłucia, spuchnięcie, niewysoka gorączka. To niepożądany odczyn poszczepienny (NOP) czy znak, że układ immunologiczny zareagował prawidłowo?

Takie objawy jak ból, zaczerwienienie w miejscu szczepienia, niewysoka gorączka czy bóle mięśni są zjawiskami normalnymi. Antygen zawarty w szczepionce wywołuje odpowiedź organizmu, który się broni. Jeżeli mamy gorączkę po szczepionce, która zawiera tylko niewielki fragment drobnoustroju, to pomyślmy, jak bardzo zjadliwy patogen zaatakuje nas, jeśli nie będziemy zaszczepieni. Ból w miejscu ukłucia, opuchlizna czy niewysoka gorączka powinny być elementami wręcz zachęcającymi do szczepienia, a nie zniechęcającymi.

Czyli nie należy się obawiać, tylko w tym sezonie zaszczepić się także przeciw pneumokokom czy grypie? A jeśli tak, to jaki odstęp czasowy powinien być zachowany między poszczególnymi szczepieniami?

Zdecydowanie namawiam do szczepień. Przeciwko pneumokokom możemy szczepić się cały rok. Odstęp między szczepieniami nie jest nawet konieczny, większość szczepionek można przyjąć jednocześnie. Obecnie, ze względu na to, że szczepionki przeciw COVID-19 są nowe, można zdecydować się na taki odstęp, nie musi on być jednak dłuższy niż tydzień czy dwa. Dla dużej grupy osób szczepionki przeciw COVID-19 pojawią się najwcześniej na przełomie stycznia i lutego, już dziś warto zatem zaszczepić się przeciw pneumokokom, zwłaszcza że szczepionka jest dostępna. Nie ograniczajmy innych szczepień przez to, że mamy w perspektywie szczepienie przeciw COVID. Zdecydowanie namawiam do szczepienia od razu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Adam Antczak
jest pulmonologiem, kierownikiem Kliniki Pulmonologii Ogólnej i Onkologicznej UM w Łodzi.

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Męska plaga

FOT. ADOBE STOCK

Katarzyna Pinkosz

Rak prostaty jest już dziś nowotworem numer jeden, jeśli chodzi o liczbę zachorowań wśród mężczyzn. Nie musi jednak zabijać co roku 5 tys. Polaków, dlatego w nowym roku warto się przebadać. A pacjenci mają nadzieję na lepszy dostęp do nowych terapii

Chociaż od roku mówi się niemal tylko o COVID-19, to z leczeniem i diagnozowaniem chorób nowotworowych nie można czekać na koniec epidemii. Nieleczony nowotwór rośnie, a straconego czasu nie da się nadrobić. Dlatego z okazji nowego roku warto, żeby każdy mężczyzna, który ma więcej niż 40 lat, postanowił, że wybierze się na wizytę do urologa i zrobi badanie PSA. – Spróbujmy znaleźć czas na wizytę i badanie. Warto przy okazji obalić mit: rak prostaty nie dotyczy tylko mężczyzn po 65. roku życia, ale też młodych panów – mówi dr n. med. Iwona Skoneczna, kierownik Oddziału Chemioterapii Szpitala Grochowskiego im. dr. med. Rafała Masztaka w Warszawie.

Rak prostaty to już dziś najczęstszy nowotwór u mężczyzn w Polsce (wyprzedził pod tym względem raka płuca). Co roku taką diagnozę słyszy ok. 16 tys. mężczyzn. Zdaniem ekspertów zachorowalność będzie nadal rosła z powodu starzenia się społeczeństwa, jednak dzięki wcześniejszemu wykryciu i stosowaniu skutecznych metod leczenia nie musi z tego powodu umierać 5 tys. mężczyzn rocznie.

PSA PLUS UROLOG

Rak prostaty długo nie daje objawów (albo są one nieznaczne i przypominają objawy łagodnego rozrostu gruczołu krokowego), dlatego jedynym sposobem wczesnego wykrycia są badania profilaktyczne. Chociaż nie istnieje marker raka prostaty, to wiele mówi wynik PSA (prostate specific antygen), marker gruczołu krokowego. Wykonanie pierwszego badania PSA zaleca się już w wieku ok. 40–45 lat, a nawet wcześniej, jeśli w rodzinie występowały zachorowania na raka prostaty (ryzyko zachorowania jest wtedy aż 11 razy większe). Podwyższone stężenie PSA może (choć nie musi) świadczyć o toczącym się procesie nowotworowym. Jednak PSA w granicach normy nie zawsze oznacza brak nowo-

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

tworu, dlatego konieczna jest też wizyta u urologa, który w badaniu per rectum oceni stan prostaty.

– Każdy lekarz rodzinny ma prawo skierować pacjenta na badanie w kierunku PSA. Niestety nie zawsze lekarze są przekonani, że już 40-latkowi warto to badanie proponować. Przed badaniem trzeba pamiętać o „zasadzie 48 godzin"; w tym okresie nie powinno się współżyć, żeby nie doszło do ejakulacji, gdyż może to spowodować podniesienie poziomu PSA. PSA nie powinno się też sprawdzać w ciągu 48 godzin od wykonanego badania per rectum – dodaje dr Iwona Skoneczna.

W zależności od wyników urolog zaleci, kiedy kolejny raz sprawdzić PSA. Jeśli podejrzewa raka prostaty, to może skierować na kolejne badania, takie jak USG doodbytnicze, rezonans magnetyczny. W uzasadnionych przypadkach wykonuje się biopsję gruczołu krokowego.

CHOROBA OGRANICZONA

Jeśli rak prostaty jest ograniczony tylko do narządu (nie ma przerzutów), to jest duża szansa na całkowite wyleczenie. Sposób terapii zależy od stopnia zaawansowania choroby i oceny ryzyka (na podstawie stężenia PSA oraz tzw. skali Glisona, która pokazuje złośliwość histologiczną nowotworu), wieku chorego i spodziewanego czasu przeżycia. W niektórych przypadkach, gdy nowotwór zostaje rozpoznany na bardzo wczesnym etapie u starszego mężczyzny, zdarza się, że wystarczy tylko obserwacja, gdyż choroba może rozwijać się bardzo łagodnie i leczenie w ogóle nie musi być konieczne. Najczęściej jednak, gdy choroba jest ograniczona do narządu, wykonuje się radykalną operację usunięcia prostaty – zwykle metodą laparoskopową (lub laparoskopową z asystą robota). Ta druga metoda jest na świecie coraz częściej stosowana, gdyż daje większą szansę na uniknięcie powikłań operacji (nietrzymanie moczu, zaburzenia erekcji). Niestety, w Polsce operacje z asystą robota są wykonywane bardzo rzadko (brakuje refundacji NFZ).

Jeśli pacjent nie decyduje się na operację lub stan zdrowia nie pozwala na jej wykonanie, to alternatywną metodą leczenia jest radioterapia.

ZASTOPOWAĆ PRZERZUTY

W niektórych przypadkach dochodzi jednak do nawrotu choroby i przerzutów, a w ok. 20 proc. już w chwili postawienia diagnozy nowotwór jest zaawansowany. W takim przypadku, w zależności od rozwoju choroby i stanu pacjenta, można stosować operację chirurgiczną, napromienianie oraz leczenie systemowe. Ważną metodą leczenia są leki hormonalne, które obniżają poziom testosteronu, będącego „paliwem napędowym" dla nowotworu. Przez wiele lat mogą być skuteczne, jednak po pewnym czasie nowotwór staje się oporny na takie leczenie. Poziom PSA zaczyna rosnąć, pojawiają się przerzuty – najczęściej do kości (mówi się wtedy o tzw. raku gruczołu krokowego opornym na kastrację lub na wytrzebienie). W takim przypadku można zastosować leki antyandrogenowe nowej generacji, o innym mechanizmie działania. W Polsce w ramach programów lekowych są dostępne dwa preparaty: enzalutamid i octan abirateronu. Blokują one działanie testosteronu na komórki raka, dlatego hamują postęp choroby lub nawet ją cofają.

Dzięki nowoczesnemu leczeniu nawet osoby z zaawansowanym rakiem prostaty mogą żyć przez wiele lat

Badania wykazały jednak, że znacznie bardziej efektywne jest zastosowanie nowoczesnych leków antyandrogenowych wcześniej: gdy PSA już zaczyna rosnąć (mimo stosowania leków hormonalnych pierwszej generacji), ale nie widać jeszcze przerzutów. – Gdy PSA zaczyna rosnąć mimo leczenia hormonalnego, to już widać, że choroba przełamała działanie leków i wcześniej czy później pojawią się przerzuty. Jeśli na tym etapie zastosujemy nowoczesne leki hormonalne, to możemy średnio o niemal dwa lata opóźnić pojawienie się przerzutów. Przedłuża to również pacjentom życie – mówi dr Skoneczna.

W takim wskazaniu leki te nie są jeszcze w Polsce refundowane, choć zdaniem ekspertów warto, by tak się stało. Również dlatego, że są to leki, które mają bardzo dobry profil bezpieczeństwa, a przyjmuje się je doustnie, w domu, co ma duże znaczenie zwłaszcza w okresie epidemii COVID-19, gdy system jest tak obciążony. – Z grupy nowoczesnych leków antyandrogenowych już trzy leki: apalutamid, darolutamid i enzalutamid mają rejestrację do stosowania, zanim pojawiają się przerzuty – mówi dr Skoneczna. Jeden z tych leków: apalutamid w marcu 2020 r. otrzymał pozytywną rekomendację prezesa AOTMiT, co daje szansę, że jedna z nowoczesnych terapii antyandrogenowych wkrótce będzie refundowana dla mężczyzn z tym nowotworem.

Zastosowanie tych leków, zanim pojawią się przerzuty, jest też ważne dla pacjenta z psychologicznego punktu widzenia: czuje, że jest leczony, nie czeka biernie na rozwój choroby.

PLAN NA CHOROBĘ

Dzięki nowoczesnemu leczeniu nawet osoby z zaawansowanym rakiem prostaty mogą żyć przez wiele lat. – Mówię pacjentowi, że trzeba się zmobilizować, że być może mamy przed sobą trudne miesiące leczenia, jednak możemy uzyskać remisję. Staram się dać perspektywę: przed nami kilka miesięcy intensywnego leczenia, a za dwa, trzy lata mamy przed sobą kolejne kroki. Pacjent zwykle pyta ze zdziwieniem, czy będzie wtedy jeszcze żył. Odpowiadam, że nie mam przed sobą szklanej kuli i nie znam przyszłości, ale mamy pracę do wykonania na kilka lat – opowiada dr Skoneczna.

Dostęp do nowoczesnego leczenia to dla pacjentów szansa na życie. Poprawić ich sytuację mogłaby też pomoc koordynatorów, którzy doradzaliby, do jakiego ośrodka się udać, jakie badania wykonać. Część pacjentów po operacji usunięcia prostaty potrzebowałaby rehabilitacji, która mogłaby ich wspomóc w pokonaniu problemu nietrzymania moczu. Podstawą jest jednak wczesne wykrycie nowotworu, bo na razie tylko to daje szansę na wyleczenie. Dlatego eksperci cieszą się z zapowiedzi, że być może badanie stężenia PSA będzie jednym z elementów badań profilaktycznych po 40. roku życia, w ramach zapowiadanego przez ministra Adama Niedzielskiego recovery plan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. ADOBE STOCK

Senior musi się nachodzić

Najpierw wizyta u specjalisty, a później kolejna w POZ tylko po to, by skorzystać z przysługujących seniorom bezpłatnych leków. Kiedy to się zmieni, a specjaliści będą wreszcie mogli wypisywać recepty z listy „S"?

To była prawdziwa ulga dla budżetu seniorów. Cztery lata temu rząd wprowadził przepisy, dzięki którym pacjenci, którzy ukończyli 75 lat, mogli część leków otrzymywać nieodpłatnie. Refundacją objętych jest ponad 2 tys. pozycji. Do ubiegłego roku z programu skorzystało ponad 2,4 mln seniorów, którzy zrealizowali 22 mln recept, dzięki czemu otrzymali 67 mln opakowań leków o łącznej wartości 715,2 mln zł.

W tej beczce miodu jest i łyżka dziegciu. Receptę z listy „S" może wypisać wyłącznie lekarz POZ. To kłopotliwe zwłaszcza dla tych seniorów, którzy leczą się u lekarzy specjalistów bądź opuszczają szpital z receptą na leki, które mają przyjmować po powrocie do domu. Muszą wybierać – albo zapłacić za leki z recepty wypisanej przez innego lekarza niż podstawowej opieki zdrowotnej, albo wizyta w POZ tylko po to, by otrzymać odpowiednią receptę.

PANDEMIA TRUDNOŚCI

Magdalena Kołodziej, prezes fundacji My Pacjenci, która działa na rzecz zmiany tego stanu rzeczy, podkreśla, że zwłaszcza w czasie pandemii wszystkim powinno zależeć na tym, aby nie mnożyć wizyt w gabinetach lekarskich. – W wielu miejscach w Polsce kontakt z lekarzami podstawowej opieki jest utrudniony, zwłaszcza teraz, gdy placówki POZ przejęły opiekę nad pacjentami COVID-owymi przebywającymi w domach i zajęły się wypisywaniem skierowań na testy. Możliwości kadrowe są przecież ograniczone, a skoro na lekarzy i pielęgniarki nałożono dodatkowe obowiązki, to inni pacjenci spadli gdzieś na koniec kolejki – mówi Magdalena Kołodziej. – Poza tym mówimy tu o pacjentach powyżej 75. roku życia, czyli z grupy największego ryzyka, którzy w dobie pandemii powinni ograniczać kontakty międzyludzkie do minimum. Jeśli pacjent z tej grupy, o którą powinniśmy najbardziej dbać, musi chodzić po różnych lekarzach, żeby uzyskać należną mu receptę, to znaczy, że mamy duży problem – dodaje.

Największym absurdem w tej sytuacji jest to, że recept uprawniających pacjentów po 75. roku życia do otrzymania leków za darmo nie mogą wystawiać nawet geriatrzy.

Ten niewygodny i dla pacjentów, i dla lekarzy stan rzeczy miał w tym roku ulec zmianie. Pierwotnie 1 lipca, później – 1 października. Nie udało się. – Najpierw z powodu niedostosowania Systemu P1. Powodem kolejnego opóźnienia, jak głosił komunikat, było niedostosowanie aplikacji gabinetowych. Wydaje się, że te problemy techniczne zostały już rozwiązane – mówi Magdalena Kołodziej.

SKUTECZNE NACISKI

Obecny termin to 1 stycznia 2021 r. Czy zostanie dotrzymany? Wiele wskazuje na to, że tym razem nie będzie kolejnego odroczenia wprowadzenia zmian. Takie zapewnienie usłyszeli niedawno przedstawiciele fundacji My Pacjenci na spotkaniu z odpowiedzialną m.in. za cyfryzację wiceminister zdrowia Anną Goławską. – Czekaliśmy na to bardzo długo, w sprawę zaangażowało się wiele osób. Okazuje się, że nasze naciski najprawdopodobniej okażą się skuteczne. Ministerstwo ustami pani minister Goławskiej przekazało informację, że tym razem termin będzie dotrzymany, ponieważ aplikacje gabinetowe są już gotowe – mówi Magdalena Kołodziej. I dodaje: – Poprosiliśmy ministerstwo, by informacja o możliwości wystawiania recept przez specjalistów była szeroko komunikowana. Dostaliśmy zapewnienie, że do przekazania tych informacji zostanie zobowiązany NFZ. Mamy nadzieję, że wszystko zacznie działać od 1 stycznia, bo to bardzo poprawi komfort i bezpieczeństwo pacjentów po 75. roku życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mateusz Woźniak

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

TEST „DO RZECZY”: DRUKARKA EPSON ECOTANK L6570

Dobra jakość wydruków, możliwość szybkiego druku w czerni i w kolorze oraz opcja automatycznego drukowania i skanowania – to największe zalety nowego urządzenia wielofunkcyjnego typu „4 w 1” firmy Epson.

W czasach powracających pandemicznych lockdownów kolejni menedżerowie wielkich firm w Polsce i na świecie zachęcają swoich pracowników, aby w miarę możliwości unikali biura co najmniej do czerwca 2021 r. W dobie wszechobecnej pracy zdalnej oraz nauki na odległość komputer i drukarka połączona ze skanerem stały się więc wyposażeniem obowiązkowym.

Testowany model EcoTank L6570 powinien z powodzeniem sprawdzić się w home office. Profesjonalny biurowy kombajn – łączący w sobie funkcje drukarki, skanera, kopiarki oraz faksu – drukuje w rozdzielczości 4800 x 1200 dpi z szybkością do 25 stron na minutę (w naszym teście polegającym na wydruku 12-stronicowego dokumentu tekstowego model ten osiągnął wynik 27 stron na minutę). Nie trzeba też zbyt długo czekać na wydruk pierwszej strony (zajmuje to nieco ponad 5 s).

Plusem L6570 jest również automatyczny podajnik dokumentów (ADF) oraz dupleks umożliwiający szybkie dwustronne drukowanie oraz dwustronne skanowanie. Sporą zaletą w home office pomieszanym ze zdalną szkołą okazać się też może opcja bezpośredniego drukowania nie tylko z laptopów, lecz także ze smartfonów czy z tabletów (usługa Wi-Fi Direct).

Bajecznie proste w konfiguracji urządzenie nie należy do filigranowych. Jego wymiary to 425 x 500 x 350 mm, co oznacza, że nietrudno je po prostu przytulić do stojącego na biurku komputera. W zamian zamontowano w nim duży kolorowy ekran dotykowy (o przekątnej 10 x 9 cm), dwa podajniki A4 na 250 arkuszy z przodu oraz podajnik na 50 arkuszy z tyłu, dzięki czemu nie trzeba co chwilę biegać do drukarki i uzupełniać papieru.

Aby stanąć do walki z biznesowymi modelami laserowymi, Japończycy zainstalowali w tym modelu system tuszów atramentowych zgodny z głowicą PrecisionCore, co – według zapewnień producenta – znacząco obniża długofalowe koszty eksploatacji. Epson zapewnia, że po zakupie można swobodnie wydrukować tysiące dokumentów bez potrzeby kupna nowego atramentu.

Minusy? Chociaż za pomocą testowanego urządzenia można drukować też zdjęcia, to ich jakość jest wyraźnie słabsza niż w przypadku typowych drukarek fotograficznych wyposażonych np. w czarny tusz fotograficzny. W ustawieniach L6570 nie można też wybrać typowego papieru fotograficznego. Podczas testów biznesowa drukarka miała więc tendencję do przekłamywania kolorów, np. dodawała do zdjęć za dużo magenty. Jeśli ktoś poszukuje drukarki do zdjęć, to powinien rozejrzeć się za innym modelem. Dla osób, które chcą szybko wydrukować nieobrobione ze smartfona fotki, jakość zdjęć z L6570 może być jednak zupełnie wystarczająca.

Największym minusem tego modelu jest jednak wysoki koszt zakupu. Cena L6570 wynosi 4190 zł. ©℗

Jacek Przybylski

PRZENOŚNY OKULISTA

Specjalna przystawka do smartfona EyeQue VisionCheck 2 pozwala samodzielnie badać sobie wzrok. Zdaniem twórców urządzenia jest ono na tyle dokładne, że na podstawie przeprowadzonego badania – wyniki prezentowane są w specjalnej aplikacji – można bez obaw zamawiać przez Internet właściwie dobrane soczewki i okulary korekcyjne. Okulisty z pewnością nie zastąpi, ale gadżet, który według producenta potrafi określić nie tylko wielkość wady u krótko- czy dalekowidzów, lecz także rozpoznać astygmatyzm, może być pomocny we wstępnym określeniu wady wzroku nawet w warunkach kompletnego lockdownu. Cena: ok. 230 zł.

SKŁADANY SMARTFON

Firma OPPO przedstawiła koncepcyjny model Slide Phone, który wygląda, jakby był żywcem wyjęty z filmu science fiction. Innowacyjna konstrukcja składa się z kilku oddzielnych ekranów, które są do siebie przymocowane za pomocą trzech specjalnych zawiasów. Dzięki temu w zależności od potrzeb smartfon można rozłożyć w całości (wówczas wielkość przekątnej ekranu wynosi aż 7 cali) lub tylko w części, np. aby szybko zrobić selfie. W sumie do wyboru jest aż siedem możliwości różnych ustawień. Po złożeniu wszystkich ekranów innowacyjny smartfon ma zaś wymiary podobne do zwykłej karty kredytowej (oczywiście z wyjątkiem grubości). Dla wygody użytkowników prototypowy smartfon wyposażono także w rysik. Niestety, nie wiadomo jeszcze, czy chiński producent zdecyduje się na masową produkcję nowego urządzenia ani ile będzie kosztowało. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sambor – miasto samozwańców

JACEK KOMUDA

Sambor, miasto leżące na południowy zachód od Lwowa, na początku XVII w. stało się miejscem działalności tajemniczego Dymitra Samozwańca. Człowiek ten podawał się za uratowanego cudownie syna cara Iwana Groźnego i pretendenta do carskiej korony. W 1603 r. pojawił się w Rzeczypospolitej na dworze księcia Adama Wiśniowieckiego, zaczął gromadzić siły i pozyskiwać protektorów, którzy pomogliby mu zorganizować jedną z najbardziej szalonych wypraw stulecia. Uderzenie na Moskwę, którą rządził w owym czasie car Borys Godunow, w celu odzyskania władzy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Głównym stronnikiem Dymitra stał się na początku wspomniany Adam Wiśniowiecki, jednak od początku 1604 r. opieką otoczył go wojewoda sandomierski Jerzy Mniszech, starosta samborski. Był w biedzie; przez całe lata przebudowywał zamek w miasteczku na swoją główną rezydencję; wydawał na sprzęty, budowę i kosztowności tak wielkie sumy, że nie płacił rat dzierżawnych królowi Zygmuntowi. Popadł w gigantyczne długi, powołano nawet specjalną komisję, która miała wyegzekwować od niego należności. Mniszech na koniec sprzedawał własne wsie, aby spłacić przynajmniej część długów. Zamek zaś w Samborze był wówczas jedną z najpiękniejszych i najbogatszych rezydencji w województwie. Otaczały go parkany z ciosanego drewna z dwiema basztami. W środku kamienne mury opasywały dziedziniec. Znajdował się tutaj dom dla króla, dom królowej i drewniany kościół. Ponieważ zaś Zygmunt III Waza nigdy tu nie bywał, wszystkie pokoje zajmował Mniszech razem z rodziną. W komnatach były okna z weneckiego szkła, jak podają inwentarze: „drzwi fladrem sadzone", malowane piece i mozaiki na posadzkach albo podłogi „dębowe, stolarskiej roboty".

Nic też dziwnego, że kiedy na początku 1604 r. Wiśniowiecki przywiózł do Sambora Dymitra, Mniszech natychmiast zaczął go popierać. Nie za darmo oczywiście – spodziewał się nielichych zysków z wyprawy, kiedy już Dymitr odzyskałby carski tron. Tutaj właśnie odbyło się nie tylko spotkanie z owym tajemniczym młodzianem, lecz także chwila, w której wojewoda zaprezentował mu swoją córkę Marynę. Tak zaczął się prawdziwy, nie udawany romans, który trwał wiosną w ogrodach na zamku w Samborze. 25 maja Dymitr zobowiązał się do poślubienia Maryny, której przekazać miał Nowogród i Psków. Sam Mniszech dostał księstwo smoleńskie i siewierskie. 25 sierpnia Samozwaniec z towarzyszącymi mu, zwerbowanymi przez Mniszcha oddziałami wojskowymi wyruszył na wschód, by nigdy już tutaj nie powrócić. W 1605 r. zdobył bowiem Czapkę Monomacha, a rok później zginął zamordowany w Moskwie razem z kilkoma tysiącami Polaków.

Dymitr nie był jedynym samozwańcem, który przebywał w Samborze w XVII w. W styczniu 1639 r. pojawił się tutaj bowiem człowiek, który podawał się z kolei za Symeona Szujskiego, syna moskiewskiego cara Wasyla, który w 1610 r. został zrzucony z tronu przez książąt i bojarów, po czym zakończył życie jako jeniec w Rzeczypospolitej. Gdy zaś owego Łżesymeona doprowadzono do podskarbiego koronnego Jana Daniłowicza, wyznał, że kiedy jego ojcu zabrano tron i wysłano go do Polski, jego wykradli i przechowali kozacy zaporoscy. Co więcej, samozwaniec ukazał na swoich plecach znamiona – gwiazdę i krzyż świadczące o tym, że jest potomkiem Szujskiego. Latem 1639 r. Łżesymeon został przewieziony na sejm do Warszawy, gdzie powtórzył swoją historię przed królem Władysławem. Sprawa zaczęła robić się polityczna, bo w Rzeczypospolitej działał jeszcze jeden człowiek – niejaki Faustyn Łuba, którego uważano za syna opisywanego Dymitra I Samozwańca i Maryny Mniszchówny. Moskale przysłali zatem poselstwo, które domagało się wyjaśnienia tej sprawy. Być może dlatego Daniłowicz odesłał swojego samozwańca na naukę do prawosławnego monastyru. Co działo się z nim później – tego nie wiadomo. Jednak w tym samym 1639 r. pojawił się jeszcze jeden samozwaniec – tym razem w Mołdawii – który także podawał się za syna cara Szujskiego. Tym razem jednak twierdził, że był więziony razem z ojcem w Polsce i dopiero niedawno udało mu się zbiec; na ciele ukazywał zaś podobne znaki, które zdobiły poprzedniego. W Mołdawii panował jednak złowrogi hospodar Bazyli Lupul, który Łżesymeona zamknął w Suczawie, a następnie wydał go poselstwu moskiewskiemu Bogdana Dubrowskiego. Ten kazał samozwańcowi uciąć głowę i zedrzeć z pleców kawały skóry z „carskimi znakami"; zawiózł je do Moskwy na dowód, że sprawa jest zakończona. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

MASTERCHEF OLA I CARPACCIO NA KARNAWAŁ

Jako propagatorka nowoczesnej, polskiej kuchni uwielbiam wymyślać niekonwencjonalne rzeczy z naszych rodzimych, lecz niedocenianych produktów. Weźmy tutaj na warsztat buraka, z którego możemy wyczarować bardzo proste i zarazem zaskakujące oraz eleganckie danie – carpaccio z buraka. Idealne, by zaskoczyć gości podczas karnawału.

Składniki:

Zalewa:
- 100 ml czerwonego octu winnego
- 240 g cukru
- 300 ml wody
- 5 szt. ziela angielskiego
- 3 szt. liścia laurowego

Carpaccio:
- 4–5 buraków
- ocet
- kozi ser
- prażony sezam
- orzechy włoskie
- sos winegret

Przygotowanie:

Wszystkie składniki na zalewę połączyć w garnku i doprowadzić do wrzenia. Odstawić do ostudzenia.

Cztery–pięć średniej wielkości buraków ugotować ze skórą w wodzie z dodatkiem dwóch łyżek octu. Ugotowane buraki obrać ze skóry, pokroić w bardzo cienkie plasterki i zalać przygotowaną zalewą na co najmniej dobę.

Gotowe carpaccio serwować z pokruszonym, kozim serem, prażonym sezamem, orzechami włoskimi i lekkim winegretem.

oprac. raw

Aleksandra Juszkiewicz jest zwycięzczynią tegorocznej edycji programu „MasterChef".

FOT. TVN SA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sylwester

JOANNA BOJAŃCZYK

Święta zakończone, ryby zjedzone, prezenty dane i otrzymane. Można się nimi chwilkę nacieszyć i odetchnąć w przerwie przed sylwestrem, który w tym roku i tak nie pozostawia złudzeń, że będzie szampański. O karnawale nie mówiąc, w covidzie to śmiech na sali.

Dres, telewizor i spacer jako najbardziej światowa rozrywka. To przed nami. Jako człowiek mało zabawowy nie martwię się tym specjalnie, nawet się cieszę, że morderczy tydzień przygotowywań do świąt mam za sobą. Wyrosłam z wieku, w którym sylwester był przełomową datą, a to, jak i z kim się go spędziło, stanowiło monetę towarzyską wysokiej wartości na rynku próżności. „Gdzie byliście/idziecie na sylwestra?"... To było ważne. Dzisiaj chętnie posiedzę w domu z kilkorgiem znajomych, o północy wypiję szampana i dobranoc.

Przez kilkanaście lat spędzaliśmy sylwestra we Włoszech. Wyjeżdżając drugiego dnia świąt i podróżując kilka dni po włoskich prowincjach, od miasteczka do miasteczka. Włochy w zimie mają czarodziejski urok niespotykany latem. Brak turystów, słoneczna przezroczysta aura, pięknie oświetlone uliczki, szopki bożonarodzeniowe wielkiej urody. Zapach drewna i dymu.

Sycylia – trzy razy. Dwa razy Umbria, dwa – Toskania, Sardynia, Veneto, Emilia Romania. W wieczór sylwestrowy kupowaliśmy bagietkę, ser, wino i oliwki i w telewizorze oglądaliśmy cyrk Monte Carlo (z nudzącą się księżniczką Stefanią) albo teleturniej

FOT. ADOBE STOCK

„Milionerzy" po włosku. Zabawne, bo często udawało się na niektóre pytania odpowiedzieć, chociaż włoski jest dla nas językiem raczej obcym. Potem szliśmy na rynek miasteczka, czekaliśmy na północ, wypijając, co tam się miało. Po czym szliśmy spać w akompaniamencie dochodzących wybuchów...

Chyba z 15 lat temu w Syrakuzach na Sycylii na przepięknym placu przy katedrze zebrało się trochę ludzi, grał zespół jazzowy. Gdy wybiła północ, ludzie się uściskali, wypili szampana i bez tłuczenia butelek, w spokoju, rozeszli się po restauracjach na rytualny „cenone". Było cicho, nadzwyczaj spokojnie i jakoś tak romantycznie... Ostatni nowy rok też witaliśmy w Syrakuzach razem z parą przyjaciół. I już nie było tak sielsko. Dziki tłum, kontrola bagażu przy wejściu na plac, przepychanki i wybuchające pod nogami pirotechniczne zabawki. W hotelowym pokoju zjedliśmy karczochy, sery i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku poszliśmy spać.

W tym roku liczę na mniej fajerwerków. U nas w lesie są zwierzęta, które sylwestra nie obchodzą. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Trzecia jak pierwsza

Mój syn dostał od Świętego Mikołaja grę „Magnaci". Mikołaj tym samym skomplikował sobie nieco życie, ponieważ ciągle musi w tę grę grać. Ale w sumie to nie jest takie straszne. A nawet pouczające.

„Magnaci" to dość skomplikowana planszowa gra strategiczna, która rozgrywa się w warunkach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Gracze wybierają sobie magnacki ród, który reprezentują. Można być na przykład Potockimi, Zamoyskimi, Radziwiłłami czy Sapiehami. Cel gry jest oczywisty – trzeba zbudować jak największe imperium wewnętrzne, czyli zgromadzić majątek większy niż pozostałe rody. Ale – uwaga – jednocześnie nie można dopuścić do rozbioru Rzeczypospolitej. Jeśli to nastąpi, to przegrywają wszyscy.

W trakcie rozgrywki gracze wchodzą w posiadanie rozmaitych kart, które zwiększają lub zmniejszają ich siłę podczas konfliktów zbrojnych z obcymi państwami. Najpierw wydawało nam się, że te karty osłabiające nie mają żadnego sensu. Po cóż zmniejszać swoją siłę, skoro prowadzi to do porażki i utraty części terytorium?

Okazało się, że te karty negatywne w doskonały sposób oddają charakter Pierwszej Rzeczypospolitej, a może i Rzeczypospolitej w ogóle. Przyznam ze wstydem, że pierwszy skorzystałem z takiej ujemnej karty, stając się takim rodzinnym Sicińskim czy Szczęsnym Potockim. Otóż – oczywiście – wszelkie rozgrywki ciągle wygrywał mój syn, co rodziło we mnie narastającą frustrację. Smarkacz oczywiście najszybciej opanował skomplikowane reguły, odgrywał więc zarazem rolę krupiera zarządzającego grą. Jego pyszałkowata pewność siebie i nieustające sukcesy wkurzyły mnie do tego stopnia, że nagle doznałem olśnienia! Otóż mogłem korzystać z kart negatywnych, prowadzących do uszczuplenia jego stanu posiadania.

Efektem ubocznym osłabienia mojego syna/Radziwiłła mogła być utrata prowincji, w której dominował na rzecz obcego mocarstwa. Ale co tam! Był tak wkurzający, że postanowiłem podjąć to ryzyko. Tak też zrobiłem. Błyskawicznie zniszczyło to solidarność, która dotychczas panowała między nami, graczami, czyli różnymi rodami. Chęć, żeby zaszkodzić konkurentowi, zaczęła dominować nad patriotycznym uniknięciem obcej dominacji. Raz i drugi doprowadziliśmy do rozbiorów, ale nie powiem, żeby nas to czegoś nauczyło.

„Magnaci" to świetna gra. Doskonale opowiada o realiach Polski elekcyjnej, a zarazem świetnie pokazuje naturę tego państwa i jego słabości. Ale też w niebezpieczny i podstępny sposób uruchamia w graczach najgorsze cechy naszego narodowego charakteru. I poprzez to uświadamia jeszcze coś innego. Że to dzieje się nie tylko przy planszy. I że Trzecia Rzeczpospolita pod tym względem niewiele różni się od Pierwszej. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Cyberporażka

Mam wrażenie, że po premierze najbardziej oczekiwanego dzieła studia CD Projekt RED – gry „Cyberpunk 2077" – jestem winien Państwu ciąg dalszy historii, którą opisałem w tekście „Cyberszaleństwo" („Do Rzeczy" nr 51/2020). Niestety, nie jest to opowieść, na którą wszyscy liczyliśmy. Zamiast kolejnego po „Wiedźminie" sukcesu otrzymaliśmy brutalne zderzenie z rzeczywistością na skalę, której w branży jeszcze nie widziano. Najbardziej pożądany polski produkt XXI w. okazał się grą, która – owszem – działała nieźle na najdroższych komputerach osobistych, ale podstawowe konsole starej generacji nie są w stanie sprostać jej wymaganiom. A przecież to właśnie na PlayStation 4 czy Xboxa One sprzedano zdecydowaną większość „Cyberpunka", który uginał się pod ciężarem błędów, często utrudniających ukończenie zabawy. Coś, co polska firma budowała latami i było jej największym kapitałem – zaufanie graczy – legło w gruzach dosłownie w kilka dni, wraz z kursem akcji, który spadł o ponad 50 proc. od szczytu przed premierą.

Zawiodły komunikacja, ocena własnych mocy przerobowych, totalnie nawaliła weryfikacja ostatecznej wersji produktu, wysłanego do milionów odbiorców na całym świecie. Producent, z pełną świadomością stanu technicznego gry zabronił wczesnego dostępu do jego wersji na konsole, doprowadzając do prawdziwego rozczarowania tych, którzy postanowili wydać niespełna 300 zł na obietnicę wejścia w nowy rozdział elektronicznej rozrywki. Tak też świat „Cyberpunka", stanowiący gorzką ironię i przejaskrawioną wizję przyszłości – w której wszystko jest iluzją i wszystko jest na sprzedaż – zmaterializował się w przewrotnej wersji tu i teraz.

Nie da się bowiem wytłumaczyć inaczej niż chęcią zysku procederu okłamywania graczy. Na dłuższą metę takie zachowanie odbija się również przeciwko twórcom, wobec których zachodnie kancelarie prawnicze otworzyły sprawy cywilne dotyczące potencjalnego oszustwa i utraty wartości akcji, sklepy cyfrowe gigantów takich jak Sony czy Microsoftu wycofały grę ze sklepu, a analitycy Bank of America obniżyli cenę docelową papieru wartościowego z 370 do 100 zł. Naprawdę trzymam kciuki, aby firma stanęła na nogi, klienci poprzez serię usprawnień otrzymali produkt, który im obiecano, a Polska odzyskała markę kraju, który potrafi się ścigać z gigantami IT. To wszystko jest jeszcze do zrobienia, ale tylko wtedy, gdy od samego dołu CD Projekt przeanalizuje przyczyny swojej porażki, którą jest nie tyle ambicja, ile chodzenie drogą na skróty. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wszystkie dzieła są nasze?

To, co chcesz ukryć, krzyczy z dachu" – mówi chińskie przysłowie. Nic więc dziwnego, że film „Pan T." Marcina Krzyształowicza rozpoczyna komunikat: „Ta opowieść nie ma nic wspólnego z żadną biografią". Podobne zastrzeżenie, zaprzeczające, jakoby „film odnosił się do biografii oraz »Dziennika 1954« Leopolda Tyrmanda", widnieje również na stronach internetowych producenta. „Przyznajemy się jedynie do inspiracji jego »Dziennikiem«, a z tego nie musimy się nikomu tłumaczyć, a tym bardziej płacić" – utrzymują twórcy. Według nich „Pan T." nie jest Tyrmandem, ale everymanem, skompilowanym z kilku postaci, np. Konwickiego i Mrożka, choć w stalinowskiej Polsce byli członkami partii. Konwicki – mieszkańcem luksusowej kamienicy „Czytelnika" przy Frascati, autorem czołowych produkcyjniaków „Przy budowie" i „Władzy", laureatem Nagrody Państwowej, Mrożek – płomiennym reporterem krakowskiego „Dziennika Polskiego". Przeciwnego zdania jest jednak spadkobierca Tyrmanda, jego syn, Matthew, który oskarżył twórców „Pana T." o kradzież – bez jego wiedzy i zgody, a także należnego honorarium oparli swój film na „Dzienniku 1954" jego ojca. Zagroził sądem w wypadku braku porozumienia, do którego po roku wciąż nie doszło.

I rzeczywiście, „Pan T." nie wytrzymuje konfrontacji z zapewnieniami twórców. Łudząco przypomina „Dziennik 1954" Tyrmanda, bez niego by nie powstał. Już na premierowym prasowym pokazie, w trakcie projekcji, doszło do skandalu. Dziennikarka Maria Kądzielska nie wytrzymała i niczym dziecko z baśni Andersena krzyknęła głośno, że król jest nagi, że to przecież kropka w kropkę „Dziennik" Tyrmanda! Nawet tytuł sugeruje przecież, że chodzi o autora „Złego", choć reżyser ciągle idzie w zaparte i według niego „T." to skrót od słowa talent, a poza tym to jego ulubiona litera alfabetu. Paweł Wilczak jest nawet fizycznie do Tyrmanda podobny, nosi jak on ciemne okulary, szalik, elegancko się ubiera, ma nienaganne maniery. Film wykorzystuje też liczne wątki, motywy, bohaterów, konkretne zdarzenia, czas i miejsce akcji „Dziennika 1954". Dzieje się również w stalinowskiej, a raczej bierutowskiej Warszawie, w 1953 r. Podobnie jak Tyrmand pan T. jest bezrobotnym literatem, nie kolaboruje z władzą, nie drukują go więc i nie wydają. Wegetuje w domu artystów. W małym pokoiku z łóżkiem i umywalką. Pisze dziennik i chowa go u przyjaciół, gdy wzywają go na przesłuchanie na UB. Żyje z korepetycji udzielanych seksownej maturzystce (w filmie – Dagnie, w „Dzienniku" – Bognie). Pozostałymi bohaterami „Pana T." są również znani z „Dziennika" przyjaciele Tyrmanda, którym twórcy filmu nie zmienili nawet imion: poeta Zbyszek, czyli Herbert, Stefan z Krakowa – Kisiel i zbratany z władzą Kaziu – Kazimierz Koźniewski, który namawiał, i Tyrmanda, i pana T., aby się włączyli, rozpoczęli współpracę z powstałym właśnie tygodnikiem „Dookoła Świata". Podobnie jak Tyrmand pan T. chodzi na obiady do Związku Literatów, do klubów jazzowych, na ciuchy, a z Bogną-Dagną – na Bal Dziennikarzy. W wydawnictwie Nowy Czytelnik wydaje książkę o odbudowującej się Warszawie pt. „Dobry" (u Tyrmanda, jak wiadomo, „Zły").

Próbując uniknąć oskarżeń o plagiat, twórcy „Pana T." dodali trochę wątków własnych, moim zdaniem psując film. Był ciekawy dopóty, dopóki zżynali z Tyrmanda, ich pomysły natomiast są zupełnie bezsensowne. Zwłaszcza ten o wysadzeniu Pałacu Kultury, spiskowcach w maskach i z torbami trotylu czy też lalkach dla dorosłych, Bolesławie Bierucie, odpowiedzialnym za stalinowski terror agencie NKWD, pokazanym jako fajny gość, który jara trawę, korzysta bez obstawy z publicznych toalet.

Choć jednak w ogólnym rozrachunku „Pan T." to ewidentna i bezprawna ekranizacja „Dziennika 1954", to nie wywołała większej dyskusji ani oburzenia. Napisali o tym jedynie Marcel Woźniak w swojej biografii Tyrmanda, Tomasz Raczek („Twórcy filmu próbują zaklinać rzeczywistość ze strachu przed procesem o prawa autorskie"), a przede wszystkim, najbardziej rzetelnie dziennikarze Onetu – Kamil Turecki i Janusz Schwertner (przytoczyli całe fragmenty „Dziennika" wykorzystane w filmie, słowo w słowo, bez podania źródła – np. rozważania Tyrmanda o braku szczoteczek do zębów i rozmowę z Koźniewskim).

Najsmutniejsze, że mimo to twórcy „Pana T." odgrywają prześladowanych i szykanowanych, którym zabrania się uprawiać autorskie kino. „Chcę, aby pierwiastek wolności nie został sponiewierany przez dyrektora PISF (Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej), który domaga się ode mnie dogadania się ze spadkobiercami Tyrmanda" – mówił reżyser w wywiadzie dla Onetu. Chciałby więc prawa dla swobodnego wykorzystywania cudzych utworów z pominięciem praw autorskich. Wszystkie dzieła są nasze? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

NADZIEJA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nadzieja RP w małych rolnikach i przedsiębiorcach pod warunkiem, że jakoś kiedyś przejmą władzę.

Premierem powinien być facet, który prowadził osiedlowy sklep, zbankrutował, a potem się podniósł z bankructwa – ktoś, kto zrobił coś konkretnego, a nie ktoś, kto „ma dokonania". Politycy wszystkich opcji zawsze „mają dokonania". Pytasz ich: „Coś pan w życiu zrobił konkretnego?", a on ci na to, że „uczestniczył" w tym czy tamtym. Nie pytam, w czym uczestniczył, pytam, co ZROBIŁ. Napiekł chleba dla ludzi przez 20 lat, bo jest piekarzem? Dał pracę 20 rodzinom, bo ma fabrykę śrub? Kwalifikacją do zarządzania cudzymi rodzinami i majątkiem wspólnym – czyli krajem – powinno być coś KONKRETNEGO.

***

Margaret Thatcher była córką sklepikarza (a nie generała czy profesora) i dlatego doskonale znała się na prowadzeniu tego gospodarstwa rodzinnego, jakim jest państwo.

Ojciec Trumpa był dość zwyczajnym budowlańcem, a majątku dorabiał się powoli – remontując czynszówki w gorszych dzielnicach Nowego Jorku. Gdy syn postanowił, że kiedyś podbije Manhattan i zacznie stawiać wieżowce, ojciec się przestraszył, ale… wyłożył forsę i dał dziecku szansę – pierwszy duży interes zrobili razem, i to nie było na Manhattanie. Donald (wtedy chłopak w koledżu) pilnował tamtej roboty, ojciec finansował i patrzył z boku.

Kupili zrujnowane budynki komunalne, doprowadzili je do porządku i nagle cuchnący slums zamienił się w ładne i czyste miejsce do mieszkania. Donald zaprzyjaźnił się wtedy z jednym z mieszkańców, który przeżył obóz koncentracyjny w Polsce. Młodziutki Trump cenił tego człowieka za jego wyczucie ulicy. Wiedział, że ktoś, kto przeżył obóz, musi mieć tego wyczucia więcej niż inni. I pewnego dnia posłuchał dobrej rady: „Donald, sprzedaj ten obiekt. Jest wprawdzie teraz świetny i wszyscy chcą tu mieszkać, ale dzielnica dookoła schodzi na psy". Trump nie czekał, sprzedał szybko, zarobił i ruszył na podbój Manhattanu.

Umie spojrzeć w oczy i przyjąć dobrą radę od kogoś, kto jest „nikim". Umie też spojrzeć w oczy eksperta z dyplomami i odrzucić jego ekspertyzę jako nic niewartą i przemądrzałą lub… nieszczerą, polityczną.

Ojcowie założyciele USA też byli przedsiębiorcami, a nie politykami. Gdy się zbierali na obradach pierwszego Kongresu, każdy chciał szybko wracać do domu – do roboty na swojej farmie. To było dobre, bo nie tracili czasu na głupoty.

Posłowie RP nie powinni dostawać żadnego wynagrodzenia. Każdy powinien się utrzymywać z jakiejś swojej roboty, a posłem być po godzinach i za darmo. Spotykaliby się na krótko, uchwalali rzeczy konieczne i najważniejsze, a nie te obecne stosy papieru zapisane głupotami.

***

Nadzieja RP w małych rolnikach i przedsiębiorcach pod warunkiem, że kiedyś przejmą władzę. Ale żeby władzę przejąć, trzeba najpierw obalić tę, która jest teraz, bo władza dobrowolnie władzy nie odda, a przy obecnym systemie wyborczym oni się bardzo dokładnie zabezpieczyli przed dopuszczeniem do sterów kogokolwiek nowego.

Ordynacja, którą mamy, listy wyborcze i obowiązek zbierania podpisów – te rzeczy powodują, że żaden kandydat niezależny i pozapartyjny nigdy nie ma szans.

Zbieranie podpisów – po co? Niech startuje, kto chce, i najwyżej przegra, bo się przeliczył. Najwyżej umoczy forsę na kampanię. Przegra, to przegra – jego strata.

***

W USA nie dość, że nie musisz zbierać podpisów, to nawet kandydować nie musisz, aby wybory wygrać. Jest bowiem w demokracji amerykańskiej takie coś, jak „dopisywanie kandydata". Obywatel na karcie wyborczej odręcznie dopisuje nazwisko kogoś, kto się nie zgłosił do wyborów, ale go chcemy. I bywały takie przypadki, gdy ktoś nie startował, ale został wybrany ich sędzią, szeryfem, gubernatorem… (tak – w Ameryce wybieramy sędziów, prokuratorów, dzielnicowych – całą masę ludzi, którzy w Polsce są mianowani i należą do kasty).

Można więc w USA dopisać czyjeś nazwisko odręcznie i w ten sposób zagłosować. Potem ktoś taki widzi wynik: „Zostałem wybrany? Bez kampanii wyborczej?" I co? Może ten wybór odrzucić i wówczas zwycięzcą zostaje któryś z pozostałych. Ale… częściej jest tak, że kandydat dopisany przyjmuje ten obowiązek – ludzie mnie chcą, dobrowolnie mnie dopisali… Mam patriotyczny obowiązek przyjąć urząd. Ach, gdyby tak w Polsce…

***

I chciałbym, żeby wróciła przedwojenna instytucja odwołania posła. Sprzeniewierzył się swoim obietnicom wyborczym, to wylatuje z Sejmu. Ci sami, którzy go wybrali, mogą go wywalić na pysk – bez czekania do końca kadencji.

I chciałbym, żeby wróciła kara śmierci za korupcję na urzędzie – w drugiej RP była. Ten czy inny sędzia lub minister biorący łapówki zastanowiłby się chwilę dłużej przed przyjęciem koperty, gdyby w tle czekała szubienica. (Rozwiązanie niecywilizowane? Ja tam uważam, że przed wojną byliśmy bardziej cywilizowani niż teraz – eutanazji nie było i paru innych wymysłów, które są współczesnym zezwierzęceniem. Niech lewacy skreślą ze swego programu eutanazję i aborcję, to ja się zastanowię nad skreśleniem szubienicy).

***

Aha i jeszcze odpowiedzialność!

Każdy urzędnik w kraju powinien odpowiadać majątkiem WŁASNYM za straty, które spowodował. Premier podjął złą decyzję i narobił strat? RP musi płacić odszkodowanie, bo sędzia coś zawalił? To najpierw pokrywamy te straty całym jego majątkiem osobistym, a dopiero potem resztę dokłada państwo. I cokolwiek taki premier zarobi do końca życia, zabieramy mu na spłatę tamtej straty. Zostawiamy mu tylko tyle, by nie zdechł z głodu. Duży urząd powinien oznaczać dużą odpowiedzialność, a nie wyłącznie honory, limuzynę i emeryturę. ©℗

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

OFERTA NOWOROCZNA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

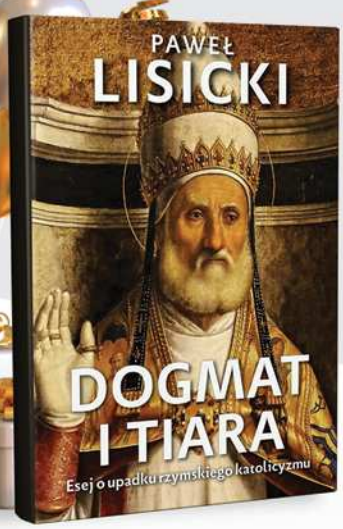

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
PAWEŁ LISICKI
„DOGMAT I TIARA"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

<<<<

~~700~~ ZŁ

275,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 425 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

eprasa.pl 0e5ce5cc0d

Zakupiono w NEXTO: 3293083

eprasa.pl 0e5ce5cc0d